

Wydawnictwo  
Witanet



HDR



# KIRKHAMMER

Wojciech Karolak

Wydawnictwo  
Witanet



HDR



KIRKHAMMER

Wojciech Karolak

Wojciech Karolak

K I R K H A M M E R



*2017*

Copyright © by Wojciech Karolak 2017  
Copyright © by Wydawnictwo Witanet 2017

*Wszelkie prawa zastrzeżone*

Grafika na okładce: Maciej Pacholczyk

Skład tekstu, projekt okładki: Ryszard Maksym

ISBN: 978-83-65482-62-4

Książka dostępna również w wersji papierowej

*Wydawca:*

Wydawnictwo WITANET

tel.: #48 601 35 66 75

[www.witanet.net](http://www.witanet.net)

[wydawnictwo@witanet.net](mailto:wydawnictwo@witanet.net)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Książka ani żadna jej część nie mogą być publikowane ani w jakikolwiek inny sposób powielane w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.*

Skład wersji elektronicznej:



# *Prolog*

Biegł. Czuł na twarzy żar płonących boazerii, pokrywających ściany korytarza. Czuł smród tłących się ciał ludzkich i stworzeń nieco tylko gorszych. Słyszał krzyki konających, szczęk mieczy, toporów i włóczni. Słyszał ryk smoków szybujących nad twierdzą, szykujących się do kolejnego ataku i wrzaski demonów ścigających niedobitków piętro niżej. Wszystko to nie powinno przytrafić się żadnemu piętnastolatkowi. Najgorszy jednak, najbardziej traumatyczny i wwiercający się w pamięć niczym wiertło trepanacyjne, był jęk, który mimo wrzawy bitwy dobiegał jego uszu z ust wykrwawiających się rodziców: „*Kylven... Synku... Uciekaj...*” Uciekał. Pędził przez zadymione hole przystrojone znikającymi w zgłodniałych językach ognia arrasami, przedstawiającymi dokonania pradawnych herosów, które studiował gorliwie. Biegł przez sale pełne zbroi, których blask, który tak podziwiał na odprawach i seminariach, teraz przykrył woal sadzy. Przelotnie pomyślał jaką ironią jest to, że kolczugi i metalowe płyty, które kiedyś chroniły ciała poległych, same zostały osłonięte przez popiół ze szczątków właścicieli. Biegł dalej, na złamanie karku, przeskakując nad przewróconymi dębowymi krzesłami. Na jednym z nich pierwszy raz pocałował dziewczynę. Tyle wspomnień. Całe jego życie, spisane na sprzętach i ścianach warowni Kirkhelm, siedziby Kościoła, właśnie odchodziło w niepamięć, połykane przez paszczę pożaru. Chłopiec już widział ogromne, hebanowe drzwi ze złotymi okuciami na końcu głównej halli, prowadzące na zewnątrz. Za ich podwójnymi skrzydłami rozciągał się ogromny dziedziniec, centrum bitwy, w której zgiełku chciał zgubić prześladowające go monstrum. W chwili gdy rzeźbione klamki były niemal na wyciągnięcie ręki, znikąd wyrosła przed nim postać – ogromna, nieludzko chuda sylwetka odziana w czarne szaty, spod których widać było jedynie maskę wyobrażającą trupa czaszkę. Kylven stanął jak wryty, sparaliżowany strachem na wspomnienie tego, co ten potwór zrobił z jego rodzicami – Ostrzami – elitarnymi

wojownikami Kościoła. Oprawca wyciągnął chudą, lecz niewyobrażalnie silną dłoń w kierunku serca młodzieńca. Potem nastąpiła ciemność i Kylven zmarł po raz pierwszy.

# Część I

## Rozdział 1

Obudził go telefon. Cholerne ustrojstwo, część obowiązkowego wyposażenia każdego członka Kościoła, nie dało się wyciszyć i uparcie grało refren „*While we sleep*”. Przynajmniej dzwonek można było w nim zmienić. Kylven Kirkhammer wstał z łóżka i odebrał komórkę.

– Halo?– zapytał, starając się ukryć zmęczenie w głosie.

– Hej, obudziłam cię?– To była Delissa. Ktoś, kto jej nie znał lub nie był w niej zakochany równie szaleńczo, co nieszczęśliwie mógłby pomyśleć, że wcale nie jest zła. On jednak wiedział lepiej. Była zła. Zła? Była wściekła. Tak wściekła, jak tylko potrafiła być była kochanka na nieodpowiedzialnego partnera. W takim momencie każdy człowiek, demon, centaur, mantikora czy kraken, uciekłby w popłochu przed gniewem Delissy Stormbringer przeklinając los, który postawił go przed wcieleniem Furii. Kylven nie był jednak żadnym z tych stworzeń.

– Neeee... Ja właśnie...

– Wychodziłeś na odprawę Ostrzy, ustaloną przez Przewodniczącego?

– Tak, już jestem...

– Niepoważny, dziecinny, egocentryczny. I skacowany. – w jednej chwili nie tylko rozszyfrowała przebieg poprzedniego wieczoru (co nie było szczególnie trudne lub zaskakujące), ale również uderzyła we wszystkie jego czułe punkty tak dotkliwie, jak tylko ona potrafiła, ponieważ znała je aż za dobrze.

– Deli, proszę cię...

– Nie nazywaj mnie tak. – powiedziała lodowato – Spodziewam się tu Ciebie za pięć minut. Brama jest skalibrowana na współrzędne twojego... mieszkania, że tak powiem.

– Dzięki, Deli. – trzask.

To będzie długi dzień, pomyślał. Pociągnął długi łyk z butelki wody, która jakimś cudem ocalała z batalii przebytej minionej nocy z alkoholem, który Kylven dostał od druidów w podzięcie za pozbycie się wyjątkowo wrednego enta niszczącego ich grządki i mordującego pobratymców. Następnie poszedł do łazienki, żeby ocenić spustoszenie w organizmie. Byłoby bardzo źle, gdyby nie był tym... czym był. Mimo gargantuicznej dawki wyjątkowo mocnej wody ognistej, Kirkhammer wyglądał całkiem normalnie. Normalnie, znaczy jak bożyszczce nastolatek. Umięśnione, wyrzeźbione ciało, naznaczone bliznami, upamiętniającymi jego przygody i zlecenia. Głębokie, ciemne oczy, które wwiercały się w rozmówców, obnażając kłamstwa i damskie torsy. I oczywiście lekko falowane, czarne włosy opadające na ramiona. Obraz psuła szczególnie paskudna szrama na wysokości serca, która intrygowała każdego, komu dane było ją zobaczyć. Ogólnie rzecz ujmując, poza nieznośnym bólem głowy alkohol, jak zwykle, nie uniemożliwił mu dopełnienia nudnych formalności. Zawsze wiatr w oczy. Kylven westchnął nad marnością losu najlepszego wojownika Wielkiego Kościoła i poszedł się ubrać. Włożył czarną koszulkę, wciągnął spodnie z włókien wypreparowanych z kory enta, do złudzenia przypominające džinsy, jednak niepomiernie od nich wytrzymalsze i zapiał pas ze srebrną klamrą w kształcie czaszki. Następnie założył przypominające glany buty ze skóry hydry oraz, również skózaną, kurtkę w stylu ramones. *Muszę rozejrzeć się za zleceniem na mantikorę, bo ta kurtka już się trochę wysłużyła. I ćwieki ciut wytarte.* – pomyślał. Na koniec wsunął czarne rękawice, a jakże, ze skóry, tym razem centaura, oraz, a jakże, ćwiekami na kłykciach. Był już prawie gotowy. Przerzucił jeszcze przez plecy pas z mieczami tak, że obie rękojeści złowieszczo wyglądały znad jego prawego barku.

– To jedyne pamiątki jakie po was mam. – powiedział do siebie, wspominając rodziców – Lepszych nie mogłem sobie wymarzyć.

Kompletnie ubrany, wszedł pomiędzy dwa ramiona urządzenia, trzecie



mając dokładnie nad głową. Przypominało ono łapę jakiegoś dziwnego, trójpalczastego potwora. Wpisał w komórkę dwunastocyfrowy kod aktywujący bramę i zamknął oczy.

## *Rozdział 2*

Kiedy je otworzył, Kylvena powitał widok długiego korytarza prowadzącego do sali obrad lub, jak wolał ją nazywać, Komnaty Pierdół. Ściany, podłogi oraz sufit przejścia pokryte były śnieżnobiałym marmurem z delikatnymi, różowymi żyłkami. Z tego samego kamienia były wykonane również ogromne kolumny podtrzymujące łukowate sklepienie. *Dobrze, że nie każą zakładać ochraniaczy na buty.* – pomyślał, idąc sprężystym krokiem w stronę ciężkich drzwi z białego drewna. Tuż przed wejściem przypomniał sobie, że w pośpiechu nie zdążył zapalić rytualnego papierosa przed odprawą. Zaklął paskudnie wiedząc, że skok przez bramę został zarejestrowany i odnotowany w archiwach logistycznych. Nie było możliwości powrotu na szybką fajkę. Zrezygnowany, wszedł do obszernego, okrągłego pomieszczenia. Tutaj, dla kontrastu, królował czarny granit, przecinany gdzieniegdzie bordowymi pasmami, wyciszając umysł i umożliwiając przejrzyste projekcje hologramów. Na środku sali stał okrągły, hebanowy stół z czterema rzeźbionymi fotelami dookoła. Czekali na niego, razem ze stęsknionym dotyku jego pośladków siedziskiem, które nazwać wygodnym graniczyłoby z bluźnierstwem. Kylven zajął swoje miejsce i formalnie, skinieniem głowy, powitał pozostałe Ostrza. Po jego prawej stronie zasiadał muskularny osiłek, o wyglądzie ogolonego wikinga. Rhaglion Dawnstar był najlepszym przyjacielem Kirkhammera, znanym z wirtuozerii we władaniu swoim wielkim, dwuręcznym mieczem. Większość ludzi uważała, że nazwa broni – Stonoga – była nawiązaniem do setek zadziurów na krawędziach ostrza lub ilości odebranych przy jego pomocy żyć. Prawda była jednak dużo bardziej prozaiczna – Rhag bywał równie dziecinny, co Kylv. Odbieranie życia nie było natomiast najlepszym określeniem tego, co Dawnstar robił

Stonogą. On wrogów zwyczajnie unicestwiał. Miażdżył, rąbał, patroszył i rozczłonkowywał. Tak, to była prawdziwa poezja śmierci. Z lewej strony, miejsce miał nieco mniej postawny wojownik, o krótkich, czarnych włosach i bystrych oczach. Był to Verillon Blackbird. Kylven nigdy nie nawiązał z nim tak serdecznej przyjaźni jak z Dawnstarem, jednak jedynie przez to, że mężczyzna podchodził do misji Kościoła ze swego rodzaju namaszczeniem, które czempion organizacji zawsze uważał za naiwne. W końcu zabijali potwory za pieniądze. Owszem, ratowali niewinne (choć nie zawsze) istnienia. Owszem, byli finansowani i wzywani głównie przez rządy poszczególnych krajów, jednak prywatne zlecenia nie były rzadkością i nikt tego nie ukrywał. Owszem, części z nich przyświecała wiara we Władców, którzy to mieli stworzyć Wielki Kościół w zapomnianych czasach, dla ochrony rodzaju ludzkiego. Owszem, Ostrza były szczególnie sławne i uwielbiane przez społeczeństwo, jako najskuteczniejszy i siejący postrach wśród wrogów oddział organizacji. Mimo to, w mniemaniu Kirkhammera, pozostawali najemnikami. *Cholera, jedyni najemnicy, którym stawiają pomniki.* – uśmiechnął się gorzko pod nosem. Pomijając wszelkie różnice światopoglądowe, Verillon Blackbird był wiernym towarzyszem, a na jego tarczy i młocie bojowym – Prawie – Kylven nigdy się nie zawiódł. Często wspominał także dokonanie towarzysza, przytaczane przy każdej okazji. Blackbird wsławił się tym, że jednym, potężnym uderzeniem młota, w furii urwał głowę satyrowi, który bezczelnie, w przedśmiertnym monologu krzyczał, jak to Władcy wyruchali po kolei w dupę stworzoną przez siebie świętą krowę i w ten sposób narodził się pierwszy Przewodniczący Kościoła. Naprzeciw spóźnionego Ostrza ze złości czerwieniła się złotowłosa piękność o obfitych kształtach – Delissa Stormbringer. Serce zakłuło go na przelotne wspomnienie czasu spędzonego z tą kobietą, zarówno w walkach ramię w ramię, jak i poza obowiązkami... Burzliwa przeszłość i kilka pamiątek, w postaci blizn na ciele i duszy, nie zmieniały faktu, że Deli pozostawała najpotężniejszą i najbardziej utalentowaną mistrzynią magii w szeregach Kościoła, więc Kylven musiał z nią pracować. Żałował w takich momentach, że Rada uchyliła obowiązek celibatu i ustanowiła go jedynie dowolną ofiarą dla Władców. Ubiegając kąśliwy komentarz czarodziejki, Kirkhammer rzucił krótkie „Zacznijmy” i wcisnął przycisk na

oparciu fotela. Z sufitu, nad środkiem stołu błysnęło światło i przed każdym z zebranych pojawiła się osobna projekcja z komnat Rady. Ostrzom ukazało się pięć postaci, cztery w białych płaszczach z kapturami zasłaniającymi twarze powyżej ust, oraz piątą, w ozdobnej zbroi płytowej dekorowanej białą i złotą emalią. Rada Kościoła i Przewodniczący Kolaius, w całej okazałości.

– Witajcie – zaczął Przewodniczący, swym szlacheckim, denerwującym do granic wytrzymałości tonem – Na początek poproszę o raport z poprzednich misji. Verillonie?

– Oczywiście. Oddział dwudziestu pięciu Rąk pod moim dowództwem, wyruszył do leża insektoidów, położonego dwadzieścia trzy kilometry na wschód od miasta Aegilith o godzinie osiemnastej, czternastego kwietnia dwa tysiące trzydziestego szóstego roku. Po oględzinach wejścia do jaskini oraz przyjrzeniu się resztkom śluzu i zrzuconych pancerzy wywnioskowaliśmy, że są to karłacze. Przygotowaliśmy się na to, rzecz jasna, więc wszyscy zaopatrzyli się w odtrutki na jad karłaczy oraz zastrzyki powstrzymujące krwawienie. Po wkroczeniu i wyeliminowaniu piętnastu potworów, podzieliłem oddział na drużyny pięcioosobowe i rozkazałem przeszukanie jaskini. Z raportu żołnierzy wynika, że kompleks jam i tuneli rozciągał się w promieniu dwudziestu kilometrów. W pieczarze położonej najdalej na zachód, najbliższej Aegilith, znajdowało się gniazdo wraz z królową. Samica miała około czterech metrów wysokości w kłębie, ważyła na oko dwie tony. Zgodnie ze szkoleniem, Ręce atakowały odnóża potwora i eliminowały mniejsze karłacze, ja natomiast zmiażdżyłem łeb królowej. Strat w ludziach nie poniesiono, nieliczni odnieśli zadrapania i powierzchowne rany, które niezwłocznie zdezynfekowano oraz podano odtrutki na jad. Powrót do Aegilith nastąpił o godzinie szóstej rano, o czym raportowałem z kwatery Kościoła w mieście.

– Doskonale – skwitował Przewodniczący, jak zwykle zasłuchany w formalne wypowiedzi Blackbirda – Co z zapłatą?

– Oczywiście, prezydent miasta Aegilith uiścił opłatę na konto Kościoła zaraz po okazaniu łba królowej karłaczy. A raczej tego, co z niego zostało.

– Wyśmienicie. Rhaglione? – Dawnstar nie przywiązywał tak wielkiej wagi do profesjonalizmu raportu, jednak wołał nie podpadać zarządowi.

Z lekką irytacją na twarzy zaczął swój wywód.

– Wraz z moim oddziałem Rąk, wyeliminowałem zagrożenie nieopodal miasta Lulacile. Mieszkańcy nie potrafili określić z czym będę miał do czynienia. Powodem kłopotów – śmierci piętnastu osób w przeciągu tygodnia – był spory rekin brzytwopłetwy.

– Co oznacza „spory”?

– Dokładnie dwanaście metrów długości. Waga adekwatna do rozmiaru. Typowo, rekin żerował w wodach przybrzeżnych. Niestety władze miasta nie wiedziały o obecności potwora i nie zabezpieczyły plaży ani łowisk rybackich. Przy pomocy dwóch kutrów i naszej opatentowanej sieci z włókien entów, złapaliśmy bestię, po czym zadałem jej cios w oko Stonogą. Śmierć na miejscu, jadalne fragmenty mięsa – przeznaczone miastu, pieniądze od zleceniodawcy – przelane.

– Dobrze, dziękuję. Panno Stormbringer? – Delissa również nie lubiła składania raportów, jednak potrafiła zachować etykietę. Diabeł na polu walki, dama na salonach i sukub w łóżku. Czy mężczyzna mógłby chcieć czegoś więcej? Pewien głupiec mógłby chcieć czasami wyskoczyć samotnie na weekend, pozabijać w spokoju mantikory. Kylven nigdy nie był szczególnie mądry w sprawach miłosnych. Jego odwaga i brawura, zapewniające skuteczność w walce, nie znajdowały zastosowania w związkach.

– Szanowna Rado, Panie Przewodniczący. Razem ze swoim oddziałem Rąk wyruszyłam na misję w Góry Asgerleth. Burmistrz jednego z miast w pobliżu Przełęczu Avenong poprosił o interwencję w sprawie harpii cesarskich. Potwory porywały ludzi w znaczącej liczbie – trzynaście osób w ciągu miesiąca. Z kwatery wypadowej w Górach, wytropiłam harpie, używając kryształu rezonującego. Wykryłam ultradźwiękowe krzyki harpii, następnie przypomniałam procedury lewitacji w terenie górzystym. – *Na pewno to zrobiłaś, Deli...* – pomyślał mimochodem Kirkhammer. – Podczas lotu zaatakowało nas stado potworów, jednak dla mnie i oddziału nie stanowiły problemu. Źródłem najsilniejszego sygnału było gniazdo, położone na półce skalnej. Około czterdziestu dorosłych harpii cesarskich, o standardowych wymiarach oraz trzy większe samice – przywódczynie stada. Nic specjalnego, więc spopielanie nie zajęło dużo czasu. Burmistrz uiścił opłatę, rannych nie stwierdzono.

– Wyśmienicie, Panno Delisso. Teraz Pan Kylven... – Przewodniczący odruchowo zaczął masować prawą skroń, spodziewając się formatu raportu.

– Ent blisko wioski druidów w Świetlistym Lesie. Kilku zabitych staruszków i podeptane grządki mandragory. Potwór uwił sobie legowisko na polanie, jakieś dwa kilometry dalej i nie spodobało mu się towarzystwo. Dosyć dziwne, bo enty zazwyczaj nie migrują, a już na pewno nie zajmują nowych terenów z użyciem przemocy. W każdym razie, drzewiec miał jakieś osiem metrów, porąbałem go na opał bez problemu. Mogliście znaleźć mi ciekawszą robotę.

– Uwzględnimy Pańskie zachcianki przy następnym przydziale misji, Panie Kirkhammer... Co w sprawie zapłaty?

– Ja swoją otrzymałem. Nie wiem czego Wy się spodziewaliście od tych dziadków. Pieniądzy raczej nie mają.

– Wyślemy delegację w celu uregulowania rachunku. Dziękuję wam.

– Przewodniczący, wraz z Radą, zwrócił się teraz do całej czwórki Ostrzy. – Mamy nowe zadania. Proszę członków Rady o zabranie głosu. *Mogliby to rozwiązać korespondencyjnie. Albo w formie cholernego e-maila*, narzekał w myślach Kylv. Jako pierwsza, przemówiła postać najbardziej z lewej strony Kolaiusa, kobieta o szorstkim jak język mantikory głosie.

– Panno Stormbringer, mamy misję zbadania anomalii magicznej w okolicy Kręgu Żywiołów na Równinie Hordtrom. Miejsce to zawsze emanowało energią, jednak tym razem odczyty z detektorów harmonicznym Geoghana znacznie odbiegają od normy.

– Być może żywiołak, albo imp... Ewentualnie Naznaczoney.

– Podzielamy Pani podejrzenia, liczymy jednak na bardziej znaczące odkrycie. Prosimy o badanie w kierunku artefaktów pochodzących od Władców lub Źródeł Energii. W Pani kwaterze znajdują się szczegóły zlecenia. Prosimy o szybką interwencję.

– Oczywiście, dziękuję.

Naznaczeni byli ludźmi o nieprzeciętnych zdolnościach magicznych, którzy zostali zmienieni w istoty bardziej demoniczne niż ludzkie. Takie właśnie stworzenie zabiło rodziców Kylvena i zamieniło go w jego obecną postać. Mężczyzna zawsze polował na Naznaczoney ze szczególną gorliwością, jednak Rada rzadko przydzielała mu związane

z nimi zadania, ponieważ Kirkhammer dosłownie unicestwiał te monstra. Były one jednak przydatne w celach badawczych, a zmasakrowane zwłoki, które jakimś cudem udawało się odzyskać po jego misjach, nie nadawały się do ekspertyzy. Ogólnie rzecz biorąc, Kylven nie czerpał radości z zabijania. Nie był okrutny, w miarę możliwości nie atakował z zaskoczenia, zadawał śmierć szybko i skutecznie. Uwielbiał jednak walkę. W tym celu kształcił się i szkolił, a w swej terażniejszej formie, był dosłownie stworzony do bitew. Naznaczeni jednak znaleźli się na jego czarnej liście. I umierali z tego powodu szybko, lecz efektownie i w strumieniach swej czarnej posoki.

– Panie Dawnstar – odezwała się kolejna postać, mężczyzna o śpiewnej barwie głosu – Pana kolejna misja polegać będzie na eliminacji wiwerny w Górach Mglistych. Nie mamy informacji o stratach w ludziach z jej powodu, jednak obserwacja tego osobnika z użyciem drona ujawniła, że rośnie w zastraszającym tempie i wkrótce może stanowić zagrożenie. Prezydent Podziemnej Metropolii Y'sgenwerd zaoferował sowitą nagrodę.

– Z przyjemnością – powiedział Rhag, zerkając złośliwie na Kylvena. Trafiło mu się niecodzienne zlecenie i musiał zagrać koledze na nerwach.

Trzeci członek Rady, starzec o łamiącym się głosie, zabrał głos.

– Panie Blackbird, mamy doniesienia o licznych zgonach i zwiększonej aktywności monstrów w Lesie Timlin. Policja i zbrojne oddziały z Timholdu nie radzą sobie z agresorami. Wygląda na to, że zadanie będzie wymagało szczególnego przygotowania Pańskiego oddziału Rąk.

– Oczywiście, będziemy gotowi na każde zło czające się w mrokach tego lasu.

– Nie wątpimy w Pana zdolności przywódcze, dlatego dostaje Pan to zadanie. Prosimy o natychmiastowe wyruszenie i zbadanie sytuacji.

– Tak jest, dziękuję.

*Następna fajna robota. Naznaczony, wiwerna, armia leśnych potworów, może nawet centaurów. Co mają dla mnie?* – Pomyślał Kylven z nadzieją, że może, po tak długiej przerwie, Czempion Ostrzy, Młot Kościoła, otrzyma zadanie godne jego zdolności.

– Panie Kirkhammer – odezwała się ostatnia kobieta w kapturze,

swym zwyczajnym, łagodnym tonem – dzisiaj rekruci przychodzą na test możliwości w walce. Chcemy, aby razem z Panną Stormbringer, przed jej misją, sprawdził Pan ich umiejętności i zatwierdził przydział do Rąk.

Kylven zacisnął ze złości zęby i dłonie na oparciu fotela tak mocno, że drewno zajęczało, jak dziwka, którą właśnie pchnięto z mocą w punkt G.

– A jakieś poważne zadanie?

– To jest poważne zadanie. Jeżeli chodzi o misje terenowe, nasz przydział został wyczerpany. Jeżeli ma Pan takie życzenie, proszę zapoznać się z rejestrami w dziale zgłoszeń.

– Z całym szacunkiem – wycedził Kylven – czy nie uważacie, że mój potencjał jest tutaj marnowany?

– Panie Kirkhammer – zabrał głos Kolaius – bez wątpienia jest Pan najskuteczniejszym wojownikiem Kościoła. Pomimo Pańskiego życzenia o działaniu bez oddziału Rąk, co nie miało miejsca nigdy w historii Ostrzy, wypełnia Pan każdą misję bez komplikacji. Ceniemy Pańskie umiejętności i korzystamy z nich w sytuacjach, w których nikt inny nie sprostałby zadaniu. Obecnie, takowych nie mamy. Sprawdzanie kompetencji rekrutów to ważny element szkolenia, prosimy zatem o dopełnienie obowiązków. W razie pojawienia się sytuacji, w której Pańskie miecze będą niezbędne, skontaktujemy się z Panem. Jeśli raczy Pan odebrać telefon. To wszystko, odprawę uważam za skończoną. Rozejść się.

Hologram zniknął tak szybko jak się pojawił, zostawiając Kylvena z wyrazem głębokiego niezadowolenia i niemym przekleństwem na ustach. Wojownik nie miał nawet okazji do riposty, chociaż nauczył się już przez osiem lat służby, że pyskowanie absolutnie nie działa ani na Przewodniczącego, ani na Radę. Poprawiało mu jednak humor, więc ucięcie odprawy jeszcze bardziej zirytowało mężczyznę.

– Ani słowa.– syknął Kirkhammer w odpowiedzi na uszczypliwy uśmiezek Rhagliona i złośliwe spojrzenie Delissy, po czym wyszedł z Sali Pierdół, trzasnął ciężkimi, białymi drzwiami i udał się do sali ćwiczeń.

## *Rozdział 3*

Idąc kolejnym białym korytarzem, w kierunku sali ćwiczeń, Kylven przeszedł przez jedne z oszklonych drzwi po prawej stronie, wiodących do pokoju gościnnego. Było to obszerne pomieszczenie, oświetlone ogniem płonącym w kamiennym, rzeźbionym kominku. Jasny, sosnowy parkiet pokryty był grubym, wełnianym dywanem wyobrażającym symbol Kościoła – płonący miecz na złotym polu. Misternie wykonane, ciężkie fotele z karmazynowymi obiciami stały przy orzechowym stoliku do kawy, zwrócone w stronę paleniska. Urok pokoju mąciła wisząca naprzeciw kominka smocza głowa. Imponujące trofeum ziało niepokojem z otwartej paszczy równie złowieszczo, jak niegdyś ogniem. Obrazu dopełniał dziwny i przytłaczający smutek w martwych, krwistoczerwonych oczach skrzydlatego gada. Mężczyzna zignorował wyszukany wystrój i skierował się na balkon. Czempion Ostrzy zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko od dawna wyczekiwany dymem, oparł o balustradę i rzucił swoją maskę. Kylvena ludzie kochali lub nienawidzili, o co zresztą nie dbał, ale nieliczni naprawdę go znali. Do osób tych zaliczali się Delissa i Rhaglion, a także jego przyjaciółka i pierwsza miłość – Jemiba. Właściwie, na tym lista się kończyła. Kirkhammer, na co dzień arogancki, bezczelny, pewny siebie i dowcipny lekkoduch, pilnie strzegł swojego realnego oblicza. W chwilach, takich jak ta, kiedy patrzył na ośnieżone szczyty Gór Mglistych ze zdobionego balkonu odbudowanej warowni Kirkhelm, mógł uwolnić skrywane myśli, emocje i wspomnienia. Mógł być sam ze sobą. Prawdziwym sobą. Prawdziwy Kylven znajdował się na skraju zdrowia psychicznego. Był sierotą po dwóch próbach samobójczych. Stracił rodziców w tej właśnie twierdzy, osiem lat temu. Matka i ojciec, jako Ostrza, byli rygorystyczni i wymagający wobec potomka. Od najmłodszych lat wpajali mu zasady walki, anatomii potworów, strategii bitewnej oraz pojęcie sprawiedliwości i prawości. Jednocześnie byli bezgranicznie przepelnieni miłością do jedyne go syna. Po ich śmierci, z depresji i absolutnego dna, wyciągnęła go Delissa Stormbringer. Wojownicza, kobieca, inteligentna piękność z łatwością zawróciła w



głowie osiemnastolatki. Ich czteroletni związek, choć burzliwy, ze względu na ich temperamenty, był szczęśliwy i Kirkhammer nikogo wcześniej ani później, nie kochał tak bardzo, jak Deli. Walka w obronie bezbronnych ludzi, do której czuł się stworzony i ukochana czarodziejka – to był cały sens i radość w jego życiu. Rok temu bajka skończyła się odejściem Delissy, a Kylven, tonąc w rozpacz niczym w czarnych wodach Kościelnych Jezior, rzucił się w wir pracy. I alkoholu. Niestety, pozbawiony partnerki, mężczyzna zaczął dostrzegać ciemną stronę służby Kościołowi. Organizacja trudniła się zabijaniem potworów na zlecenie, zarówno rządowe, jak i prywatne. O ile oficjalne, najważniejsze misje powierzane Ostrzom miały wspaniałą, tkaną pieczołowicie przez specjalistów od opinii publicznej, otoczkę medialną, drugi rodzaj zadań, których Młot zaczął podejmować się w pracoholicznym ciągu, był dużo bardziej paskudny. Ludzie sięgali po usługi organizacji w stanach zagrożenia ze strony potworów. Często jednak, było to zagrożenie interesów. Chimera, która uwiła sobie gniazdo tuż przy złożach ropy naftowej. Troll w jaskini, pod którą wykryto rudę żelaza. Kraken nad podmorskim złożem diamentów. Kylven stronił od takich misji, jednak czarę goryczy przelało to, co zleciodawcy potrafili zrobić z dostarczonymi żywcem bestiami. Potwory są groźne, a natura przystosowała je do skutecznego zabijania w sytuacji zagrożenia lub głodu. Nawet demony, które porywały ludzi, by zamienić je w istoty sobie podobne, robiły to z wrodzonego braku zdolności do rozmnażania. Monstra są straszne, ale nie bywają okrutne. I nie mordują dla zabawy. Z tego powodu, gdy w pewnym miasteczku Kylven ujrzał, jak mieszczanie zebrali się na głównym rynku, by publicznie ugotować żywcem młode gryfa, a samicy połamać dziób i odrąbać skrzydła, coś pękło w łowcy. Kirkhammer wpadł na przygotowany podest, dobił konającą gryficę szybko i bezboleśnie, a następnie przyprawił niechlubne miasto o kilka kalek. Niestety, oparzenia piskląt były zbyt poważne, żeby je uratować. Po tym, oraz wielu innych incydentach bezinteresownego skurwysyństwa ze strony ludzi, Kylven utracił wiarę w tę rasę. W szeregach Kościoła pozostał tylko dlatego, że był to jedyny sposób na regularny kontakt z Delissą, który chociaż bolesny, był jedyną rzeczą, jaka dawała mu poczucie sensu istnienia we wszechobecnej beznadziei. Po kilku

tygodniach, z których niewiele pamiętał, wojownik znów podjął się zabijania potworów, jednak już nie w obronie ludzkości, lecz dla Deli oraz nielicznych jednostek, dla których warto było walczyć o lepszy, bezpieczniejszy świat. Dziecinnie naiwne podejście, jednak nie miał pomysłu na nic bardziej wyszukanego. Stracona miłość i wartości, istoty o znikomym jedynie człowieczeństwie. Kirkhammer nie wiedział co wydarzyło się po tym, jak Naznaczony – morderca jego rodziców, dotknął jego piersi, usiłując przemienić go w demona. Pewne było, że mu się nie udało. Nie całkiem. Niedokończona transformacja zaowocowała nadludzką siłą i szybkością, jak również wyczulonymi zmysłami Kylvena. Młodzieniec posiadał także percepcję wykraczającą poza zdolności człowieka, z pogranicza świata ognistych istot podziemi. W zamian, pozostała mu ohydna blizna na wysokości serca oraz absolutny brak zdolności magicznych. Nie potrafił rzucić podstawowych zaklęć. Zawsze mogło być gorzej. Gdyby Kolaius w ostatnim momencie nie odciął rękę Naznaczonego, piętnastolatek zostałby sługą przeklętego kapłana.

– Skoro nie potworem ani człowiekiem, to czym teraz jestem? – zapytał mroźnego wiatru, wiejącego nad srebrnymi szczytami Gór Mglistych, które strzelały bielą w błękitne niebo, jak włócznie dobrze zorganizowanego garnizonu. Zgasił papierosa, przywdział z powrotem swoją maskę i wrócił do środka.

## *Rozdział 4*

Sala ćwiczeń była ogromnym pomieszczeniem. Monstrualne kolumny podtrzymywały łukowaty strop pokryty freskami przedstawiającymi sceny walki wojowników Kościoła z najróżniejszymi bestiami. Światło wpadało do środka przez wielkie okna z witrażami przedstawiającymi Władców, legendarne Ostrza z czasów początku organizacji, oraz jej symbol. Podłoga wyłożona była różnego koloru granitem, którego kwiatowe wzory dzieliły salę na dwie równe części. Test zdolności podzielony był na dwa etapy. Jako pierwsze sprawdzane były

umiejętności magiczne – podstawowe zaklęcia ofensywne i defensywne oraz pasywne i użytkowe. Za tę część odpowiadała Delissa. Drugim etapem był pojedynek z użyciem broni białej, w którym rolę egzaminatora miał pełnić Kylven. W zależności od specjalizacji rekruta, egzamin obejmował obie fazy, lub tylko jedną, wybraną. W celu ograniczenia stresu wśród kandydatów na członków Rąk, nie wiedzieli oni, że ich kompetencje sprawdzają Ostrza. Wiadome było jedynie to, że są to oficerowie Kościoła. W związku z powyższym, czarodziejka i wojownik ubrali szaty ćwiczeniowe z kapturami oraz chusty zasłaniające twarze i rozpoczęli test. Pretendentów było wyjątkowo niewielu, zaledwie osiem osób, więc Kylven odetchnął z ulgą, mając nadzieję, że szybko upora się z boleśnie nudnym obowiązkiem i poszuka jakiegoś zlecenia. Delissa przywołała do siebie pierwszą egzaminowaną. Była to kobieta średniego wzrostu, o kasztanowych włosach. Na rozkaz Deli, rozpoczęła prezentację. Najpierw rzuciła w oddalonego o dwanaście metrów manekina ćwiczebnego kulą ognia z tak dużym nakładem energii, że kukła nie zdążyła się spalić, lecz eksplodowała z ogłuszającym rykiem w deszczu drzazg i siana. Stormbringer, doświadczona w kwestii magii bardziej niż ktokolwiek inny w szeregach Kościoła, nie widziała potrzeby kontynuowania testu. W chwili, gdy Kasztanowłosa skakała z radości, tracąc całą swą profesjonalną dotychczas postawę, Kylven przywołał do siebie pierwszego przeciwnika. Młodzieniec był wysoki i dobrze zbudowany, dzierżył również dwuręczny młot wojenny, adekwatny do swojej postury. – „*Nie ma szans*” – skwitował w myślach Kirkhammer i natarł na rekruta. Zaskoczony osiłek uniósł broń w niezdarnej paradzie, która natychmiast załamała się pod ukośnym cięciem znad prawego barku Kylvena. Czempion Ostrzy, idąc za siłą uderzenia, pchnął barkiem przeciwnika, który nie stracił równowagi lecz wykonał piruet, wyprowadzając przy tym potężne poziome uderzenie z lewej. Kirkhammer odskoczył do tyłu i błyskawicznym machnięciem klingi uderzył żeleźce młota, dodając mu impetu. Tym razem przeciwnik zachwiał się i nieco obrócił, próbując odzyskać kontrolę nad bronią, dając Kylvenowi czas na wzięcie zamachu. Niedoświadczony młodzieniec mógł jedynie wyrzucić drzewce młota za plecy w desperackim bloku, jednak siła uderzenia zwała go z nóg.

– Zbyt pewny siebie, zbyt lekceważący, mimo braku opanowania i zimnej krwi. – powiedział jakby do siebie egzaminator – Następny!

Pokonany rekrut wstał bez słowa i opuścił salę ze wzrokiem wbitym w podłogę. Mimo tej porażki, żaden z oczekujących nie zaśmiał się ani nawet nie uśmiechnął pod nosem. Rekruci stali, przerażeni perspektywą starcia z pozbawionym skrupułów przeciwnikiem. Dwoje następnych młodzików, również nie spełniło oczekiwań Kylvena i nie wytrzymało w polu magicznych trzydziestu sekund, które wyznaczył jako próg zdawalności. W tym momencie usłyszał, jak jeden z testowanych przez Delissę mężczyzn, po efektownym spopieleniu manekina piorunem kulistym, odzywa się do jego byłej ukochanej: „Jak już zostaną przyjęty, może skoczmy pozabijać sukuby? Słyszałem, że ich zwyczaje są bardzo... inspirujące.” Tamtego dnia, to jedno zdanie, podsumowane przez Deli spojrzeniem, które przyprawiło bezczelnego gnojka o mdłości, zadecydowało o jego losie. Na własne nieszczęście, miał zostać sprawdzony również jako szermierz. Od czasu, kiedy Kylven uzyskał swoją obecną formę, zdarzały mu się niekontrolowane ataki gniewu. Jeżeli powodem takiego ataku była Delissa, gniew przeradzał się w czystą furję. Mężczyzna trząsł się na całym ciele. Nie potrafił myśleć rozsądnie. W ogóle przestawał myśleć. Jego umysł wypełniała niepoohamowana żądza mordy, której doświadczył każdy, kto ośmielił się choćby drasnąć Deli na polu bitwy. Prostacka odzywka, z nikomu nieznanymi przyczynami była równa podniesieniu ręki na Stormbringer, więc Kirkhammer używając resztek woli ustał w miejscu i przywołał do siebie aroganckiego rekruta. Tym razem dopełnił nawet formalności. Pozwolił przeciwnikowi unieść miecz i ruszyć w swoją stronę. Młodzik wyprowadził dwa ukośne cięcia, których Kylven nawet nie trudził się parować lecz unikał ich z łatwością. Kolejny cios, poziomy od lewej, Kirkhammer przeskoczył saltem, po czym kopnął przeciwnika w dupę, kiedy ten chciał zwiększyć dystans piruetem. Zadrwił z rekruta w wyjątkowo upokarzający sposób. Zdezorientowany smarkacz błyskawicznie odzyskał zimną krew i natarł ponownie. Tym razem oboje starli się przy akompaniamencie stali, błysków ostrzy i sypiących się spod nich iskier. Młodzik chciał zaskoczyć Kylvena zmianą rytmu i zamarkowaniem ciosu z dołu, po czym wygiął nadgarstek i poprowadził cięcie znad prawego barku, kierując w szyć.

– „*Nieźle*” – pomyślał wojownik, po czym zbił uderzenie, a następnie samym końcem miecza ciął pachwinę przeciwnika, zrobił półpiruet ustawiając się bokiem do szykującego się do kontry młodzieńca i kopnął go w brzuch. Cios nie był silny, miał tylko zwiększyć dystans i przerwać atak, poza tym rekrut obronnie napiął mięśnie, jednak i tak zachwiał się lekko i zawahał, nim znowu ruszył do ataku. Zaczął pchnięciem, skierowanym w serce przeciwnika. Kylven, znudzony zabawą ze smarkaczem, wygiął ramię i nadgarstek, umieszczając ostrze za prawą łydką, po czym wyprowadził niesamowite uderzenie od dołu, wykorzystując pełną mobilność stawów. Zawirował mieczem nad głową, chwytając oburącz rękojeść i błyskawicznie przechodząc do miażdżącego ciosu wymierzonego w bark młodzieńca. Bezczelny gnojek, zamiast próbować uników lub bezużytecznego wobec siły uderzenia bloku, cisnął w Kirkhammera falą energii. Młot Kościoła przerwał cios i zasłonił się ostrzem miecza, redukując uderzenie zakłęcia, które i tak odepchnęło go w tył. Kylven zawirował w piruecie, planując powrót do ofensywy, jednak kątem oka dostrzegł, że przeciwnik wykorzystał swoją pozycję i zaatakował zdradzieckim pchnięciem, które miało zdruzgotać mu serce i płuco. – „*Może jednak będą z ciebie ludzie. Kiedy już cię poskładają.*” – pomyślał Kirkhammer, po czym zmienił rytm kroków, zakręcił się w drugą stronę w odwrotnym piruecie pozwalając, by klinga młodzieńca minęła go o zaledwie centymetr. Przeciwnik, zaskoczony poleciał do przodu, a Kylven kończąc piruet uderzył od dołu miecz przeciwnika w połowie długości ostrza, wytrącając rękojeść z jego rąk i korzystając z własnego pędu, kopnął odsłoniętego rekruta prosto w pierś. Widząc, jak gnojek przelatuje pięć metrów w kierunku kolumny Kylven pomyślał, że może włożył zbyt wiele siły w tego kopniaka, jednak myśli tej szybko ustąpiła satysfakcja sącząca się do jego uszu pod postacią dźwięku łamanych siedmiu żeber oraz zębów, które pękały zaciśnięte w paroksyzmie bólu. Młodzieniec upadł twarzą do podłogi i stracił przytomność.

## ***Rozdział 5***

Karczma „Pod Wyszczerbionym Brzeszczotem” była równie trudna do odnalezienia, jak jej nazwa do wymówienia dla bezzębnego barmana. Znajdowała się pośród lasu Dumber, ukryta pod konarami ogromnych, porośniętych mchem dębów, na polanie pokrytej morzem przylaszczek, fiołków i paproci. Sam las budził strach wielu ludzi, ponieważ był jednym z najstarszych, najciemniejszych i najbardziej niedostępnych puszczy, pełnym potworów, bagien i zdradzieckich, łamliwych gałęzi, gotowych spaść na przechodniów. Budynek zaś, stylizowany na dużo starszy niż był w rzeczywistości, nawiązywał architekturą do dawnych, drewnianych konstrukcji ze spadzistymi dachami, pokrytymi czerwoną dachówką. Było to wspaniałą odmianą po ciągłym widoku stalowo-szklanych molochów, których pełne były światowe metropolie, jak również od ciężkich, kamiennych budowli, w które ludzkość przekształciła prastare ruiny, przystosowując je do swoich potrzeb. Kylven stał właśnie przed drzwiami do karczmy, paląc papierosa. Mężczyzna był bardzo wybredny w kwestii tego, co wpuszczał do swoich płuc oraz swego łóżka. W obu przypadkach liczyła się oryginalność, prestiż, niedostępność i smak. Z tego powodu, wybierał jedynie czarne papierosy z gorącej, południowej krainy Qrilit. Oferowały one znakomitej jakości tytoń, posmak goździków oraz egzotycznych przypraw, których nazw Kirkhammer nie potrafił wymówić. Oczywiście, ważnym elementem była też czarna bibułka. Kylven uwielbiał rzeczy w kolorze czarnym, z wyjątkiem pewnych modeli samochodów. I ludzi. Delektował się właśnie dymem, rozmyślając czy w jego wypadku możliwy jest rak płuca oraz analizując miniony poranek. Nie zaprzętał sobie głowy poturbowanym przez siebie gnojkiem. Pielęgniarki, uzdrowicielki i lekarze Kościoła postawią go na nogi w dwa, najdalej trzy tygodnie. Dodatkowo, po wybudzeniu, rekonwalescencji będzie sprzyjać wiadomość, że został przyjęty w oddziały Rąk. Kylven sam przed sobą przyznawał, że bywa impulsywny, jednak starał się przy tym pozostać sprawiedliwy. Tak przynajmniej uważał. Martwił go jednak fakt, że Kolaius i Rada nie udzielili mu reprimendy. Wprawdzie ulotnił się z Sali ćwiczeń dosyć szybko, to znaczy zaraz po zgromieniu pozostałych rekrutów odnośnie szacunku do przełożonych. Przed skokiem do placówki terenowej

Kościola, położonej najbliżej karczmy, zdążył jeszcze przejrzeć w pośpiechu zlecenia w dziale zgłoszeń. Uwagę wojownika przykuło jedynie ogłoszenie o zaginięciu. Normalnie takich spraw nie kierowano do Kirkhelmu, więc Kylv postanowił zabrać akta i przyjrzeć się sprawie w wolnej chwili, tym bardziej, że zleceniodawca mieszkał w pobliżu Dumbaru. Czempion Ostrzy miał już wejść do gwarnej sali karczmy, jednak wstrzymał się. Rozpiął sprzączkę od pasa przecinającego jego pierś i spojrzął na swoją broń. W skąpym świetle docierającym do podszytu lasu, jego oczom ukazały się dwa miecze – Łaska, po matce i Furia, po ojcu. Ostrze łaski, mierzące około czterdziestu cali, było w kształcie długiego liścia – szerokie przy sztychu i zwężające się ku rękojeści, z drobnymi wcięciami przy jelcu, w kształcie półksiężyca. Brzeszczot pokryty był magicznymi runami, które czasami jarzyły się krwistoczerwonym blaskiem. Rękojeść, owinięta barwioną na czerwono skórą, miała dwanaście cali długości i wzmocniona była metalowymi pierścieniami, poprawiającymi chwyt. Lekko wydłużona, zaokrąglona na końcu głowica sprawiała, że mieczem z łatwością można było władać zarówno jedną ręką, jak i oburącz. Całość była zadziwiająco lekka, a w odpowiednich rękach, przerażająco zabójcza, w swoim pięknie. – *Jak Delissa...* pomyślał Kylven. Pochwa Łaski była wykonana z czerwonego drewna jatoby wypolerowanego na wysoki połysk, natomiast okucie i stopka ze srebra. Furia natomiast, była dużo bardziej złowieszczym mieczem. Jej ostrze, o dużo ciemniejszym odcieniu metalu, mierzyło pięćdziesiąt cali, zwężając się ku sztychowi, a przy jelcu, było ukształtowane w zadziory, po trzy z każdej strony. Ponadto, klingę pokrywały płytkie wyżłobienia, układające się w zakłęcia, które tworzyły gęszcz czarnych, złowrogich wzorów. Półksiężycowaty jelec rozdawał się przy końcach i zaginał w stronę rękojeści. Ta liczyła piętnaście cali i owinięta była czarną skórą. Głowica w kształcie rogatej czaszki nadawała gracji całej broni, a władanie nią stanowiło czystą przyjemność. Również ten miecz Kylven dzierżył jednorącz, jak i oburącz. Pochwa Furii została zrobiona z polerowanego hebanu. Zarówno okucie, jak i stopka, były wykonane z tego samego, ciemnego, jakby osmolonego ogniem metalu, który został użyty do produkcji samego miecza. Dwa wspaniałe ostrza, dzieła najsprawniejszych kowali Kościola. Pamiątki po dwóch wspaniałych

Ostrzach. Smutne wspomnienia sprawiły, że Kirkhammer poczuł potrzebę napicia się.

Wszedł do ciepłego, pachnącego pieczeniem baranią i dobrym, ciemnym piwem pomieszczenia. Sala dekorowana była częściami motorów i samochodów oraz samymi maszynami. Na ścianach wisiały tarcze i tablice z logami klubów motocyklowych oraz adekwatne do klimatu miejsca hasła, na przykład: „Picie i palenie kształtują charakter i przyrodzenie.”, „Starość jest straszna. Dla osób powyżej 30 roku życia, do wódki napój energetyczny – gratis.”, „Jebać i się nie bać.” To ostatnie, Młot Kościoła sam zaproponował właścicielowi lokalu. Czempion Ostrzy przeszedł w kierunku stołu pod najdalszą ścianą, przy którym, w odosobnieniu siedzieli jego przyjaciele. Była to trójka wojowników, którzy co prawda nie należeli do Kościoła, jednak również trudnili się zabijaniem potworów. Działalność ta była w dawniejszych czasach tępiona przez organizację, do której należał Kylven, jednak ostatecznie Kościół tak zmonopolizował rynek walki z monstrami, że przestał zwracać uwagę na nic nieznaczącą konkurencję. Mężczyzna przysiadł się do towarzyszy. Po swojej lewej stronie miał Jaze'a, blondyna o potężnych zakolach i haczykowatym nosie, znanego z wirtuozerii w grze na skrzypcach i władaniu wspaniałą bronią – połączeniem szerokiego miecza i włóczni. Ubrany był w lekką zbroję ze skóry z ozdobnymi, metalowymi pierścieniami, a na szyi miał długi, błękitny szal, z którym nigdy się nie rozstawał. Podobno był to upominek od dawnej kochanki Naprzeciwno, siedział smagły osiłek w zbroi, która przytłaczała samym widokiem. Płyty pancerza miały przypominać górskie skały, nadając sylwetce posiadacza kształt chodzącego głazu. Kamyk, jak złośliwie nazywali go kompani, nazywał się Nayel i pił właśnie drugą butelkę wódki, chociaż wyglądał, jakby dopiero przyszedł na popijawę. Obok niego wiercił się na miejscu opalony jegomość, ubrany w luźne, ciemne szaty, którego rozbiegane oczy wprawiały w konsternację. Był to Derix, wyjątkowo utalentowany mag, którego wiedza przyprawiała o zawrót głowy zarówno rozmówców, jak i jego samego. Nawet najbliżsi przyjaciele postrzegali go jako wariata, jednak któż z nich był do końca normalny? Derix zawsze miał do opowiedzenia milion historii z szerokiego świata, z którymi nawet Internet nie mógł się równać. Innymi słowy, Kylven



pasował tam idealnie. Podobną swobodę czuł jeszcze tylko w towarzystwie Rhagliona, jednak Dawnstar stronił od miejsc pokroju „Pod Wyszczerbionym Brzeszczotem”.

– No witaj, Mošku! – zagadnął Jaze – Jak widzisz, masz karniaki i będę ci liczył, albowiem poruszamy tutaj bardzo poważne tematy, wymagające odpowiedniego, ulotnego stanu umysłu, który osobiście lubię nazywać cugiem.

– Trzy szybkie, albo jesteś pizda. – wyjaśnił Nayel

– Też się cieszę, że was widzę, i że nic się nie zmieniacie w tym zwariowanym świecie. – powiedział Kylven i z ochotą oraz ku zadowoleniu Kamyka, wychylił trzy kieliszki zimnej, apalitejskiej wódki, jeden po drugim.

– Jak już zatem mówiłem – powiedział Derix – uderzyło mnie, że koncerny wojskowe zarzuciły prace nad bronią podręczną, miotającą pociski. W końcu nie każdy ma zdolności magiczne, a walka na odległość niesie ze sobą ogromne korzyści i przewagę bitewną. Zmiana podstawowego uzbrojenia, a co za tym idzie, taktyki, pozwoliłaby na uniknięcie wielu obrażeń oraz tragicznych zgonów. Nie rozumiem, nie rozumiem... Jakie jest wasze zdanie, panowie? – zakończył pytaniem mag i pociągnął podgrzanego samogonu z glinianego kufła.

– Mamy możliwość walki na odległość. Łucznicy z Timholdu potrafią trafić królika w dupę z odległości kilometra. – zauważył Kylven, nalewając sobie kolejny kieliszek i sięgając po chleb ze smalcem.

– Łuki są dla pedałów, którzy nie mają odwagi stanąć do walki bezpośrednio. – skwitował Nayel – Nie wspominając o sile niezbędnej do obrony przed atakami, chociażby hydry czy przeklętego.

– Idąc tym tokiem rozumowania, broń mogąca wystrzelić na dużą odległość pociski z szybkością, powiedzmy jednego strzału na sekundę, to zaiste broń uwłaczająca męskości. – dodał Jaze, bawiąc się frędzlem swojego szalika.

– Uwłaczająca męskości?! To jak być rudym pedałem, murzynem i kobietą jednocześnie! – zagrział Nayel.

– To zdanie ma w sobie więcej sprzeczności niż osobowość Młota. – zauważył Derix.

Kylven chwilowo wyłączył się z debaty na temat broni dalekiego

zasięgu i pograżył w myślach. Nie było sensu rozdrabniać się nad tą sprawą. Tak zwana broń palna, wykorzystująca małe pociski, nie nadawała się do pracy, którą trudnili się zebrani przy tym stole. Przyczyna była prosta – kule każdego kalibru nie poddawały się działaniu magicznych run. Runy z kolei, stanowiły podstawę w walce z istotami magicznymi, takimi jak demony, przekłęci, Naznaczeni, a także ludzie, którzy kształcili się w arkanach zaklętej sztuki. Oczywiście seria strzałów z dużego działa potrafiła skutecznie unicestwić podrzędne potwory, takie jak karłacze czy wyverny. Podobny efekt jednak osiągał wyszkolony żołnierz Kościoła, bez powodowania zniszczeń w promieniu pięciu metrów dookoła. Wiele badań zostało przeprowadzonych w tym temacie, a każde dochodziło do tego samego wniosku: „Nie da się. Nie z obecnym stanem wiedzy.” Najbardziej prawdopodobną hipotezą było to, że naboje ulegały zniszczeniu po użyciu. Miecze, topory, włócznie i im podobna broń, miała z założenia użycie wielokrotne. Nawet strzały i bełty były wielorazowego użytku, przynajmniej w obrębie strzelców Kościoła. Być może siły natury, pradawne duchy, lub personifikacje żywiołów odmawiały współpracy z przedmiotami skazanymi na milczenie. Kylven nigdy się nad tym nie zastanawiał i nie widział żadnej do tego potrzeby. Jego uwagę przykuła transmisja meczu w piłkę nożną, wyświetlana, by goście karczmy zajęli się czymś innym niż okładaniem nawzajem po pyskach. Na ekranie pojawił się akurat gracz z obsceniczną ilością żelu do włosów na głowie, mający wykonać rzut karny. Stał w śmiesznie szerokim rozkroku przez ponad minutę, prawdopodobnie czekając aż jego nastoletnie fanki zmoczą bieliznę aż do obić foteli. Kirkhammer odwrócił wzrok i skupił się na picu. Jego wyczulone zmysły i wpajana od dzieciństwa bystrość umysłu nie chciały się nawet odrobinę stępić pod wpływem alkoholu, więc pił kolejkę za kolejką, w nadziei na chwilę spokoju. Gwar pomieszczenia stawał się jednak istną torturą. „Barman! Jeszcze piwerko!” szybki łyk palącej wódki „Hej, złociutka, ruchasz się czy trzeba z tobą chodzić?” kolejny kieliszek „Ja jednak uważam, że zaawansowana broń długodystansowa zrewolucjonizowałaby walkę z potworami.” znowu toast „Gooooooool!!!” już druga butelka „Nie podobają mi się te moczymordy pod ścianą.” następny łyk „Zamknij się, jeszcze cię usłyszą. Wszyscy to znane zabijaki, a jeden z nich to Ostrze.” W końcu alkohol zaczął

działać i poszczególne rozmowy zaczęły się rozmywać, jakby głowę Kylvena otoczyła gęsta mgła. Rozkoszował się chwilowym oderwaniem od rzeczywistości i płynął przez zamazane jeziora niebytu, niesiony lekkim tchnieniem pozbawienia myśli. Nagle, z błogiego stanu wyrwała go dłoń zaciskająca się na jego ramieniu. Chociaż trochę wstawiony, Młot Kościoła chwycił napastnika za ubranie na plecach, blokując jednocześnie jego wszędobylską łapę pod własną pachą i wyrznął jego twarzą o blat stołu. Towarzysze wojownika, przyzwyczajeni do podobnych sytuacji, rzucili jedynie komentarz, żeby nie rozlał alkoholu i uważał na zakąskę. Nie zwalniając chwytu, Kylven szykował nabitać ćwiekami rękawicę do przeprowadzenia lekcji manier, jednak zorientował się, że człowiek, który go zaczepił, krzyczy zdezorientowany i prosi o możliwość wyjaśnień. Kylven puścił puciołowatego mężczyznę, ubranego w zieloną pelerynę, przykrywającą bogato zdobione, nowoczesne ubranie jakiejś znanej firmy.

– Mistrzu, proszę o wybaczenie, nie powinienem pana tak znienacka...

– Owszem, nie powinieneś, twój nos nie pozwoli ci zapomnieć o tym faux pas. O co chodzi? – Tłusciuch zorientował się, że istotnie krwawi z nosa, a kiedy go dotknął, zasyczał z bólu.

– Mistrzu Kirkhammer, przychodzę do pana w sprawie zlecenia.

– Nie rozmawiam na tematy profesji podczas zabawy.

– Błagam jednak o wysłuchanie, gwarantuję, że nie pożałuje pan poświęconych mi pięciu minut.

– No dobrze. Masz pięć minut. Siadaj i mów, w czym rzecz.

Grubasek wyraźnie się ucieszył, zajął miejsce przy stole, wyjął aksamitną chustkę i przyłożył do nosa. – Otóż, sprawa wygląda tak, że mamy potwora w okolicy miasteczka Dumanile. W przeciągu ostatnich dwóch tygodni zginęło już osiem osób, w tym czterech policjantów.

– Wezwijcie wojsko. Z tego co mówisz, nie wygląda mi to na robotę dla Kościoła.

– Problem w tym, że wojsko nie chce reagować. Po tym, jak znaleziono zmasakrowane szczątki tych policjantów, wszyscy boją się interweniować. Wysłaliśmy zawiadomienie do Kościoła, ale stamtąd również brak odpowiedzi.

– Tak jak mówię, zbyt mała powaga sytuacji. Jest jakiś świadek,

który widział bestię?

– Tak. Ja... ja widziałem jak monstrum człapało po moich marchewkach. Widzi pan, mam dwadzieścia osiem hektarów ziemi, na obrzeżach miasteczka i mam tam najlepsze warzywa...

– Gównu mnie interesuje twoja marchew. To logiczne, że musisz czymś odwrócić swoją uwagę od faktu, że nie widzisz własnego chuja spod tego bebzola. Jak on wyglądał? Jakich był rozmiarów? Jakieś cechy charakterystyczne?

– Oczywiście, wybaczy pan. – mężczyzna na chwilę wbił wzrok w swoje markowe buty – On był... przerażający. Jakby ktoś wyciągnął trupa z grobu po trzech dniach i przerobił na maszynę do mordowania. Miał chyba coś koło pięciu metrów, bo zajmował pięć grządek, jak szedł. Razem z ogonem. Na ogonie też coś miał, jakby maczugę. Bydlę zdawało się nie mieć skóry, no zwyczajny koszmar na nogach.

– To przeklęty. Znalazłem ogłoszenie, że ktoś zaginął w tej okolicy. Wiesz o kogo chodzi?

– Prze... przeklęty? Ale co to... No tak, istotnie, jakieś trzy tygodnie temu zaginął syn burmistrza. Mistrzu Kirkhammer, co to jest ten przeklęty?

– Jest to istota, która powstaje wskutek wskrzeszenia zwłok osoby zamordowanej ze szczególnym okrucieństwem. Nienawistna wola osoby zabitej, skierowana przeciwko napastnikom deformuje ciało i zajmuje umysł kreatury. Niestety, nie potrafi ona odróżnić swoich złoczyńców i zabija wszystkich na swojej drodze, dopóki nie trafi na tych właściwych.

– Na Opiekuna Lasu! Przecież takie rzeczy nie powinny się zdarzać! W takim razie trzeba znaleźć tych morderców!

– Nie mam czasu na zabawę w detektywa. Możesz sam wyłożyć sprawę burmistrzowi, jak sporządzisz odpowiednie pismo, poświadczę je, jako oficer Kościoła. Przekłęci to przebiegłe poczwary i niebezpieczni przeciwnicy, także mogę się tym zająć.

– Dzięki, mistrzu Kirkhammer! Będę służył panu informacjami, najlepiej jak będę mógł. Zlecenie to wyszło z samego ratusza, więc może pan liczyć na godną zapłatę. Ja natomiast, opiszę wszystko burmistrzowi, a on zajmie się tymi zwyrodnialcami.

– No dobrze, dobrze. Zabawię tutaj do rana, napisz mi wszystko co

wiesz o atakach, gdzie znikali ci ludzie, gdzie znaleziono szczątki. Opisz mi jeszcze krótko samego zaginionego i burmistrza. Jak już to zrobisz, daj tę notatkę właścicielowi karczmy, przekaże mi ją, a jutro zabiorę się do pracy.

– Stokrotne dzięki! Niech pan na siebie uważa, mistrzu Kirkhammer i życzę miłego wieczoru!

Kylven skinął głową na mężczyznę i wrócił do procedury wytłumiania własnych zmysłów.

## *Rozdział 6*

Następnego ranka Kylven obudził się z bólem głowy. Bałagan w jego pokoju na poddaszu mógł świadczyć o przejściu huraganu, lub o tym, że urwał mu się film i naszły go rozmyślenia o Delissie. Po opróżnieniu butelki wody, mężczyzna skupił się na notatce, zostawionej na biurku przez karczmarza. Papier był zapisany informacjami na temat przeklętego. Kirkhammer przeleciał je wzrokiem i wywnioskował, że potwór to klasyczny obraz przeklętego – przerośnięte i zdeformowane zwłoki o długich pazurach i wyszczerbionych zębach. Wyjątkowym dodatkiem był wspomniany przez grubasa ogon. Mężczyzna miał nadzieję, że wczorajszy rozmówca niezwłocznie poszedł do burmistrza, a ten wszczął śledztwo i wkrótce złapie morderców swojego syna. Bajeczka, że przeklęty będzie kontynuował wieczny odpoczynek po zabiciu sprawcy swojej śmierci, była oczywiście nieprawdą, jednak Kylven potrzebował przynęty do zwabienia monstrum. Przeklęci powstawali istotnie w wyniku działania wyjątkowo spaczonych, pełnej nienawiści woli, jednak była to wola osób dręczonych przez nieumarłego, jeszcze za życia. Kolejnym warunkiem, była paskudna śmierć osoby obarczonej klątwą. Taka kompilacja negatywnych emocji i cierpienia, skutkowałą przeobrażeniem w ogarniętą szaleń i nieustannym bólem kreaturę, którą nazywano przeklętym. Syn burmistrza musiał być zatem wyjątkowo niesympatycznym skurwielem. Nic dziwnego. Jedynek, syn bogatego polityka, wychowywany bez

matki, mógł mieć osobliwe fantazje. Kylven postanowił nie brnąć w to bagno, wyleczyć kaca, poczekać spokojnie aż sprawcy śmierci chłopaka zostaną złapani lub chociaż wytropieni i wtedy przystąpi do pracy. Tymczasem, położył się z powrotem do łóżka, zapalił papierosa i zadzwonił do barmana, aby przyniósł mu duży talerz jajeczniczy z keczupem.

Miasteczko Dumanile znajdowało się około dziesięciu kilometrów od karczmy „Pod Wyszczerbionym Brzeszczotem”. Kylven nie mógł zamówić taksówki do lasu, nie chciał też korzystać z teleportera, chociaż znajdował się on w każdym większym mieście. Nie wszyscy nawet zdawali sobie z tego sprawę, ponieważ z urzędzeń tych korzystali tylko członkowie Kościoła. Do najbardziej zaawansowanej technologii w ogóle, która była połączeniem elektroniki oraz wysyconych magią kamieni, kryształów, potężnych artefaktów, dostęp miał przede wszystkim Kościół oraz wybrane międzynarodowe organizacje. Oczywiście oficjalnie. Na całym świecie złote rączki, domorośli wynalazcy majstrowali przy zdobywanych na własną rękę, lub na zlecenie przedmiotach magicznych. Każde państwo świata było zobowiązane do konfiskowania takich wynalazków, jednak łapówki, brak zrozumienia niebezpieczeństwa rozprzestrzenienia się zaawansowanej techniki sprawiały, że od czasu do czasu wiadomości pełne były doniesień o wybuchach w piwnicach domów nauczycieli lub mechaników. Transport globalny pozostawał zatem głównie w sferze samochodów, statków i samolotów, chociaż udostępnienie schematów napędu antygrawitacyjnego oraz silnika nuklearnego, stabilizowanego przez pole siłowe kamienia Derwoana znacznie usprawniło podróżowanie. Tak czy inaczej, samochód Kylvena – wymarzony, wyścigowy, torowy demon, stał zaparkowany w garażu pod skromnym, ale gustownie wykończonym domem nad Turkusową Zatoką. Na drugim końcu świata. Owszem, pieniądze uzyskiwane za prywatne zlecenia oraz pensja Ostrza pozwalały na wystawne życie, jednak Kirkhammer nie lubił się obnosić z bogactwem i ograniczył się do jednego lokum, tym bardziej, że elitarni wojownicy Kościoła mieli zapewnione pokoje w każdej jednostce wypadowej oraz luksusowe apartamenty w twierdzy Kirkhelm. W tej sytuacji, mężczyzna postanowił, że wybierze się do Dumanile pieszo, spacerkiem.

Właściwie, to urządził sobie bieg z przeszkodami. Nadludzka szybkość i siła Kylvena oraz wyostrzone zmysły, zaowocowały zamiłowaniem do akrobatyki i parkuru. Nic dziwnego, skoro był w stanie biec po pionowej ścianie, wykonywać salta, przewroty, skoki na wysokość pięciu metrów, wkładając w to mniej wysiłku, niż normalni ludzie we wspinaczkę po schodach na drugie piętro. W związku z tym, podróż do miasteczka zajęła mu pół godziny, a była wypełniona scenami niczym z filmu – budzący się do życia, wilgotny las, przez którego korony, niczym wiązki lasera, docierały promienie porannego słońca. Ciche strumienie, które Kylven przeskakiwał, omszałe pnie drzew, na które się wspinał, subtelne dźwięki czmychających zwierząt – wszystko to przyprawiło wojownika o myśl, że nic go dzisiaj nie zdenerwuje. Nierzadko przychodziły mu do głowy podobne głupoty.

Ratusza w Dumanile nie dało się przeoczyć. Była to wyjątkowo paskudna budowla ze starej, pokrytej porostami czerwonej cegły, zwieńczonej blaszonym dachem. Przytulona do niej równie szkaradna wieża zegarowa, która prawie punktualnie o dwunastej w południe, wygrywała żalostną melodyjkę, przyprawiającą na myśl marsz żałobny, wykonywany przez tani i pijany zespół weselny, górowała nad resztą miasta. Kylven był już w naprawdę szkaradnych miejscach, a tutaj przynajmniej nie śmierdziało leżącym od miesiąca w wodzie trupem, więc nie zwrócił nawet uwagi na architektoniczne barbarzyństwa. Szedł właśnie przez rynek, kierując się do siedziby burmistrza, mijając zaparkowane samochody, zdobiące ulice kosze z pelargoniami i zabieganych ludzi. O ile miasta znacznie się od siebie różniły, w zależności od kraju, w którym się znajdowały, ludzie wszędzie wydawali się mężczyźni tacy sami. Spieszący się, zapatrzeni w smartfony materialiści, pochłonięci myślami o kursach walut, pomocy socjalnej, podatkach. Pieniądze niemal było widać w ich oczach, tuż obok głęboko skrywanego strachu o to, że być może to oni będą następnymi ofiarami grasującego potwora. Nieliczni, którym udało się na moment oderwać wzrok od ekranu telefonu, na widok Kylvena schodzili mu z drogi, kłaniali się, nerwowo starali wydobyć „Dzień dobry” ze ściśniętych gardeł. Co prawda jedna dziewczynka, na oko sześćioletnia, poprosiła o autograf i wspólne zdjęcie, bo skojarzyła mężczyznę z pomnikiem ku czci Ostrzy Wielkiego Kościoła, jednak

zazwyczaj, podczas spaceru po mieście, zdarzało się to częściej. Kylven wszedł w końcu do ratusza, wyszukał na grawerowanej tablicy lokalizację biura burmistrza i udał się na drugie piętro. Zarządca miasta najwyraźniej spodziewał się wizyty, ponieważ sekretarka na widok Kirkhammera zerwała się z krzesła obrotowego i pospiesznie otworzyła przed nim wielkie, dębowe drzwi. Oczom mężczyzny ukazał się obszerny, okrągły pokój, którego ściany obarczone były półkami z książkami wieczystymi, woluminami traktującymi o prawie, finansach, logistyce. Nie był to częsty widok w podobnych miejscach, więc Kylven postanowił nie traktować burmistrza jak skończonego idioty. Sam mężczyzna siedział za dużym biurkiem, pokrytym arkuszami papieru, wpatrzony w monitor laptopa. Był koło pięćdziesiątki, prawdopodobnie cierpiał na nadciśnienie, ponieważ jego twarz miała barwę świeżo przekrojonego buraka, oddech (który Kylven mimowolnie usłyszał) był płytki i przyspieszony, a guziki gustownej kamizelki ledwie trzymały w ryzach pokaźny brzuch. Widząc Ostrze, burmistrz wskazał mu krzesło przy biurku, naprzeciwko siebie.

– Czekałem na pana! Witam w Dumanile. Szczerze mówiąc, spodziewałem się pana wczoraj.

– Musiałem dokładnie zapoznać się z danymi na temat sprawy, skonsultować moje zamierzenia z Radą i Przewodniczącym Kolaiusem – skłamał Kylven.

– No tak, cholerna biurokracja. Człowiek nie może na służbie się wysrać, bez składania raportu. Wybacz pan, ale nie lubię owijać w bawełnę. Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję.

– Jasne, ja jednak zwilżę usta – powiedział mężczyzna, po czym nalał sobie pełną szklankę whisky, łamiąc zasady savoir vivre'u i przyprawiając Kirkhammera o lekki uśmiech. – Do rzeczy. Jak tylko Rodneye przybiegł tutaj od pana z informacją, że mój syn mógł zostać zamordowany, pogoniłem tego leniwego chuja, komisarza i okazało się, że ten skurwiol, co moje dziecko zabił, spokojnie sprzedawał sobie mięso na rynku, naprzeciwko ratusza. Bezczelny gnój.

– Nie brzmi pan na zbyt przejętego śmiercią syna...

– Bo nie jestem. Olver był zawsze niepokorny i gwałtowny. Nigdy mnie nie słuchał. Już wcześniej zdarzało mu się zniknąć na jakiś czas, a



potem musiałem opłacać prawników, wręczać łapówki, uciszać media, żeby nie wyszły na jaw jego cholerne wybryki. A umiał się gnojek zabawić! Tak że nie, nie jestem przejęty. Mam inne, lepsze dzieci, z których jestem dumny.

– Wygląda na to, że pana syn nadal się zabawia. Z tego, co wiem wynika, że został zamieniony w przeklętego i to on grasuje w okolicy.

– Kurwa. Uparty, sadystyczny, pierdolony smarkacz. Zajmie się pan tym demonim pomiotem? Zapłacę, oczywiście.

– Tak, zajmę się nim. Potrzebny mi będzie do tego morderca. Prosiłem o pojmanie go żywcem.

– No... W tej kwestii... Jest pewien problem. Troszeczkę mnie poniosło. Jednak to było moje dziecko i... Odrobinę go pogruchotałem.

– Jak bardzo? Nie żyje?

– Jeszcze dycha, ale lekarz, wraz z magiem miejskim stwierdzili, że długo nie pociągnie.

Kylven zacisnął pięści, zamknął oczy i przez chwilę oddychał głęboko. Nie lubił, gdy ludzie nie mający pojęcia o potworach, utrudniali mu pracę, nie słuchając prostych poleceń.

– Przepraszam, panie Kirkhammer... – ukorzył się burmistrz, co absolutnie nie pasowało do jego aparycji.

– Coś wymyślę. Prawdę mówiąc, pewnie zareagowałbym podobnie. Jednak to potknięcie może wymagać dopłaty, ze względu na utrudnienie zadania. Gdzie on jest?

– W piwnicy, pod ratuszem. Nie chciałem robić bałaganu na komisariacie...

– Słusznie, proszę mnie tam zabrać.

Olver musiał odziedziczyć i podnieść do potęgi najgorsze cechy swojego ojca. Zabójca przypominał człowieka tylko w małym stopniu. Połamane kończyny były wykręcone pod wpływem spazmów bólu pod obrzydliwymi kątami. Twarz młodego mężczyzny została zmieniona w opuchniętą, czerwoną masę. Burmistrz prawdopodobnie pomógł sobie pałką, albo metalową rurą. Na szczęście, skatowany nie był przytomny. Oddech miał szybki, urywany, puls ledwo wyczuwalny. Ale żył. Kylven spodziewał się jednak, że nie doczeka wieczoru, a potrzebował jego bijącego serca do zwabienia poczwary. Przeklęty był bowiem przyciągany do sprawcy swojej śmierci jak magnes do sztaby żelaza.

Kirkhammer musiał się spieszyć, miał na szczęście niezbędne wyposażenie. Poprosił burmistrza o zapewnienie transportu sobie i zabójcy do lasu Dumbar, po czym pospiesznie ruszył w drogę.

Osobisty kierowca burmistrza zawiózł Kylvena oraz zmasakrowanego masarza aż na koniec drogi, prowadzącej z Dumanile do Dumbaru. Ścieżka kończyła się przed zawałonym drzewem i limuzyna nie mogła przedrzeć się dalej, więc Kirkhammer podziękował, rzucił kierowcy kilka monet, po czym zarzucił sobie ciało mordercy na ramię i ruszył przed siebie. Przebyta przed laty metamorfoza pozbawiła Młot Kościoła zdolności magicznych, jednak zyskał przy tym poszerzoną percepcję, dzięki której wyczuwał wolę charakterystyczną dla istot pozaludzkich. Były to różne odczucia, w zależności od źródła tej woli. Centaury, nimfy, satyrowie, meluzyny i inne rozumne stwory powodowały przeczucie obecności w postaci delikatnych fal ciepła, których częstotliwość nasilała się w miarę zbliżania. Znaki te były niezwykle subtelne i Kylven musiał się wyciszyć, aby w ogóle poczuć zmiany aury. Inne stworzenia, jak karłacze, rekiny brzytwopłetwe, mantikory i im podobne, przyprawiały o niepokój, jakby lekkie skrobanie pod powierzchnią czaszki i ciche warczenie, niesłyszalne dla uszu, ale dobiegające gdzieś z głębi trzewi. Również te zjawiska stawały się zauważalne dopiero przy pełnym skupieniu. Przeklęci i Naznaczeni jednak emanowali tak bardzo złą, spaczoną wolą, która ich zrodziła, tak mocno byli przepelnieni nienawiścią, że ich obecność manifestowała się jako wrażenie szpilek wbijanych w skórę oraz obcych myśli, wdzierających się do mózgu Kylvena. Przy tropieniu tych istot, musiał się on skupiać, aby zagłuszyć te sygnały i myśleć trzeźwo. W związku z tym, już po przejściu pięciuset metrów, Kirkhammer poczuł znajome mrowienie i ukłucia. Kierował się w stronę ich źródła, tam, gdzie odczucia przybierały na sile. Błądził przez jakiś czas szukając tropów, aż natrafił na ślady krwi pokrywające poszycie lasu. Liście były przybrudzone zaschlą posoką, śmierdziało trupem, lecz nie było śladu samego potwora, ani jego możliwej kryjówki. Zmiany aury były tak nasilone, że Kylven odczuwał lekkie mdłości i nie wiedział, w którą stronę powinien dalej iść. Nie miało to jednak znaczenia. Potwór był w okolicy, a niebo już szarzało, zwiastując nadejście nocy. Wojownik rzucił ciało mordercy na ściółkę. Mężczyzna już nie oddychał. Kylven

przykucnął obok i wyjął z kieszonek przy pasku kilka przedmiotów. Jedną ampułkostrzykawkę, fiolkę z mętym, żółtawym płynem i podłużny, intensywnie zielony, pulsujący słabym światłem kryształ. Młot Kościoła wlał w sine usta nieboszczyka Trupi Dech. Był to eliksir aplikowany rannym wykrwawiającym się, który zwalniał i podtrzymywał metabolizm. Następnie, rozdarł koszulę mężczyzny, wymacał palcami miejsce pomiędzy żebrami na pokiereszowanej klatce piersiowej i wbił w nią kryształ energetyczny. Artefakt ten, emitował wyładowania elektryczne i stanowił powszechne źródło energii. Kylven chciał jednak w ten sposób zmusić serce umarłego do wznowienia pracy, a także pobudzić przynajmniej rdzeń kręgowy do utrzymania podstawowych funkcji życiowych. Na zakończenie, zrobił reanimowanemu ciału zastrzyk z adrenaliny do serca, aby biło ono dostatecznie mocno, by przyciągnąć przeklętego. Zabiegi Kirkhammera powiodły się. Ciało nabierało żywej barwy, oddech powrócił, puls był tak mocny, że aż słyszalny. Świadomość, na szczęście, nie powróciła. Kylven odszedł dziesięć metrów dalej, usiadł za drzewem i czekał.

Uświadomił sobie bliskość bestii, zanim jeszcze ją usłyszał. Do umysłu Kylvena wdarła się wizja z jaźni przeklętego. Była urywana, przesiąknięta strachem, ślepy mżawką i bezsilnością, ale nieznośnie wyraźna. Ukazała mu się twarz, którą co prawda widział w innej formie, jednak rozpoznał w niej właściciela sklepu mięsnego, skatowanego przez burmistrza. Oblicze jego było wykrzywione furją i okrucieństwem, a blask księżycy nadawał mu iście przerażający wygląd. Kylven zrozumiał, że widzi ostatnie chwile Olvera, oczami samego nieszczęśnika. Oprawca mówił spokojnie, powoli, wyraźnie, aby każde słowo wwiercało się w umysł związanego chłopca.

– Zgwałciłeś ją. Zgwałciłeś moją córeczkę. Bydlaku, zgwałciłeś ją, pobiłeś jak bandziora. – przez chwilę głos jakby uwiązł mu w gardle – Odgryzłeś jej sutki... Ty nie jesteś człowiekiem. Nie zasługujesz na litość, na proces. Zresztą kochany tatuś i tak by cię z tego wyciągnął. – Kylven zorientował się, że młodzieniec, zmoczył spodnie – Już nigdy nikogo nie skrzywdzisz. – zakończył masarz, po czym zamachnął się tłuczkiem do mięsa.

Kirkhammer otrząsnął się, gdy usłyszał szelest poszycia lasu i cichy gulgot, jakby ktoś nie mógł przełknąć zbyt dużego kawałka mięsa.

Wojownik wstał, sięgnął po Łaskę, ale w ostatniej chwili, zdecydował się jednak użyć Furii. Nie mógł uratować masarza, nawet ta reanimacja umarłego ciała wykraczała poza techniki dopuszczane przez Kościół. Mógł jednak postarać się o to, aby przeklęty Olver umarł w męczarniach. Po raz drugi. Kylven powoli szedł w kierunku przynęty i ujrzał cel swojego zlecenia. Poczwarą była wielkości wyjątkowo mocno nasterydowanego osiłka. Ciało przeklętego było pokryte skórą porozrywaną przez przerosłe w zbyt szybkim tempie mięśnie. Z pleców wystawały mu szpikulce, wyrastające z kręgow. Tułów był zakończony przez ogon, utworzony z wydłużonego kręgosłupa. Obraz wieńczyła głowa pozbawiona żuchwy, zapewne przez przedśmiertne uderzenie tłuczka. Z mordy zwiślał kolczasty jęzor, a oczy poczwary pały bezrozumną żądzą mordy. Potwór, równie bezrozumnie, porzucił rozszarpywanie zniechędzonych zwłok i rzucił się na Kylvena z potępieńczym jękiem. Wojownik zanurkował pod pazurami, a kończąc przewrót, ciął poczwarę przez biodro i od razu wykonał piruet, zwracając się twarzą do przeciwnika. Bestia zawyła, zwała się na ziemię i zaatakowała znowu. Kylven robił unik za unikiem, zachowując dystans, dzięki czemu w porę uchylił się przed ciosem ogonem, zakończonym kościaną maczugą. Przeklęty stracił równowagę, a Młot ciął go pod kolanem, zirytowany zbytnią ruchliwością pokraki, uskoczył przed upazurzoną łapą, a drugą, lecącą na swój tors, odrąbał w nadgarstku. Potwór upadł na twarz, rycząc, jednak zaatakował od razu. Wyginając nieludzko ciało, z ohydny chrupnięciem, uderzył ogonem znad głowy. Kylven zawirował w piruecie, mijając maczugę o kilka centymetrów i miał wbić ostrze Furii pod łopatkę bestii, jednak poczuł nagłe szarpnięcie. Przeklęty wystrzelił ukryty w gardle, imponująco długi język i oplótł go wokół przedramienia wojownika. – *Delissa lubiła moje zdolności językowe* – rozmarzył się Kirkhammer, po czym chwycił za wystający jęzor i pociągnął, celując jednocześnie sztychem w paszczę potwora. Przeklęty, oszołomiony nieludzką siłą, pozbawiony jednej łapy, nie mógł się odpowiednio zaprzec i poleciał do przodu, nabijając się na miecz. Kylven wbił brzeszczot Furii aż po jelec, z rozkoszą słuchając jak zadziory na ostrzu rozrywają tkanki i szarpnął oplatający jego rękę język, wrywając go. Bestia wierzgała jeszcze, starając się dosięgnąć sprawcy swojego cierpienia, jednak wojownik

przygwoździł butem łapę potwora do ziemi. Młot, trzymając rękojeść miecza jedną ręką, drugą złapał za wystające z drugiej strony czaszki potwora ostrze i z całej siły przekręcił, łamiąc mu kark.

## *Rozdział 7*

Kylven przepijał właśnie w zamyśleniu nagrodę za zabicie przeklętego, siedząc w towarzystwie Jaze'a, Derixa i Nayela „Pod Wyszczerbionym Brzeszczotem”. Podczas pracy w szeregach Kościoła spotkał się już z wieloma trudnymi moralnie historiami, więc sprawa burmistrza, Olvera i masarza, nie zszokowała go. Wspomnienie ojca, patrzącego na odcięty, zniekształcony łeb, który kiedyś należał do jego syna ocierało się jednak o jego myśli jak uparty, nieznośny kot. Na domiar złego, wyraz twarzy tego władczego człowieka, po wysłuchaniu historii właściciela sklepu mięsnego, który mścił się za zgwałcenie córki, wrył się w pamięć wojownika niezwykle mocno. To wszystko oraz Delissa, którą przypomniał Kirkhammerowi jęzor bestii, sprawiły, że ponownie poczuł potrzebę odmóżdżenia się w swoim ulubionym do tej czynności towarzystwie. Cała kompania była już zdrowo wstawiona, a humor Młota prawdopodobnie udzielił się reszcie pijących, ponieważ poruszane były wyjątkowo posępne tematy.

– Ja to jestem, kurwa, za dobry dla tych wszystkich parszywych gałganów. – stwierdził Jaze, popijając ciemne piwo – Nic, tylko mnie wykorzystują, wysyłają za harpiami, a potem kłamią bezczelnie, że bida, panie, ni ma co do garnka włożyć, no zlituj się pan, dziecioki głodne chodzo, ale my będziemy pamiętać o dobrodzieju. Wiedzą, bezczelne chuje, że z moim złotym serduszkiem nie będę przesadnie natrętny i zgodzę się na żebraczą dolę, a potem jeszcze ładnie podziękuję.

– Cipa jesteś zwykła i tyle. – skwitował Nayel, patrząc na przyjaciela mętным wzrokiem – Ja się z dłużnikami nie pieszczę, tylko pokazuję im Pamelę i jest po herbacie – uśmiechnął się, gładząc ostrza wielkiego topora wojennego.

– A ja to mam w dupie tych ludzi i te ich pieniądze – bąknął znad kubka grzanego samogonu Derix. – Szabruję sobie ruiny i sprzedaję artefakty. Sonduję okolice pod budowle koncernów, po niższej cenie niż ci przereklamowani czarokurwadzieje z Kościoła, a i tak mam dosyć środków ruchomych na wszelkie zachcianki. Chociaż to nic przy zarobkach naszego gwiazdora. – zakończył kąśliwie, wskazując czubkiem szpiczastej brody w stronę Kylvena.

– Sknerus w dupę jebany, oligarcha. Pierdolony filantrop. Prominent jeden. – wyrecytował śpiewnie Jaze, patrząc z wyrzutem w swój kufel, jakby miał w nim pływać zwycięski los na loterię, który ktoś w ostatniej chwili zwędził.

– Panowie, czy ja się kiedyś chwaliłem mieszkaniem? Samochodem? Pokazywałem palcem wszystkie postawione mi pomniki? Szastałem pieniędzem na lewo i prawo?

– No nie – przyznał Derix – chociaż z takim dochodem, powinienesz stawiać za każdym razem limitowaną edycję apalitejskiej wódencji ze sproszkowanym złotem. – Kirkhammer już chciał coś odpowiedzieć, ale w tej samej chwili zadzwonił mu telefon. Wyjął z kieszeni komórkę. Na wyświetlaczu pojawił się napis „Kolonoskopia szczotką”. Kylven nie przepadał za rozmowami z Przewodniczącym Kolaiusem, ale odebrał.

– Słucham, szanowny panie Przewodniczący! – krzyknął, inspirowany alkoholem wojownik. Kolaius najwyraźniej domyślił się, że Młot znajduje się w stanie niezdatnym do służby, więc rozłączył się. Nie miał w zwyczaju zniżać się do dawania reprimend pijanemu Kylvenowi, jednak nadrabiał to przy pierwszej następnej okazji. Mężczyzna schował komórkę, uśmiechnął się do kolegów, wznosząc toast za Wielki Kościół i jego pełen zrozumienia zarząd, kiedy telefon zadzwonił znowu. To była Delissa. Kylven wstał od stołu, wyszedł chwiejnym krokiem z karczmy i odebrał połączenie.

– Przestań chlać do cholery i za pół godziny chcę cię widzieć w Kirkhelm – wykrzyczała czarodziejka.

– Ja też się cieszę, że cię słyszę Deli. Bardzo się za tobą stęskniłem na tym odludziu, ale jestem właśnie z kolegami, tak że jutro się zamelduję.

– Verillon nie żyje.

– Że co?! Wiesz, że lubię czarny humor, ale to mnie nie bawi.

– Nie żyje. Wysłał raport wideo z prośbą o wsparcie. Prześlę ci materiał. Potem nie było już z nim kontaktu. Nadajnik wysłał potwierdzenie zatrzymania funkcji życiowych. Mógłbyś zatem ruszyć swoje zapijaczone dupsko i pomóc nam dowiedzieć się, co się stało.

Kylven rozłączył się i bez pożegnania ruszył w stronę jednostki wypadowej Kościoła, w pobliżu lasu Dumbar, czując wzbierającą w nim wściekłość.

Jednostki wypadowe Kościoła niemal wszędzie wyglądały tak samo. Dość duży, oszklony budynek, przypominający wypolerowaną tarczę, otoczony wysokim, żelbetonowym murem. Na placu za ogrodzeniem stały zwinne, jednoosobowe buggy, małe samoloty w kształcie bumerangu z napędem antygrawitacyjnym oraz dwie opancerzone furgonetki, ustawione po obu stronach dużych, rozsuwanych drzwi wejściowych. Już przechodząc przez próg, nie zwalniając na moment kroku, Kylven warknął do żołnierza przy biurku.

– Ustaw bramę na Timhold.

– Ale... Panie Kirkhammer, mam rozkaz skalibrować teleporter na Kirkhelm – wymamrotał mężczyzna.

– Czy ja się, kurwa, pytam jakie masz rozkazy? To ja ci wydaję rozkaz, jako Ostrze Kościoła, w trybie pilnym, z najwyższym priorytetem. Ustaw bramę na Timhold.

– Ale... – Kylven rąbnął pięścią w biurko, za którym siedział żołnierz z taką siłą, że na granitowym blacie wykwitła pajęczyna pęknięć. Mężczyzna pobladł i zajął się wpisywaniem współrzędnych na klawiaturze komputera. Kirkhammer odszedł bez słowa, doszedł do końca wejściowego korytarza, wyłożonego szarym kamieniem i skręcił w prawo, w kierunku bramy. Po drodze, oglądał jeszcze raz raport Verillona, przesłany mu przez Delisę. Blackbird, Ostrze Kościoła, patrzył z przerażeniem w obiektyw swojego telefonu. Jego twarz zalana była krwią, oczy przesłonięte całunem strachu. Jego głos, zawsze mocny i konkretny, łamał się.

– Proszę o niezwłoczne wsparcie. Zostaliśmy zaatakowani w Lesie Timlin, współrzędne zostały wysłane – w tle słychać było krzyki ludzi, szcęk broni oraz jeszcze jeden dźwięk, z którym Kylven się nigdy wcześniej nie spotkał. Był to jakby ryk, jednak zbyt potworny, aby był ludzki, a jednocześnie miał w sobie znamiona strun głosowych

przystosowanych do artykułowanej mowy. Bestie posiadające swój język nie miały jednak płuc ani gardeł, zdolnych do tak straszliwego ryku. Dźwięk ten urywał film, świadcząc prawdopodobnie o śmierci Verillona. Kylven analizował każdy fragment nagrania, starając się wyłapać wszystkie wskazówki na temat tego, z czym będzie się musiał zmierzyć. Doszedł do końca przesadnie długiego korytarza, wszedł między ramiona teleportera i wpisał kod na klawiaturze komórki.

Po skoku przez bramę, Kylven od razu skierował się do wyjścia z jednostki. Po drodze do głównych drzwi, zabrał z zamykanej kodem szafki, kluczyki od jednego z terenowych buggy. Kirkhammer wyszedł z budynku, zachwiał się lekko i przeklął w myślach swoją słabość do napojów wysokowych, po czym nacisnął przycisk na kluczyku. Jeden z samochodów zapiszczał, jakby uradowany z przejażdżki. Wojownik nie wiedział po co ten sygnał w pojazdach. Nie miały one drzwi. W ogóle nie pokrywała ich karoseria. Samochód ograniczał się do ramy i klatki bezpieczeństwa ze wzmocnionego aluminium, w której upchnięto silnik, układ kierowniczy i całą resztę niezbędnych do jazdy konstrukcji. Kylven wsiadł do pojazdu, odpalił go i wyjechał za bramę kompleksu Kościoła. Obrął drogę prowadzącą do serca lasu Timlin. Jednostka wypadowa znajdowała się na obrzeżach Timholdu, więc wspaniałe, leśne miasto mógł zobaczyć jedynie we wstecznym lusterku. Niezbyt wysokie wieżowce z wielkimi balkonami, z których niczym wodospad spływały zielone fale ogrodów, a u ich stóp ulice, wytyczone pomiędzy najstarszymi drzewami skraju lasu Timlin, wiły się niczym węże. Przysadziste budowle o sięgających ziemi, kopulastych dachach porośnięte były trawą i różowymi wrzosami. Na domiar tego bajkowego krajobrazu, każdy budynek miał niezwykle lekką architekturę. Łuki, zwieńczenia dachów, nieregularne ściany i fasady wkomponowywały się w pierwotny gąszcz roślin i wzbogacały go. Kylven uwielbiał Timhold oraz cenił sobie jego ludność, ponieważ umiała ona żyć w harmonii z naturą. Ich miasto współgrało z lasem, a oni sami znali zwyczaje potworów zamieszkujących głębsze części puszczy, więc rzadko w tych okolicach konieczna była interwencja Kościoła. Ostatnimi czasy potwory stały się jednak wyjątkowo agresywne, co zaowocowało misją Verillona. Kirkhammer szybko zakończył swoje rozmyślenia w momencie, kiedy o mały włos nie uderzył w przydrożne



drzewo. Jechał dalej, skupiając już swoją uwagę na drodze, kiedy zadzwonił jego telefon. Wyświetlacz pokazał numer Kolaiusa, więc Kylven odrzucił połączenie. Nie odebrał również połączenia od Delissy, ponieważ wiedział, że będzie miała dla niego jedynie wyrzuty, pouczenia i obelgi. Podniósł telefon do ucha dopiero, kiedy zadzwonił Rhaglion.

– Co jest?

– Stary, co ty odpierdalasz? – zapytał wzburzonym głosem Dawnstar

– Jadę wypatroszyć to coś, co zabiło Verillona.

– Domyślam się. To coś zabiło Blackbirda, Ostrze, razem z oddziałem dwudziestu pięciu Rąk, a jego oddział to naprawdę twarde skurwysyny.

– Dlatego tam jadę. I tak by mnie wysłali.

– Ale nie samego! Mieliśmy iść tam wszyscy! Verillon był także moim kumplem!

– Więc powinieneś już tutaj być i zapierdalać obok mnie drugim buggy

– podsumował Młot, rozłączył się i bez zastanowienia wyrzucił telefon. Zarząd i tak da mu naganę za działanie bez rozkazu, więc utrata służbowego sprzętu nie zmieni wiele. Kylven przyspieszył i jeszcze raz zaczął analizować w myślach nagranie z ostatnich chwil życia Blackbirda.

Kylven zatrzymał się obok opancerzonych wozów, którymi przyjechał oddział Verillona. Samochody zaparkowane były na polanie, przed ścianą zagęszczającego się dalej lasu. Mężczyzna zgasił silnik, wysiadł i przytrzymał się ramy pojazdu, żeby się nie przewrócić. Alkohol jeszcze krążył w jego żyłach, ale Kylven nie miał czasu się tym przejmować. Poprawił ułożenie mieczy na plecach i ruszył po licznych śladach zakutych w kościelną stal butów. Kirkhammer zagłębił się w gęszczu Timlinu, obserwując równą ścieżkę, wydeptaną przez dwudziestu sześciu mężczyzn. Dookoła niego, wiatr szumiał w koronach kolosalnych drzew, tu i ówdzie słońce nieśmiało docierało swoimi wątlymi promieniami pomiędzy liście, nadając krajobrazowi niemal mistyczny wygląd. Niepokoju całej atmosferze dodawał pozorny brak zwierząt. Nawet wyczulony słuch Młota nie mógł wyłuskać z mąconej tylko szmerem kołysanych gałęzi ciszy, odgłosów fauny. Nie śpiewał żaden ptak, nie czmychnęła ani jedna spłoszona sarna, nawet

jaszczurki ani węże nie szeleściły w trawie. Las jakby spał, lub starał się ukryć swoją obecność przed czymś niewyobrażalnie okrutnym. Wódka zawsze tłumiała nadnaturalną percepcję Kylvena, tym razem również nie było inaczej i wojownik zauważył obecność potworów dopiero, kiedy je usłyszał. Zza wysokiego krzaka bzu, dobiegały go głosy dwóch satyrów. Rozchylił lekko gałęzie i zorientował się, że stwory dzieliły między siebie sprzęt znaleziony przy jednej z zamordowanych Rąk.

– O! Jaki ładny sztylet. Jednak te małpiszony potrafią zrobić coś, na czego widok nie chce się rzygać.

– Taaa... Oprócz tego nożyka nie ma nic ciekawego. Zbroja za ciężka i paskudna, miecz wygląda jak kutas przeklętego...

– Spokojnie, jest jeszcze dwadzieścia ciał do ogarnięcia. Tamten z młotkiem miał całkiem niezłe fanty.

– Zwariowałaś?! Ich dowódcę zabrał szef. – Kylven starał się nie atakować z zaskoczenia. Podbiegł więc w stronę rosnącego po prawej stronie dębu, skoczył i odbił się od jego pnia. Już w powietrzu wyszarpnął łaskę z pochwy i gwizdnął, dając satyrom sekundę na ratunek. Stwory nie wykorzystały swojej ostatniej chwili życia na coś bardziej konstruktywnego, niż ciche „O kurwa”. Kirkhammer wylądował na klatce piersiowej pierwszego, przy akompaniamencie łamanych żeber i powietrza uciekającego z przebitych płuc. Drugiego ciał krótko pod kosmatym uchem, końcówką ostrza. Oba potwory umarły bardzo szybko. Kylven rozejrzał się po poboju, dostrzegając wiele ciał zabitych Rąk, porozrzucany rynsztunek i sprzęt. Nie zdążył się jednak niczemu dokładnie przyjrzeć, ponieważ z lasu dobiegł go tętent kopyt. Mężczyzna podniósł z ziemi mały toporek, należący do jednego z satyrów i skierował się w stronę hałasu. Po chwili, z lasu wyłonił się centaur, pędzący na Kylvena w pełnym galopie z pochyloną w jego kierunku halabardą. Młot rzucił w napastnika toporkiem, jednak tamten z gracją uniknął wirującego wściekle ostrza, nie zwalniając biegu. Wojownik w odpowiedzi, ruszył na centaura lekkim, kocim krokiem. Trzy razy zmienił tempo, a tuż przed zderzeniem zakołysał biodrami w lewo, w prawo i znów w lewo, obserwując podążający za nim szpic halabardy. Raptownie zwinął się w uniku, zawirował w lewą stronę i wyrzucił asekuracyjnie klingę za plecy. Minął rozpędzonego i

zdezorientowanego potwora, i zamaszystym cięciem uderzył go w prawą tylną nogę. Centaur zaryczał przeraźliwie i zarył w ściółkę, rwąc mech i darń. Kirkhammer już pędził w jego stronę, szykując się do decydującego pchnięcia, kiedy bestia, niczym sprężyna, zerwała się z ziemi i rzuciła na wojownika z zamaszystym, poziomym ciosem. Kylven odchylił się do tyłu, wbił piętami w glebę i lekko wysunął przed siebie ostrze miecza. Halabarda centaura z brzękiem uderzyła o brzeszczot Łaski, nadając ogromny pęd mężczyźnie, który ten wykorzystał, natychmiast skacząc w piruecie i atakując z obrotu. Kirkhammer poczuł jak klinga przecina mięśnie potwora i niemal niezauważalny opór, gdy przedzierała się przez kręgosłup. Połowa końskiego ciała centaura, od strony zadu, opadła sparaliżowana. Potwór, obciążony, odchylił się do tyłu, wrzeszcząc, klnąc i wymachując wściekle bronią. Kylven nie czerpał radości z tego widoku, więc odbił jedno z desperackich pchnięć ukośną paradą i zaatakował samym czubkiem miecza znad prawego barku, zatrzymując cięcie w połowie klatki piersiowej bestii i przechodząc do sztychu przez serce. Centaur osunął się martwy, na miękkie wrzosowisko, które przyjęło jego ciało z cichym szelestem, niemal czułością i długo skrywanym oczekiwaniem. Czempion Kościoła wytarł ostrze w mech i skierował się w stronę śladów, prowadzących dalej w głąb lasu, kiedy jego umysł, pomimo nadal szumiącego alkoholu, uderzyła obecność tak silna, że mężczyzna niemal zwymiotował od skoncentrowanej na nim woli. Najwyraźniej agonalne krzyki centaura rozzłościły coś, z czym Kylven nie miał jeszcze do czynienia w swojej bogatej karierze. Być może to coś zabiło Verillona. Ta myśl utrzymała ciało wojownika na nogach, oraz rozjaśniła jego umysł. Kirkhammer uniósł miecz i oczekiwał nadchodzącego zagrożenia w pozycji gotowej do starcia. Spomiędzy leszczyn wyłoniła się postać zupełnie niepodobna do żadnej z rycin kościelnego bestiariusza. Bestia poruszała się zupełnie jak człowiek, na dwóch nogach, lecz na tym podobieństwa się kończyły. Potwór przewyższał Kylvena o przeszło metr. Jego głowę stanowiła naga czaszka, przypominająca jelenią, z okazałym porożem, w której oczodołach świeciły nienawistne ognie. Ręce i nogi sprawiały wrażenie konarów drzew, porośniętych mchem i jemiolą. Dłonie i stopy stanowiły splecione kolczaste gałęzie, pokryte zakrzepłą krwią. Od pasa w dół, stworzenie ubrane było w spódnicę z

trawy, do której włókien przywiązane były czaszki ludzkie i zwierzęce. Na widok Kylvena, potwór zatrzymał się i zlustrował go wzrokiem płonących oczodołów.

– To ty zarżnąłeś mojego kolegę i jego oddział, przerośnięty bukszpanie. – powiedział Kirkhammer – Jak słyszałeś, jestem nieco wkurwiony, więc nie dam ci odejść. Skończysz w moim kominku, ty kupo chrustu.

– Wtargnąłeś z mieczem do mojego lasu, zabiłeś moje dzieci i jeszcze masz czelność mi grozić? Mi?! Lavecilowi, Opiekunowi Puszczy?! – odezwał się stwór, głosem przypominającym jęk uginającego się drewna – Ludzie... – bestia wypluła z siebie to słowo z obrzydzeniem równym temu, które okazywał Derix, kiedy podawano mu samogon w temperaturze poniżej sześćdziesięciu stopni – jesteście tacy głupi, bezczelni i odrażający. Arogancja przemawia przez was, pomimo wszystkich żalosnych słabości. Dlaczego On was wybrał...?

– Nie wiem o co chodzi, więc po prostu zacznę cię zabijać. I nie jestem człowiekiem. – Kylven zakończył dyskusję i zaatakował. Nie miał w zwyczaju przyznawania się do błędów, tym razem nie było inaczej. Jednak, rozważając konsekwencje tej konkretnej decyzji, była ona błędna. Błąd ten można porównać jedynie do ewolucji w momencie, w którym postanowiła ona skrócić w stronę rozwoju komarów. Pokraka, mimo dużych gabarytów, poruszała się lekko i zwinnie. Atakowała ostrymi kolcami palców, po czym natychmiast odskakiwała i nacierała znowu. Młot Kościoła wirował w unikach, parując część ciosów i uskakując przed innymi. Kiedy potwór szczególnie szeroko machnął rozczapierzoną łapą, Kylven wygiął grzbiet, przeskakując tuż nad nią, dokończył salto w tył i natychmiast ciął z dołu, celując w brzuch przeciwnika. Ten jednak zniknął. Rozpłynął się w powietrzu. Kirkhammer zacisnął zęby ze złości i wytężył zmysły, w poszukiwaniu bestii. Wtem, usłyszał szum za swoimi plecami. Wojownik zakręcił się w miejscu jak piskorz i ciął szeroko, jednak za późno. Potwór, który przed chwilą stanowił chmurę wirujących z szaleńczą prędkością liści, teraz kopnął go w pierś, dokładnie tak, jak Kylv młodzika, kilka dni temu. Czempion Ostrzy przeleciał dobre trzy metry do tyłu, upadł na plecy i przetoczył się do tyłu, natychmiast zasłaniając się łaską, co zatrzymało pazury stworzenia przez rozplatanie go na pół. Fakt, że

ciało Kirkhammera wytrzymało takie uderzenie, zbiło bestię z pantałyku i wściekły Kylven miał okazję do kontrataku. Rąbnął przerośniętego stracha na wróble pod pachą, obrócił się i poprawił cięciem pod kolano. Niestety, potwór nie miał ścięgien ani tętnic, więc ciosy nie zrobiły na nim wrażenia i odpowiedział potężnym uderzeniem wierzchem kolczastej dłoni. Kylv zanurkował pod łapą, odskoczył do tyłu przed drugą i zamachnął się znad głowy, celując w głowę poczwary. Przeciwnik znowu użył sztuczki ze znikaniem, jednak tym razem, rzucił się na wojownika. Kylvena zważyło z nóg, jakby został walnięty taranem, a wirujące w morderczym tańcu liście siekły go po twarzy. Zastłonił twarz rękoma, a kiedy nawałnica oddaliła się, nabierając ponownie rozpędu, dobył Furi, dzierżąc teraz oba miecze. Nie był pewien, czy w tej formie potwora da się zranić, jednak nie mógł pozwolić sobie na kolejne wybicie z pozycji szermierczej. Czekał cierpliwie, a kiedy ciemna chmura pyłu i listowia zbliżyła się na dwa metry, skoczył w jej stronę. Kirkhammer zaczął wirować i kręcić dzikie młyńce oboma ostrzami, które zaczęły jarzyć się krwisto czerwonym blaskiem. Zawierucha rozproszyła się przed nim z rozdzierającym hukiem i jakby piskiem ranionego zwierzęcia. Potwór przyjął swoją pierwotną postać i osunął się na kolana. Kylven szedł w jego kierunku, szykując się do obcięcia mu głowy, kiedy bestia wbiła w glebę szpony lewej ręki. Ziemia zaczęła drżeć i wybrzuszać się, jakby ogromne krety zaczęły z niewiarygodną prędkością drążyć tunele w stronę Młota. Czempion Ostrzy chciał odskoczyć, jednak zanim to zrobił, spod jego nóg wystrzeliły giętkie, kolczaste gałęzie i oplotły się wokół jego rąk i nóg. Kylven nie mógł się ruszyć. Potwór zarechotał, wyrwał łapę z gleby i podszedł do swojej ofiary.

– Jesteś dobry. Być może najlepszy w tym żałosnym stowarzyszeniu nieudaczników, którzy myślą, że coś znaczą w naszym świecie. O niczym nie macie pojęcia, nie wiecie skąd jesteście i po co istniejecie, a jednak rościcie sobie prawa do tej ziemi. Naszej ziemi! Pokażę ci, do czego zostaliście stworzeni i będzie to nauką dla wszystkich odrażających robaków w tym śmiesznym kościółku.

Kylven słuchał cierpliwie i czekał, aż brocząca żywica poczwara zbliży się na odległość ostrza. Tak jak się spodziewał, mimo lania, które od niego otrzymał, potwór nadal uważał go za zwykłego człowieka. Miał

bez wątpienia doświadczenie w unieruchamianiu ludzi. Cóż... Przyzwyczajenia są niebezpieczne. Kiedy bestia podeszła wystarczająco blisko, Kirkhammer napiął prawe ramię, zerwał pętające go gałęzie i odciął wyciągniętą w swoim kierunku dłoń. Potwór cofnął się, dając wojownikowi czas na kompletne uwolnienie się. Kylven kopniakiem odtrącił zdrową rękę, którą potwór chciał się zasłonić, zrobił piruet i z wielkim impetem odrąbał mu nogę. Bestia zwała się na ziemię, pograżając las Timlin we wrzasku, przed którego dźwiękiem uciekały wszystkie zwierzęta w promieniu wielu kilometrów.

– Mówiłem ci, że nie jestem człowiekiem – syknął Kirkhammer, unosząc Łaskę i Furię. Widział już przerażenie, które przygasiło ogień w oczodołach bezbronnej pokraki, kiedy oślepił go blask, jakby ktoś ustawił mu przed twarzą dysk słoneczny. Kylven cofnął się o krok, a po chwili zobaczył przed sobą postać w śnieżnobiałym mundurze. Biały płaszcz kołysał się koło wysokich, czarnych butów, stojących pośród tłęcej się trawy. Srebrne naramienniki błyszcząły jakby swoim własnym światłem, a trzymana przez przybysza znikąd szabla, emanowała energią. Powietrze wokół klingi drgało. Twarz postaci zakryta była przez hełm, którego wizjer, pokryty czarnym szkłem, miał kształt dwóch prostych, krzyżujących się na poziomie oczu. Młot Kościoła chciał powiedzieć, żeby intruz zszedł mu, kurwa, z drogi, jednak zanim otworzył usta, tamten przemieścił się w jego kierunku szybciej niż jedno uderzenie serca, zostawiając za sobą świetlistą smugę i ciął Kylvena między żebra. Kirkhammer poczuł jak zapiera mu dech i próbował bronić się, młynkując mieczami, jednak ruchy jego przeciwnika były nie do zarejestrowania, nawet przez nadludzkie zmysły Kylva. Drugie cięcie, wymierzone w ścięgno Achillesa, zwała Młot Kościoła z nóg. Mężczyzna zdusił krzyk i poczuł tępe uderzenie. Zorientował się, że dostał kopniaka w skroń dopiero, kiedy upadł na ziemię. Z trudem podniósł się na łokciach, kaszląc i odpluwając krew. Wtedy, niebawym przeciwnik, obrońca leśnego monstra, położył klingę swojej szabli na karku Kylvena. Metal był ciepły i niezwykle ostry. Zaledwie dotknięcie sprawiło, że Kirkhammer poczuł krew ciekącą po szyi. – *Tym razem zjebałeś, Kylv. – pomyślał – Przynajmniej przegrałeś z kimś, kto mógłby pociąć wszystkie oddziały Kościoła na plasterki, a Kolaiusa zamienić w najbardziej nadęte Carpaccio w historii światowej*

*gastronomii. Koniec z tym gównem, z walką za bezwartościowe hasła beznadziejnych ludzi, którzy myślą, że mogą zmienić ten plugawy świat. Koniec z Delissą i zmaganiem się z przeciwnikiem gorszym nawet od tego tutaj. Bo rozczarowanie w jej oczach mogłem zobaczyć, chociaż też nie potrafiłem się przed nim obronić. Koniec z tym życiem nie wartym przeżycia. – Przedśmiertny monolog w głowie Kylvena został brutalnie przerwany, kiedy zamiast upragnionej błogości nieistnienia i wiecznego spokoju w objęciach śmierci, ujrzał czarny buciór, lecący w stronę swojej twarzy. – Nosz kurwa mać. – zdążył jeszcze pomyśleć, a potem zapadła ciemność, wypełniona jedynie bólem.*

# *Część II*

## *Rozdział 1*

Kylven ocknął się z potwornym bólem głowy, który potęgowała nieskazitelna biel otaczających go ścian. Ich blask kąsał oczy mężczyzny jak stado rozwścieczonych yorków, z właściwą tylko im zdolnością do natrętnego wkurwiania. Kirkhammer siedział na chybotzącym się krześle, w śnieżnym pokoju o wymiarach cztery na cztery metry. Rozejrzał się. Za nim znajdowały się proste, drewniane drzwi z okrągłą klamką. Na wprost przed nim natomiast, stała ładowana od góry pralka jakiejś znanej firmy, która absolutnie zdominowała rynek AGD. Czempion Ostrzy chciał wstać i wyjść z dziwaczного pomieszczenia, ale w tej samej chwili, jakby odczytując jego myśli, pralka odezwała się drwiącym głosem, kłapiąc pokrywą:

– Jaki tam z ciebie czempion? Zostałeś pokonany, upokorzony. Tamten gość nawet nie dał ci łaski śmierci, tylko kopnął w mordę, jak psa i wydał wyrok życia z tym wstydem. Dobrze wiesz, że Rada i Przewodniczący Kolaius trzymają cię w Kościele tylko dlatego, że jesteś niepokonaną bronią, Młotem Kościoła, maszyną do zabijania, która czasami jest niezbędna do siania strachu. Tak właściwie, to to już przeszłość. Wszyscy mają cię serdecznie dość, z tą całą arogancją i pogardą, jakbyś był lepszy od zwykłych ludzi. Wyrzucą twoją zapijaczoną dupę z organizacji, nigdy więcej nie zobaczysz Delissy, a twoi rodzice nigdy nie zostaną pomszczeni. Spójrz prawdzie w oczy, bez technologii i sprzętu Kościoła nie wytropisz nawet swojego kutasa



w gaciach, a co dopiero Naznaczonego. To twój koniec, śmieciu. Dziwię się tylko, że nadszedł tak późno.

Kylven był o krok od roztrzaskania pyskatego porywacza skarpetek, ale wtedy klapa pralki otworzyła się na całą szerokość, a z wnętrza urządzenia wyłonił się świetlisty wojownik, który pokonał go w walce. Kirkhammer odsunął się na krzesło, lecz postać rosła ponad rozmiary, które zapamiętał, pochylając się nad nim, aż zaczęła przypominać rozjarzoną górę. Młot był sparaliżowany, miał wrażenie, że zza szklanego wizjera hełmu patrzą na niego dwie czerwone gwiazdy, które przewiercają go na wylot wrzącym spojrzeniem. Pokój jakby pociemniał. Biel ścian pokrywała sadza, która tworzyła wzory, jak szron na szybach ulubionego samochodu Kylvena w styczniowe poranki. Te rysunki przedstawiały twarze wykrzywione cierpieniem, rozwarte w wiecznym krzyku usta, spękane i broczące krwią. Wkrótce, na podłogę spływały już miliony cienkich czerwonych strużek. Świetlna postać nadal stała nad Kylvem, kiedy zza jej pleców wyłoniły się cztery inne figury. W jednej z nich, mężczyzna rozpoznał potwora z lasu, który przedstawił się jako Lavecil, pozostałe trzy były rozmazane i niewyraźne. Cienie zajęły miejsca obok monstrum z pralki i stanęły w półkolu, dookoła Kirkhammera. Wszystkie patrzyły na niego z palącą nienawiścią, w której tylko czasami na ułamek sekundy pojawiał się smród strachu. A może to tylko przywidzenie wynikające z arogancji Kylvena? Jednak czuł gdzieś głęboko, w samym źródle ognia, który w nim płonął, a o którym powtarzali mu znajomi druidzi i czarodzieje, że był w stanie pokonać wszystkie cztery stojące wokół niego monstra. Gdyby całość tej sceny stanowiła mgłę nad porannym lasem Timlin, to świadomość własnej siły Kylva, byłaby ukrytą pośród niej pajęczyną arachnopleryxa, która potrafiła zatrzymać galopującego centaura. Świetlisty wojownik był jednak inny. Jego wzrok zdawał się zwęgląć skórę młota, jednak spojrzenie to było całkowicie obojętne. Nie dało się w nim znaleźć nawet miligrama emocji. Jedyne, co od czasu do czasu przemykało pomiędzy płomieniami szalejącymi za szklanym krzyżem na hełmie, był ból. Nie fizyczny, lecz dużo gorszy, tnący wnętrzości jak skalpel, prowadzony ręką szaleńca. Kirkhammer wiedział, co musi zrobić. Było to równie oczywiste jak to, że nigdy nie będzie już z Delissą. Wstał z krzesła i sięgnął po miecz, kierując się w stronę

czterech upiorów. Rycerz ze światła pokręcił tylko przecząco głową i powiedział:

– Równowaga to jedyna siła, która utrzymuje ten świat w harmonii. Jest ślepa na sprawiedliwość, cierpienie, winę i zemstę. Jest ponad to wszystko. Nie jest ludzka ani potworna. Jest znienawidzona przez każdą cząstkę świadomości we Wszechświecie, ponieważ jest konieczna, niezastąpiona i niezwyciężona. Ja jestem jej Strażnikiem. Po tych słowach, wszystkie postaci, które znajdowały się w pokoju z Kylvenem, zniknęły. Zniknęła również pralka, krzesło i cały pokój. Kirkhammer unosił się w przestrzeni bezgranicznego Kosmosu, którego zimna pustka otaczała mężczyznę, jakby starając się ukołysać go do snu, w którym miał się pogodzić z losem własnym oraz świata. Powieki Młota były ciężkie, jakby pokryte ołowiem. Chłód próżni dawał jakieś dziwne ukojenie, był niemal obietnicą wiecznego ukojenia. Ten sen, który wciskał się Kylvenowi pod czaszkę, miał być świadectwem jego kapitulacji, a jednocześnie łaską za brak oporu. Mężczyzna zamknął oczy i oddał ostatni oddech. Z tchnieniem tym wyszeptał ciche „*Nie*”, a następnie eksplodował w potężnej kuli ognia, która strawiła Wszechświat w płomieniach buchających niehumanym krzykiem.

## *Rozdział 2*

Kylven ocknął się z potwornym bólem głowy. Spodziewał się ukąszenia bielonych ścian i widoku gadatliwej pralki. Powitała go jednak jednoosobowa sala w skrzydle szpitalnym warowni Kirkhelm. Biała była jedynie okrywająca go kołdra. Płaski telewizor na przeciwległej ścianie milczał. Przy łóżku Kylvena siedział Rhaglion. Wyraźnie ucieszył się widząc, że jego przyjaciel się ocknął, jednak szczery uśmiech nie mógł zamaskować oznak zmęczenia. Worki pod przekrwionymi oczami świadczyły, że siedział tu co najmniej dobę. Kirkhammer odwzajemnił uśmiech, chociaż został on przerwany przez ukłucie bólu pomiędzy czwartym i piątym żebrzem.

– Spokojnie stary – powiedział Dawnstar. – Nieźle cię

pokiereszowało... To, co cię pokiereszowało. Serio, dostałeś srogi wpierdol. Lekarze i uzdrowicielki wypruwali sobie przy tobie żyły. Ledwo cię odratowali. Co się w ogóle stało?

– Jak źle było?

– Przecięty achilles i złamany nos, to nic nadzwyczajnego. Zwłaszcza u ciebie. Ale to cięcie między żebra... Miałeś rozcięte płuco aż do serca. Myślałem, że się nie wylizasz...

– No ale się wylizałem.

– Niby tak. Nigdy nie przestanie mnie dziwić ta twoja regeneracja. No ale mów, co cię tak sprąło? Kylven opowiedział pokrótce swoje starcie z leśnym potworem i świetlistym wojownikiem obserwując, jak oczy Rhagliona rozszerzają się coraz bardziej. Był jednak pewien, że przyjaciel nie wątpi w żadne słowo. Znał jego umiejętności i widział jakie odniósł obrażenia. Doświadczone Ostrze nie potrzebowało innych dowodów. Kiedy Kirkhammer skończył mówić, Dawnstar zmarszczył brwi, jak zawsze kiedy był zamyślony. Rzadko się to zdarzało, ale jednak zdarzało. – No nieźle... Po cichu myślałem, że jakiś przeciwnik cię kiedyś przerośnie, ale spodziewałem się raczej czegoś wielkości tego zamku.

– Dzięki, Rhag. Zawsze wiesz jak mnie pocieszyć – powiedział kwaśno Kylven. – Właściwie, jak mnie znaleźliście?

– Rada wysłała mnie i Delissę z naszymi oddziałami w miejsce, z którego nadawał Verillon. Według ich polecenia, również miałeś się tam udać. Gdybyśmy poszli tam razem, pewnie byłoby inaczej.

– Nie mogłeś sobie darować tej uwagi.

– Nie, nie mogłem. Zatem, po rozmowie z tobą, pospieszyliśmy się jeszcze bardziej. Na miejscu Delissa wykryła potężne zakłócenia aury energetycznej. Skierowaliśmy się do ich źródła. Na miejscu leżałeś ty. Zabraliśmy cię do Kirkhelm i oto jesteś. Tadam – z niezręcznym uśmiechem zakończył Dawnstar.

– Dzięki... Podziękuj też ode mnie Delissie, jak będziesz się z nią widział.

Rhaglion spochmurniał jeszcze bardziej, co nadało jego zmęczonej twarzy iście upiorny wygląd.

– Nie możesz sam tego zrobić? Unikanie jej jest dosyć dziecinne. Zwłaszcza, że pracujecie razem. Nie możecie się jakoś dogadać?

– To nie jest takie proste. Zresztą, ugoda z nią to teraz ostatnia rzecz, na którą mam ochotę, i o której chciałbym myśleć, mając świeżo połatane płuco i stopę.

– Jak chcesz. – Rhaglion nie ukrywał rozczarowania i zażenowania zachowaniem przyjaciela, co nie umknęło uwadze Kylvena. Kirkhammer ułożył się wygodniej na łóżku i z udawanym rozmarzeniem powiedział:

– Ciekawe czy o tej przygodzie też ktoś napisze piosenkę...

Dawnstar mimowolnie parsknął śmiechem.

– Być może powstanie następny hit, jak ten od Penelopy?

Młot Kościoła również się zaśmiał.

– Daj spokój. Nawet nie chcę myśleć ile wiader spermy musiała połknąć ta wyfiokowana kpina ze sztuki piosenkarskiej, żeby jej tego gniota opublikowali.

– Zapewne dokładnie tyle samo, co cała reszta „artystów”, których słyszy się w radiu.

Śmiech mężczyzn wypełnił sale chorych, przyciągając ciekawskie uszy w kierunku bielonych korytarzy.

– Może dlatego teraz tylko ten paździerz się wszędzie słyszy...

– ...bo inaczej nie miałyby kto obciążać właścicielom wytwórni!

Przyjaciele powstrzymali łyzy radości dopiero po kilku minutach. W tym czasie, zdążyli zapomnieć, chociaż na chwilę, o przebytych trudzie.

– Właśnie! A propos grubych ryb, Kolaius chce się z tobą widzieć. Pilnie.

Kylven jęknął. Zdawał sobie sprawę, że Przewodniczący nie miał zamiaru czekać aż Kirkhammer choć trochę wydobrzeje. Rozmowa z nim i Delissą to para najmniej lubianych przez Kylvena rozrywek. Wyprawa do Kolaiusa mogła się jednak wiązać z koniecznością użycia wózka inwalidzkiego, a to otwierało całą gamę możliwości umilenia sobie drogi do Głowy Kościoła, a zarazem zasiania chaosu w skrzydle szpitalnym.

– No dobra, zaraz do niego pójde. – powiedział Kylven i zaczął gramolić się z łóżka.

– Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie! On przyjdzie do ciebie.

Kirkhammer autentycznie zbaraniał na tę wiadomość. Przewodniczący Kolaius wybiera się do niego, najbardziej bezczelnego i aroganckiego żołnierza w szeregach Kościoła. Głowa Kościoła, ten

sztwywniak z arystokratycznym uśmieszkiem i oficjalnym tonem, zasuwa pieszo przez korytarze warowni Kirkhelm do skrzydła szpitalnego, żeby porozmawiać z darzonym wątpliwą sympatią, traktowanym jak zło konieczne, Młotem Kościoła. Faktycznie musiało mu zależeć na tej rozmowie.

Rhaglion cieszył się widokiem konsternacji na twarzy towarzysza przez jakiś czas. Smakował tę chwilę jak kieliszek ulubionego, wzmacnianego brandy, wina.

– Dobrze słyszałeś i nie żartuję.

– W takim razie muszę się przygotować do tej wizyty. Wyprasuję szpitalne wdzianko... Ale przede wszystkim zapalę.

– Rzuć w końcu te fajki! – powiedział Rhaglion bez przekonania, ponieważ prośby tego typu od wielu lat pozostawały bezowocne.

– Rhag, ktoś skopał mi tyłek, pierwszy raz od mojego... wypadku. Czuję się upokorzony, moja duma i wiara w umiejętności zostały zdeptane. Poza tym jestem obolały i czeka mnie rozmowa z Przewodniczącym. Należy mi się odrobina przyjemności.

– Jak chcesz. Wpadnę do ciebie jutro. Gdybyś czegokolwiek potrzebował, dzwoń. Trzymaj się, mistrzu.

– Dzięki, ty też.

Dawnstar wstał z taboretu, przeciągnął się i ziewnął. Potem mrugnął do Kylvena i wyszedł z pokoju. Kirkhammer odprowadził przyjaciela wzrokiem i zajrzał do szafki stojącej przy łóżku. Znalazł tam rzeczy, które miał przy sobie podczas wyprawy do Timlinu. W szufladzie znajdował się portfel, jego ulubione papierosy, metalowa zapalniczka na benzynę z ozdobną, rogatą czaszką oraz naszyjnik, który najwyraźniej musiał zostać zdjęty na czas operacji. Ubranie oraz broń, spodziewał się znaleźć w szafie lub w depozycie w zbrojowni. Kylven wyjął naszyjnik, położył sobie na dłoni i zaczął delikatnie dotykać go palcami, milimetr po milimetrze, jakby pierwszy raz go widział. Był to niewielki kamień w kształcie łzy. Czarny niczym nocne niebo w bezgwiezdną noc, z jego wnętrza dobiegał oczu znikomy, ognisty blask, który falował i zmieniał kształt, jak gasnący na wietrze płomień. Przedmiot był ciepły. Kamień zamocowany był na srebrnym łańcuszku. Wyglądał niezwykle, aczkolwiek jego natura była po wielokroć bardziej intrygująca. Artefakt ten, nosił nazwę Syjamskiej Łzy. Drugą, podobną

jak kropla wody, lecz jarzącą się błękitnym blaskiem, miała Delissa. Kylven podarował jej amulet, kiedy po raz pierwszy wyznał jej miłość. Według legend, kamienie te powstawały, kiedy rozdzielano operacyjnie bliźnięta syjamskie złączone głowami, dzielące wspólne oko. Kiedy pacjenci nie przeżywali zabiegu, z tego oka płynęła łza, po czym natychmiast zamieniała się w litą skałę, a następnie pękała na dwie identyczne części. Niektórzy uważali, że bliźnięta ze wspólnym okiem, mają jedną duszę, która podczas operacji, dzieliła się na dwoje. Jeżeli jednak bliźnięta były tak nierozłączne i przywiązane do siebie, dusza rozpadała się dopiero po śmierci, w postaci Syjamskich Łez. Kylven uwielbiał tę legendę. Poza tym, kamienie te miały niezwykłą właściwość. Posiadacz jednego fragmentu, po zaciśnięciu w dłoni i wypowiedzeniu imienia właściciela drugiej połowy, mógł się do niej natychmiast teleportować, bez znajomości zaklęć czy inżynierii tego procesu. Kirkhammer chciał w ten sposób mieć pewność, że Deli zawsze będzie mogła go do siebie wezwać, niezależnie od sytuacji. Jedynym mankamentem amuletu było to, że po użyciu rozpadał się. Wyrwanie portalu przestrzennego wymagało całej mocy, zgromadzonej w obu łzach. Kylven przyglądał się przez chwilę czerwonym refleksom w czarnym kamieniu, po czym powiesił go na szyi i schował pod koszulę szpitalną. Sięgnął po papierosa, zapalił i zaciągnął się głęboko. Mężczyzna zaczął zastanawiać się czy Delissa w ogóle ma jeszcze swoją Łzę. Przed oczami pojawił mu się czarny kamień, osadzony w srebrnej bransoletce na nadgarstku kobiety, którą kiedyś kochał. Kiedyś? Nie. Zdecydowanie nie. Pomimo upływu lat, wyraźnej niechęci ze strony Stormbringer, pomimo złych wspomnień i potwornego bólu, który odczuwał na każdy jej widok, uczucia Kylvena nie wygasły. Nie zmieniły się, pod wpływem chaosu zdarzeń, które między nimi zaszły. Czasami Młot miał wrażenie, że miłość do Deli to jedyne uczucie, jakie w nim pozostało. W pewnych momentach był nawet pewien, że to jedyna rzecz, która łączyła go z człowieczeństwem. Utrata rodziców, potworności ludzi, których był świadkiem, pozbawiły go większości emocji, jednak nagłe rozstanie z czarodziejką wyrwało dziurę w Kylvenie. Przez ten ziejący otwór wyciekło z niego wszystko, co można uznać za ludzkie, co dawało radość i nadzieję na lepsze jutro. Kirkhammer próbował wypełnić jamę w swoim sercu inną kobietą,

pracą, poszukiwaniem wartości, które mogłyby zainspirować go do dalszej walki z tym okrutnym światem. Na próżno. Dziurę zamieszkiwała tylko gorycz, obojętność i apatia, które oddalały Kylvena od społeczeństwa i znajomych, z zachowaniem jedynie najbliższych przyjaciół. Chociaż nawet wśród nich, mężczyzna zaczął dostrzegać oznaki fałszu i nuty niechęci. Przestał przywiązywać się do napotykanym osobom. Z braku zainteresowania otoczeniem stworzył kokon, w którym schował się przed porzuceniem, brakiem zrozumienia i swoją własną alienacją. Miało to swoje zalety. Dziura nie powiększała się. Oczywiście nie była to droga, która mogła prowadzić do jej załatania. Kylven nie widział jednak innego sposobu na odwrócenie swojej sytuacji, nie czuł także potrzeby jej zmiany. Z wyjątkiem swoich stosunków z Delissą. Mężczyzna dobrze zdawał sobie sprawę, że nie da się cofnąć wykrzyczanych słów, cofnąć czasu, odwołać rzuconych zaklęć, posklejać roztrzaskanej porcelany. Między nimi wszystko zostało powiedziane, wydarzyło się wszystko, co zdarzyć mogło, a w związku z tym, oczywiście, wydarzyło się zbyt wiele i zbyt szybko. Jednak jedyne marzenia, jedyne sny, których nie można zaliczyć do koszmarów, przedstawiały Kylvena u jej boku – w jedynym miejscu, w którym kiedykolwiek chciał i powinien być. Jak kiedyś. I tak leżał, palił i marzył o niemożliwym, ściskając Syjamską Łzę w dłoni. Z mrocznego oceanu zamyślenia, niczym ratownik topielca, wyrwał go krzyk pielęgniarki oddziałowej.

Przewodniczący Kolaius wszedł do sali, na której leżał Kylven i został przywitany przez smród dymu papierosowego oraz wrzaski pielęgniarki. Kobieta zdierała właśnie gardło, wskazując palcem na tabliczkę zakazu palenia, dając jednocześnie piskliwy wykład o szkodliwości tego nałogu, zwłaszcza u kogoś ze świeżo połatany płucem. Kirkhammer tymczasem dopalił papierosa, pstryknął niedopałkiem przez wysokie okno z drewnianą, bieloną ramą i powiedział krzykaczce bardzo dosadnie, gdzie ma szpitalne zasady. Pielęgniarka poczerwieniała jeszcze bardziej, przybierając barwę krwistego steku, zapowietrzyła się i od nowa, tym razem głośniej wydarła się na mężczyznę.

– Przecież jest napis na pół opakowania! „Palenie zabija!” Międzynarodowy Komitet do Spraw Zdrowia przez trzy lata walczył o

taki właśnie rozmiar ostrzeżenia z koncertami tytoniowymi!

– To ostrzeżenie? Ja osobiście zawsze uważałem ten napis za reklamę. – odparł Kylven. Kobieta uznała to za bezczelny żart, jednak Kolaius dobrze wiedział, że mówił zupełnie poważnie. Młot Kościoła był... specyficzny, jednak Przewodniczący dobrze pamiętał dzień, w którym ten chłopak stracił rodziców oraz prawie zginął z ręki Naznaczonego, którą zresztą on odciął, ratując umierającego nastolatka. Gdyby nie umiejętności magiczne członków Rady oraz znajomość medycyny, Kylven nie przeżyłby. Czasami Kolaius, patrząc na Kirkhammera, zastanawiał się czy nie byłoby to dla niego lepsze. Aczkolwiek bez jego nabytych zdolności, wiele żyć zostałooby straconych podczas najtrudniejszych misji powierzanych Kościołowi, a z którymi Młot radził sobie wzorowo. Wzorowo, to znaczy jeszcze nie zginął. Niestety rzadko stosował się do wytycznych zadania, jednak koniec końców, główny cel zawsze wypełniał. Do czasu ostatniego niesubordynowanego wybryku. Przez swoją niecierpliwość i porywczy charakter, omal nie zginął. Kolaius nie mógł pozwolić sobie na utratę Czempiona Ostrzy. Musiał się dowiedzieć wszystkiego o przeciwniku Kylvena i postarać się, aby wojownik był przygotowany na kolejne z nim starcie. Z tego względu, sam przybył do jego pokoju na rozmowę, którą odraczała natrętna pielęgniarka. Przewodniczący czekał w drzwiach, aż kobieta straciła siły i cierpliwość na kłótnie z Kirkhammerem i odwróciła się do wyjścia. Na widok Głowy Kościoła zbladła. Wyglądało to tak, jakby czerwień na jej twarzy została namalowana i raptownie splukana rozpuszczalnikiem. Spuściła wzrok, ukloniła się i wyszła w pośpiechu. Kolaius podszedł do łóżka Kylvena, poczekał aż podążający za nim żołnierz wniesie jego wizytowy fotel, obity barwioną na czerwono skórą i usiadł na nim. Kirkhammer stał nadal przy otwartym oknie. Przewodniczący gestem wskazał mu łóżko, dziwiąc się jednocześnie jego pokorności. Być może była jedynie pozorem, kolejnym żartem, którym chciał zdenerwować zwierzchnika. Z drugiej strony, może dotkliwa porażka w walce faktycznie odbiła się na charakterze wojownika. Tak czy inaczej, Kylven usiadł na łóżku. Odniesione na ciele rany najwyraźniej mu doskwierały, Kolaius dostrzegł bowiem lekkie drgnięcie powieki, kiedy Młot siadał. Odruch był niemal niezauważalny, jednak przy Przewodniczącym mógłby równie



dobrze krzyknąć z bólu.

– Połóż się. Nie zdajesz mi oficjalnego raportu przy Radzie i innych Ostrzach – ulitowała się Głowa Kościoła.

– Dziękuję – powiedział szczerze Kylven, po czym ułożył się na łóżku i odetchnął z niekrytą ulgą. Postanowił nie grać swojej zwykłej, aroganckiej roli. W świetle przeszłych wydarzeń, swojej porażki, zmęczenia i bólu, zwyczajnie nie miał siły ani ochoty na duszenie się pod maską pozorów. Tym bardziej, że od drzwi, Przewodniczący emanował raczej zrozumieniem niż litością. Kirkhammer wyczuwał ludzką aurę, podobnie jak tę pochodzącą od potworów i chociaż nie miał w zwyczaju wykorzystywać tego przy rozmowie ze sprzymierzeńcami, Kolaius po prostu ociekał troską. Przez chwilę, mężczyzna bał się, że jej nadmiar zaleje pokój i utopi ich wszystkich.

– Jak się czujesz? – zapytał Kolaius

– Mniej więcej tak jak wyglądam. – odpowiedział kwaśno Kylv

– Rozumiem. Odniosłeś poważne rany. Bałem się, że możesz z tego nie wyjść. Kiedy przynieśli cię do skrzydła szpitalnego, byłeś nieprzytomny. Tak przynajmniej uważali lekarze. Nagle zacząłeś krzyczeć, jak przez sen. Przypominało mi to twój stan...

– Z całym szacunkiem, Panie Przewodniczący, ale wolałbym o tym nie mówić – uciał Kylven stanowczo, starając się przy tym zachować szacunek wobec rozmówcy.

– Rozumiem. Na twoim miejscu zapewne też nie chciałbym wspominać takich zdarzeń.

– Dziękuję za to zrozumienie. Niewiele osób na nie stać – Kirkhammer zaczął wątpić w swoją postawę wobec Głowy Kościoła. Stary Kolaius był okropnym nudziarzem, oficjelem i sztywniakiem, jednak wymagało tego stanowisko, które zajmował. Zanim został Przewodniczącym, należał do Ostrzy, razem z rodzicami Kylvena. Musiał także pamiętać o tym, że siedzący przed nim, w swojej ozdobnej zbroi zwierzchnik, uratował mu życie. Młot poczuł nagle wyrzuty sumienia z powodu złośliwości i bezczelności, którymi od lat raczył Kolaiusa. Postanowił, że zmieni swoje zachowanie. Na początek, nie nazwie go już Kolonoskopią szczotką, kiedy dostanie nowy telefon.

– Chciałbym dłuższej pokonwersować, ale mam dużo obowiązków. Przyszedłem, ponieważ otrzymałem raport z twojego... wypadu do lasu

Timlin, jednak chciałbym usłyszeć od ciebie pełną wersję wydarzeń. Wiesz, że jest to istotne. Zarówno z punktu strategicznego, aby móc się przygotować na walkę z nowym wrogiem, jak i historycznego. Mam podejrzenia, że twój przeciwnik może mieć jakiś związek z Władcami.

Kylven uniósł lekko brew, słysząc tę teorię. Zawsze uważał legendę o Władcach za sposób na nadanie górnolotnych znaczeń zwykłemu zabijaniu potworów za pieniądze. Dodatkowo, postaci te doczekały się swoistego kultu, który umacniał pozycję Kościoła oraz postawę niektórych jego członków. Bardzo wygodna i przydatna historyjka. Kolaius najwyraźniej traktował ją bardzo poważnie, ponieważ wpatrywał się w Kylva swoim przenikliwym spojrzeniem, które dzisiaj jednak nie wwiercało się nieprzyjemnie w głęb czaszki, szarpiąc poszczególne nerwy w poszukiwaniu prawdy. Sprawiało raczej wrażenie pukających dłoni, proszących o zaproszenie, lecz gotowych na szturm w razie odmowy. Kirkhammer rozwlekł się nad swoją przygodą jeszcze raz, starając się zwrócić uwagę na wszystkie możliwe szczegóły. Przewodniczący słuchał go z nieprzerwaną uwagą, zdając się zapisywać każde słowo w jakimś niewidzialnym notatniku. Kiedy Kylven skończył, Kolaius zamyślił się na dłuższą chwilę.

– Dziękuję – powiedział. – Przekażę twoją relację specjalistom od historii Kościoła. Być może Świetlisty Wojownik ma jakiś związek z naszymi Założycielami.

– Mam nadzieję, że dowiedziałem się czegoś przydatnego.

– Ja również. Oby twoje kontuzje nie poszły na marne. Tymczasem, przyszedłem tu także, żeby udzielić ci przymusowego urlopu.

– Przymusowego? – zapytał podejrzliwie Kylven. – Panie Przewodniczący, moim zdaniem powinienem teraz ze zdwojonym zapałem szlifować swoje umiejętności i szukać środków do walki z tamtą istotą. Jeżeli zechce ona zaatakować Kościół, możemy nie mieć odpowiedniej formy obrony.

– Podzielam twoje zdanie. Z tego względu urlop dotyczy pracy przy misjach wydzielanych przez Radę, jak i przy zleceniach w ogóle. Swoją drogą, dobrze sprawiłeś się z tym Przeklętym. Burmistrz Dumanile okazał się wyjątkowo hojny...

– Dziękuję ponownie, jednak chciałbym uściślić, czego Pan ode mnie oczekuje w ramach urlopu?

– Oczekuję, że będziesz się doskonalił. Nie narzucam ci treningów, jednak sugerowałbym ćwiczenia szybkości. Zresztą, sam dobrze wiesz, co powinienesz usprawnić, nie jesteś Czempionem Ostrzy bez powodu. Oprócz tego, zdaję się także na twój umysł. Kiedy nie mroczyłeś go alkoholem, był całkiem bystry i chciałbym, żebyś poszukał informacji na temat swojego przeciwnika. Masz dostęp do archiwum Kościoła, swoich ekscentrycznych znajomych. Ostatecznie, jest Internet. Zatem, masz urlop, ale zapowiada się on pracowicie. Liczę na ciebie, Kirkhammer.

– Cieszę się, że w ten sposób pan to widzi – ucieszył się Kylven.

– Wracaj do zdrowia. Przyślę kogoś z nowym telefonem dla ciebie. Możesz korzystać ze wszystkich Bram Kościoła. Twoje rzeczy też każę tu dostarczyć. Z nową kurtką, spodniami i butami włącznie. Kazałem uszyć komplet bliźniaczy do poprzedniego.

– Dziękuję.

– Do zobaczenia, żołnierzu. Chwała Wielkiemu Kościołowi.

– Chwała – odparł dość niechętnie Kylven. Zaczekał aż Kolaius i jego fotel opuszczą jego pokój, po czym zapalił kolejnego papierosa i zaczął rozmyślać nad zachowaniem Przewodniczącego. Wydawał się nazbyt uprzejmy. Jak na niego, można to było nawet uznać za przymilanie się. Bardzo nietypowe i bardzo dziwne. Aczkolwiek, Kirkhammer właśnie otrzymał od niego wolną rękę. Mężczyzna zobaczył jasną stronę swojej sytuacji. Znowu miał jakiś cel w życiu, który nie wydawał się zdany na powolną śmierć z ręki wątpliwości, beznadziei i rozpacz. Kylven musiał przygotować się na starcie ze Świetlistym Wojownikiem, odnaleźć go i wziąć odwet za swoje upokorzenie. Wypalił papierosa i czekał na służącego z przeznaczonymi dla niego rzeczami. Następnie poprosił o wypis na żądanie, zabrał recepty na leki przeciwbólowe i kartkę z zaleceniami od lekarza, którą wyrzucił do najbliższego śmietnika. Kiedy już wyswobodził się ze szpitalnego uniformu i poczuł na sobie ulubione ubranie, uśmiechnął się w duchu. Kurtka go opinała, spodnie krępowały ruchy, a buty obcierały pięty. Musiało minąć trochę czasu zanim odzież się wyrobi, przystosuje do ciała Kylvena i stanie jego częścią. Było to jednak o wiele lepsze od koszuli wiązanej na plecach, z ogromną dziurą na tyłku. Kompletnie ubrany i z mieczami na plecach, Kirkhammer zadzwonił z nowego telefonu do centrali, z prośbą o skok przez Bramę

do domu.

## *Rozdział 3*

Kylven z radością powitał swoje mieszkanie. Była ona tym większa, że sprzątaczką zajęła się pole bitwy, w które zamieniło się ono po ostatniej walce Młota z druidzką gorzałą. Gładkie, ciemne deski na podłodze utuliły jego stopy, uwolnione z nowych butów, a widok za kompletnie przeszkloną ścianą ogromnego salonu cieszył jego oczy. Morze delikatnie falowało, wspólnie z kołyszącymi się lekko palmami, tańcząc wspólnie w odwiecznym walcu piękna i spokoju. Kirkhammer rozebrał się od pasa w górę, podszedł do barku, wyciągnął butelkę cynamonowej whisky i nalał sobie małego drinka. Pociągnął łyk, rozkoszując się słodyczą trunku, po czym podszedł do stojącego na środku pokoju czarnego fortepianu, postawił na nim szklanekę i usiadł na stołku. Zagrał kilka smutnych nut, które szybko przekształciły się w tęskną piosenkę o rozedrganych dłoniach i skrzących się oczach. Przestał grać dopiero, kiedy zorientował się, że była to piosenka, którą uwielbiał grać Delissie. Zamknął pokrywę klawiatury i przeszedł do kuchni, wyłożonej błękitnymi płytkami, które komponowały się z bielonym drewnem nowoczesnych mebli. Zajrzał do lodówki i postanowił przyrządzić sobie indyka. Kylven lubił gotować. Nie był w tym zbyt dobry i nie znał zbyt wielu przepisów, jednak lubił samą czynność. Miał poczucie, że tworzy coś skomplikowanego z prostych materiałów. Kreowanie było dla niego bardzo kojącą i satysfakcjonującą ideą, pozostającą w głębokim kontraście z jego codzienną profesją, którą była destrukcja. Obie czynności miały zazwyczaj związek z mięsem, jednak w skrajnie odmiennych rolach. Mężczyzna ułożył na tacy talerz z jedzeniem i szklanekę z alkoholem, wolną ręką chwycił pas z mieczami i wyszedł na rozległy taras. Jadł rozkoszując się widokiem i słoneczną pogodą, rozmyślając o zadaniach go czekających. Wyciągnął komórkę i wprowadził numer do Archiwum Kościoła. Zwrócił się do uprzejmej kierowniczkę z prośbą o wysłanie mu

wszystkich materiałów, dostępnych w formie elektronicznej, dotyczących postaci, które pojawiły się w raporcie z jego ostatniej misji. Kobieta powiadomiła go, że większość wzmianek o interesujących go stworzeniach znajdowała się w opasłych tomach, głęboko w podziemiach Kirkhelmu, jednak część z nich została zeskanowana i przeformatowana na pliki tekstowe, które zobowiązała się mu przesłać. Kylven podziękował i rozłączył się, po czym odniósł naczynia do kuchni i wyszedł na podwórko. Tam zapalił papierosa i wyjął z pochwy Łaskę. Zakręcił ostrzem, wykonał kilka próbnych cięć i rozpoczął trening. Przez następne dwie godziny Młot Kościoła demonstrował swoje umiejętności niemym widzom w postaci palm, rododendronów i wydm poprzetykanych tu i ówdzie dziką trawą. Co jakiś czas wojownik zmieniał miecze lub dzierżył oba jednocześnie i wirował, otoczony blaskiem brzeszczotów i dźwiękiem ciętego powietrza. Było to zaiste powalające widowisko. Pomimo przebytej niedawno operacji, Kylven skakał, wił się w unikach, młynkował mieczami, parował wyimaginowane ciosy i wykonywał karkołomne salta. Słońce wpadało już w czułe objęcia horyzontu, kiedy skończył trening. Spocony i względnie zadowolony ze swoich osiągnięć, wrócił do domu i wziął kąpiel w wykładanej czerwono – zielonym granitem łazience z dużą, okrągłą wanną. Gorąca woda działała jak balsam na jego zmęczone mięśnie, uwalniając napięcie i relaksując umysł. Czysty i świeży, mężczyzna przeszedł do pomieszczenia, które mogłoby nazywać się gabinetem. Stało tam duże, drewniane biurko z rzeźbionymi nogami i intarsjowanym blatem, a za nim, równie zdobny ,fotel z bordowym obiciem siedzenia. Na biurku znajdował się laptop, który Kylven włączył. Wrócił po butelkę z whisky oraz szklankę, ustawił je obok komputera i zapadł się w fotelu. Po jego lewej stronie stała duża, przeszklona biblioteczka z książkami traktującymi o medycynie, fechtunku, orężach i sztuce wojny. Były tam też najróżniejsze bestiariusze, traktaty o obronie przed magią, a także powieści i tomy poezji, które czytał w wolnych chwilach. Kirkhammer wpisał hasło na klawiaturze i otworzył pocztę e– mailową, na której znajdowała się wiadomość od kierowniczkii Archiwum z załącznikami. Wieloma załącznikami. Konkretnie, sto dwadzieścia jeden plików. Kylven przeciągnął się, pomyślał, że może potrzebować kawy na tę długą noc,

jednak po chwili w jego ustach pojawił się alkohol zamiast czarnego nektaru studentów. Mężczyzna zaczął czytać. Pierwsza połowa artykułów i przekładów legend nie wniosła niczego pomocnego. Zapisy dotyczyły pojedynczych przypadków zauważenia Świetlistego Wojownika lub potwora z lasu, który przestawił się jako Lavecil. Żadnych konkretnych opisów, relacji świadków lub osób, które miały okazję zbliżyć się do nich. Najwyraźniej nikt takiego spotkania nie przeżył, lub postaciom zależało na pozostaniu w ukryciu. Kylven uważał, że oba te powody były równie prawdopodobne i potencjalnie zgodne z prawdą. Mijały godziny, okna spowił miękki, włochaty mrok, a Kirkhammer wciąż nie zdobył żadnych użytecznych informacji. Brak domysłów co do pochodzenia, natury czy domniemanych zdolności. Zupełnie jakby naukowcy i magowie absolutnie nie widzieli w nich niczego intrygującego czy wartego zbadania. Być może spowodowane to było strachem. Chociaż mężczyzna dobrze wiedział, że nie ma na świecie rzeczy tak przerażającej, aby mogła ona zdusić ludzką ciekawość. Kiedy przeglądał kolejny bezużyteczny rekord z jakiejś tandetnej gazety, której okładka krzyczała o kobiecie, w domniemaniu zgwałconej przez dzina, do pokoju weszła Delissa. Kylven nie zobaczył jej ani nie usłyszał, lecz poczuł ją. Był to dreszcz biegnący przez całą długość kręgosłupa, mrowienie i ciepło rozlewające się po jego ciele. Poczował też jej zapach. Perfumy, którymi kiedyś przesiąknięte były jego koszulki, poduszki i pościel. Aromat ten wypełniał dawniej cały jego umysł, był równie potrzebny do życia jak powietrze czy pożywienie. Kirkhammer wstał z fotela i odwrócił się w stronę drzwi. Stała tam. Piękna. Piękniejsza niż kiedykolwiek, bo była znowu jego. Nie musiała tego mówić. Wiedział to. Widział w jej spojrzeniu, które najwybitniejszy malarz mógł swymi rękoma jedynie oszpecić. W uśmiechu, którego wdzięku nie oddałby żaden poeta w swoich górnołotnych porównaniach. Widział jej dłonie, lekko zgięte palce, smukłą talię i długie nogi. Gdyby w tej chwili kazała mu ponownie zmierzyć się ze Świetlistym Wojownikiem, pójść piechotą na koniec świata po szczyptę szafranu do ziemniaków lub po prostu oddać dla niej życie, zrobiłby to bez sekundy namysłu. Nie było rzeczy we Wszechświecie, której by dla niej nie zrobił. W tych oczach był jego Księżyc, w jej włosach jego Słońce, w jej oddechu wszystkie słowa, które kiedykolwiek

wypowiedział i wypowie do końca swoich dni. Kochał czarodziejkę od lat, niezmiennie gorącym płomieniem, ale w tej chwili czuł, jakby w jego zimnym sercu wybuchł pożar i strawił wszystkie jego zmysły, cały ten dom i otaczający go ogród, pozostawiając jej sylwetkę na pogorzeliśku miłości.

– Tęskniłam – powiedziała.

– Ja też. Umierałem bez ciebie, każdego dnia po kawałku. Już prawie nic ze mnie nie zostało – Kylven zaczął zbliżać się do Stormbringer i wyciągać ku niej ramiona.

– Teraz znowu będzie jak dawniej. Już zawsze będziemy razem – szeptała.

Kirkhammer zatrzymał się. W tyle głowy usłyszał zupełnie inne słowa. Głos je wypowiadający był ten sam, jednak łamał się, a utworzone zdanie skąpane było we łzach. „Nie ma dla nas szansy. Nigdy jej nie będzie.” To nie mogła być Deli. Ona opuściła go dawno temu. Kategorycznie, ostatecznie, niezaprzeczalnie i nieodwracalnie. Zawsze była stanowcza. Nie zmieniała zdania. To nie mogła być Deli. Kylven upadł na kolana i pomimo starań, zaciśniętych do bólu pięści i roztrzaskującej się dumy, zapłakał.

Obudził się z twarzą na biurku. Powietrza nie wypełniał zapach perfum, lecz słodkiego alkoholu. Kylven spojrzał na opróżnioną butelkę, przeniósł wzrok na monitor i zobaczył swoje wspólne zdjęcie z Delissą. Wstał i poczuł wzbierającą falę żalu, goryczy i wstydu. Pobiegł do łazienki i zwymiotował kwaśną, palącą żółcią. Kiedy konwulsje przestały nim targać, umył twarz, wrócił do gabinetu i skasował folder wypełniony zdjęciami czarodziejki. Wszystkie wspólne wakacje, cały spędzony razem czas, dowody dzielonego z nią życia, wspomnienia, które często utrzymywały go przy życiu... Wszystko to przestało istnieć w momencie, kiedy zielony pasek postępu osiągnął sto procent. Kylven żałował, że nie może przeprowadzić tej samej operacji w swoim mózgu. Siedział przez długą chwilę w fotelu, trzymając twarz w dłoniach. Nie czuł nic. Ziejąca w nim pustka ogarnęła całą otaczającą rzeczywistość, która zamazała się i znikła w czeluściach jego próżnego serca. Kirkhammer wstał, poszedł do barku w salonie i zaczął powoli, ale konsekwentnie wylewać zawartość znajdujących się w nim butelek. A było ich bardzo wiele.

– Nigdy więcej – powiedział do siebie, opróżniając kolejną flaszkę.

## *Rozdział 4*

Kolejne dni miały Kylvenowi na treningach i poszukiwaniu informacji. Spędzał też wiele czasu w piwnicy, w której miał swoje małe, lecz bogato wyposażone, laboratorium, w którym ważył eliksiry. Szafki w dobrze oświetlonym, chłodnym pomieszczeniu, zastawione były stojakami pełnymi probówek, menzurkami i zlewkami. Pod jedną ścianą stał mały palnik gazowy i zestaw do destylacji. Półki powyżej ugięły się pod ciężarem karafek, flaszek i buteleczek wypełnionych płynami w kolorach, od których można było dostać zawrotów głowy. Stały też tam pojemniki z emulsjami i wyciągami, najróżniejsze proszki i pojemniki z odczynnikami. Mężczyzna, ubrany w znoszony, pokryty dziurami i paletą plam fartuch, trzymał pęsetą probówkę z oleistą cieczą nad palnikiem, wkraplając do niej jednocześnie ciemnozielony płyn. Kiedy zawartość naczynia zaczęła wrzeć i obficie dymić, odstawił je do ostygnięcia i sięgnął po strzykawkę. Następnie nabrał dwa mililitry stworzonego dekoktu i podszedł do klatki z małą, białą myszką. Otworzył druciane drzwiczki, zręcznie złapał przestraszone zwierzątko i wstrzyknął mu zawartość strzykawki w grzbiet. Pisk nieszczęsnego stworzenia wypełnił pomieszczenie. Kirkhammer ułożył wijącą się mysz z powrotem w klatce, obserwując jej mękę. Po pięciu niewyobrażalnie długich minutach, biała kulka ucichła i przestała się ruszać. Kylven stał przez moment, oparty o blat laboratoryjnego stołu, wpatrując się w zwłoki obiektu swojego eksperymentu, rozmyślając o użytej formule. Skreślił kilka zdań w leżącym obok notesie, następnie ze złością zmasał wzory i równania z pobliskiej tablicy. Po zastanowieniu pokrył biały prostokąt nowym chemicznym poematem, godzącym w prawa matki natury i zwiastującym śmierć kolejnych mysich istnień, a następnie wrócił do swojej ofiary. Chciał wyciągnąć obiekt nieudanego eksperymentu, ale kiedy koniuszkiem palca dotknął śnieżnobiałego futerka, myszka zerwała się z miejsca i z niewiarygodną szybkością



pomknęła do kąta swojego więzienia, w którym zamarła, wpatrując się w oprawcę. Kylven zastygł w oczekiwaniu, sparaliżowany zaskoczeniem. Mieszanka amfetaminy, kofeiny, wyciągu z guarany oraz składników, których nazw nie wymieniał nawet w swoim notesie, jakimś cudem nie uśmierciła tej myszy, lecz przyniosła oczekiwany efekt. Nie chciał jednak świętować sukcesu zbyt wcześnie. Błyskawicznym ruchem, którego nie uniknął wcześniej żaden komar, napotkany przeciwnik lub spragniony kary jędrny tyłeczek, uderzył w kierunku spiętej myszki. Napotkał pod swoją dłonią jedynie trociny. Nie dość, że zwierzę zdążyło odskoczyć, to jeszcze ugryzło zniechęconym przedramię. Kirkhammer powtórzył próbę kilkakrotnie, pudłując za każdym razem. W końcu wyciągnął rękę z klatki z satysfakcją obserwując cieknące po niej cieniutkie strużki krwi, zamknął drzwiczki i zdezynfekował ranki. Jedyńm jego zmartwieniem był cichutki trzask łamanych kosteczek, które nie wytrzymały obciążeń, jakim były poddawane podczas piorunujących manewrów. Miał cichą nadzieję, że jego nieludzkie cechy zapobiegną temu efektowi ubocznemu. Godzinę później, na stole laboratoryjnym spoczywał równy rząd dziesięciu ampułkostrzykawek ze złocistą cieczą, każda z zamaszystym napisem Harmattan. Kylven, zadowolony z widoku przed sobą, uśmiechnął się pod nosem. *Ciekawe czy teraz będziesz taki cwany, Żaróweczko* – pomyślał, wynosząc do śmietnika czarny worek z ciałkami trzydziestu czterech martwych, białych myszek.

## ***Rozdział 5***

Następnego ranka, po śniadaniu składającym się z jajecznicy z dziesięciu jajek, przyprawionych obficie ziołową solą, Kylven postanowił nieco się rozerwać. Monotonia wpływających dni nieco już mu doskwierała. Udał się do salonu i włączył konsolę, podłączoną do wielkiego telewizora. Kolejne trzy godziny spędził na różnych grach, aż oczy zaczęły go piec, a kręgosłup protestował przeciwko pozostawianiu w jednej pozycji. Kirkhammer odłożył kontroler i sięgnął po komórkę.

Wpisał numer Rhagliona.

- Co jest? – odezwał się zaspany głos w słuchawce.
- Nie ma spania. Co dzisiaj robisz?
- Śpię. Późno w nocy wróciłem z roboty – ziewnął Dawnstar.
- Coś ciekawego?
- Nawet. Utuczona mantikora w okolicy Gelbitz. Miałem niezłą frajdę, kiedy ubiłem to paskudztwo.
- Taki to pożyje... – powiedział z zazdrością Kylven.
- Ano, powodzi się.
- Słuchaj, nie chciałbyś wpaść do mnie? Posiedzimy, pogadamy. Nudzi mi się na tym urlopie.
- W sumie, to mogę wpaść. Jakoś pod wieczór, dobra? Potrzebne mi jeszcze kilka godzin snu.
- To daj znać, jak będziesz się wybierał – powiedział Młot z radością.
- Wiadomo. To do potem.
- Do potem.

Kylven przeglądał lodówkę, w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby Rhagliona poczęstować. Przyjaciel był wegetarianinem, co zupełnie nie pasowało do jego ogromnej sylwetki. Niestety, Kirkhammer miał jedynie jabłka. Nie chciało mu się jechać do sklepu, więc uznał to za wystarczający poczęstunek. Dawnstar nigdy nie był wymagający, a skromne zasoby spożywcze będą tylko kolejnym powodem do uszczypliwych konwersacji, które Kylven uwielbiał. Zadowolony ze swojej przedsiębiorczości, zdjął ozdobioną dwoma rogatymi czaszkami koszulkę i wyszedł poćwiczyć szermierkę.

Dwie godziny minęły wyjątkowo szybko. Spocony Czempion Ostrzy zmierzał właśnie pod prysznic, kiedy dostrzegł migające światełko komórki, świadczące o otrzymanym SMS-ie. Ekran ożył pod jego palcami, oznajmiając: „Spieprzyłeś mi sen. Będę za godzinę.” Zegarek telefonu pokazywał godzinę szesnastą trzydzieści pięć. Wiadomość przyszła pół godziny temu. Kylven popędził pod prysznic. Rhagliona na pewno poczekałby na niego, jednak Młot Kościoła nienawidził się spóźniać. Wykąpał się w pośpiechu, uczesał swoje wspaniałe włosy i wybrał czarną koszulkę z wyjątkowo ładną czaszką na piersi. Sprawdził jeszcze czy teleporter w przedpokoju działa jak należy i usiadł na kanapie w salonie. Pozostałe dwadzieścia minut minęło mu na

oglądaniu przypadkowych stron w Internecie. Głównie były na nich śmieszne zdjęcia kotów. Dawnstar spóźnił się, jak to miał w zwyczaju. Dwadzieścia po piątej Brama wydała z siebie metaliczny dźwięk oraz kilka trzasków, ukazując po chwili postać Rhagliona. Luźno ubrany blondyn miał pod pachą zgrzewkę cydru i uśmiech na ustach. Przyjaciel Kylvena był raczej kontaktowy. Lubił przebywać wśród ludzi i cenił ich towarzystwo. W tej kwestii był przeciwieństwem Kirkhammera. Niektóre osoby traktował jednak ze szczególną sympatią. Nie było to typowe wyluzowanie czy poczucie swobody. Rhaglion zwyczajnie przywiązywał się do swoich przyjaciół i dbał o swoje relacje z nimi. W tej materii dobrali się z Młotem idealnie.

– No witam! – krzyknął wychodząc spomiędzy łap bramy i wyciągając wielką dłoń do uścisku.

– Siema, siema! – odpowiedział Kylven i przybił przyjacielowi piątkę.

Nie był to zwyczajny gest. Osoby postronne często gapiły się na ich powitania. Kirkhammer był nieładnie silny, a Rhaglion ustępował mu tylko nieznacznie. Dodatkowo, Dawnstar mógł posiłkować się magią. W efekcie ich zdolności oraz mało poważnego podejścia do życia, ich piątki były straszliwie głośne, a gdy ich dłonie się spotykały w pędzie, uderzenie wywoływało falę uderzeniową, od której kurz w przedpokoju zawirował wściekle.

– Siadło! – podsumował z satysfakcją błękitnooki wojownik.

– Zawsze siada – odparł z uśmiechem Kylven. – Chodź, siadaj. Włożyć to do lodówki?

– Nie, daj spokój. Pić mi się chce.

Przyjaciele usiedli na kanapie, nie kłopotując się przyniesieniem szklanek. Opakowanie zostało rozerwane i po chwili podniebienia mężczyzn zostały uraczone złocistym, jabłkowym napojem.

– Średnie – ocenił Kirkhammer.

– Trzy na dziesięć – zgodził się Rhaglion. – Jak się czujesz? Rany nie bolą?

– Nie, już śmigam na treningi.

– Goi się na tobie jak na psie.

– Nie mam przez to takich seksownych blizn jak ty – powiedział Młot.

– Żałuj. Laski lecą na pociachanych facetów – powiedział z chytrym uśmiechem Rhag.

– Na mnie lecą i bez tego – odciął się Kylven.  
– Właśnie! Jak u ciebie w tych sprawach?  
– Posucha – powiedział Kirkhammer, wskazując butelką na swe krocze.  
– To nowość – zamyślił się przyjaciel. – Zawsze było raczej ciekawie.  
– Było, ale już nie jest – odparł cierpko Czempion Ostrzy.  
– Znudziły ci się kobiety? Zabierasz się za chłopców?  
– Gdybym zabrał się za chłopców, dowiedziałbyś się o tym jako pierwszy, piękny kawalerze – stwierdził Kylven, posyłając Dawnstarowi buziaka.

Wojownik skrzywił się i uchylił przed niewidzialnym całusem.

– W takim razie, o co chodzi? – dopytywał.  
– Nie wiem, stary. Upijanie się i zaliczanie lasek to nie jest jakiś wyczyn. Zresztą, kobiety, które się zwyczajnie kurwią i sypiają z każdym, a zwłaszcza po alkoholu, zaczęły mnie odrzucać. Stać mnie na coś lepszego.

– Czyli chcesz się zakochać – podsumował Rhag.  
– Może i bym chciał – zgodził się Młot, upijając łyk cydru. Przyłapał samego siebie gapiącego się na swoje zdjęcie, w towarzystwie czarnowłosej kobiety o wspaniałych, błękitnych oczach, stojące pod telewizorem.

– Dobrze by było. Oderwałbyś myśli od przeszłości, zajął się czymś oprócz mordowania pomiotów potwornych – zakończył poetycko wojownik.

– Ależ chujowo wychodzi ci patos – zaśmiał się Kirkhammer, krtusząc się przy tym alkoholem.

– No tak, bo ty jesteś wielkim poetą – obruszył się Dawnstar.

– Nie jestem, ale wiem, żeby nie określać bestii jako pomiotów potwornych.

Rhaglion w tym momencie oblał cydrem przyjaciela. Kylven wybałuszył oczy, po czym odwzajemnił się tym samym. Po chwili, oboje oblewali się zawartością dwóch pozostałych butelek, śmiejąc się przy tym bardzo głośno i do bólu szczerze. Kiedy byli już całkowicie mokrzy i lepili się jak postawne lepki na muchy, Dawnstar odezwał się nieco poważniej.

– Słuchaj, dostałem informację o pewnej robocie. Byłbyś może

zainteresowany?

– Zależy jaka to robota – powiedział Kirkhammer, wyszarpując palce z posklejanych włosów. – Chociaż, skoro mówisz, że ciekawa, to pewnie będę.

– Ja myślę. W Qrilit jest wiele mniej i bardziej dzikich plemion, jak zapewne wiesz. Rząd państwa nie interweniuje w ich sprawach, traktując jako element dziedzictwa narodowego oraz kultury historycznej.

– Pierdolenie – skwitował Młot.

– Pierdolenie – zgodził się Rhag. – Niektórzy z tych murzynów to większe zagrożenie dla cywilizowanych miast niż piaskowe skorpiony i węzoliaty. No ale nie chcę mówić o polityce. W każdym razie, jedno z takich plemion, przy południowo zachodniej granicy Qrilit, jest ostatnio bardzo aktywne. Napada na sąsiadów.

– To normalne u tych dzikusów.

– Nie do końca. Jakaś ekipa filmowa chciała kręcić dokument o żyrafach czy innych futrzakach. Została napadnięta. Spośród piętnastoosobowej ekipy, przeżyło dwóch. Zgłosili sprawę do Kościoła. Z ich relacji wynika, że zaatakowała ich grupa czarnoskórych mężczyzn. Ich ciała pokrywały niepokojące symbole, a niektórzy mieli nieludzko długie pazury i zęby.

– Pewnie jakiś kult. Może czczą jakiegoś plugawego kapłana, który zna się na magii i nagradza ich w zamian za ofiary – myślał głośno Kylven.

– Być może. Widzę, że cię zainteresowałem – ucieszył się Rhaglion.  
– Wyślę ci zaraz dokładne namiary.

Po chwili telefon Kirkhammera zabrzączał.

– Dzięki, zajmę się tym. To lepsze niż siedzenie tutaj. Może nawet jutro się wybiorę.

– A wybieraj się! Powiedz tylko potem, co odkryłeś.

Przyjaciele rozmawiali jeszcze długo, wspominając swoje dawne przygody i wspólne popijawy. Ich wspomnienia sięgnęły aż do czasów młodości, kiedy szkolili się razem w szeregach Kościoła. Mieszkanie nad Turkusową Zatoką było wypełnione śmiechem aż do północy, kiedy Rhaglion wyszedł, tłumacząc się obowiązkami, które czekały na niego następnego dnia. Kylven nie zatrzymywał go.

Podziękował za wizytę i uściśnął przyjaciela na pożegnanie, po czym zbili jeszcze jedną piątkę, budząc okoliczne jaszczurki. Potem okna rozbłysły światłem bramy i Kirkhammer został sam na kanapie, wpatrzony w zdjęcie u boku roześmianej, błękitnookiej piękności. Usnął w tej pozycji i śnił dobre sny.

## *Rozdział 6*

Kraina Qrilit była pełna kontrastów. Z jednej strony wspaniała roślinność, gęste dżungle, pokryte lianami urwiska poprzecinane wstęgami wodospadów i rozległe pola najlepszego tytoniu. Z drugiej, szeroka jak niemal nigdzie indziej gama ociekających truciznami potworów w jaskrawych kolorach, nieprzyjazny, wilgotny klimat i wytwórnie narkotyków. Ludność tego kraju miała bardzo długą historię i głęboko zakorzenione tradycje. Większość obywateli odeszła od dawnych nawyków i stworzyła prężne miasta, których nie powstydziliby się żadne inne państwo. Bogata roślinność deszczowego regionu umożliwiała wytwarzanie wielu egzotycznych towarów, handel owocami i najdroższymi przyprawami. Qrilit mogłaby prosperować bardzo dostatnie, nawet bez przymykania oka na ukryte w gąszczu tropików laboratoria i przemytników szmuglujących narkotyki. Cały świat ćpał specjały z tego właśnie kraju. Tutejsza kokaina była uważana za rarytas najwyższej kategorii i osiągała astronomiczne ceny. Prezydent państwa oficjalnie potępiał i walczył z nielegalnym handlem, jednak w rzeczywistości otrzymywał gigantyczne łapówki za pozostawienie interesów narkotykowych w spokoju. Czasami policja przechwyciła jakiś nieduży transport, podstawiony przez imperatorów kokainowych, czasami przejęli jakieś od dawna opuszczone laboratorium. Otoczka dla mediów była nienaganna. Mniejszości narodowych krainy Qrilit to wszystko nie dotyczyło. Trzymali się oni tradycji swoich ojców i dziadów, stroniąc od cywilizacji i żyjąc w zgodzie z naturą. Przez wieki, nauczyli się obłaskawiać monstra lub bronić przed nimi. Byli wspaniałymi myśliwymi. Nikomu nie

przeszkadzali, trzymając się swoich terytoriów, z rzadka tylko migrując na niewielkie odległości. Jedynym problemem były bardzo ortodoksyjne i zacofane plemiona. Praktyki kanibalistyczne i składanie ofiar z ludzi, były tam na porządku dziennym. Rząd przymykał oko na te incydenty, jeżeli tylko dzikusy ograniczały się do zarzynania siebie nawzajem. Ostatni atak dotyczył jednak zagranicznej ekipy filmowej, więc konieczna była interwencja. Głowa państwa nie lubiła obcych na swoim terenie. Można powiedzieć, że prezydent był paranoikiem, troszczącym się o sterylność własnych interesów. Kiedy potrzebna była interwencja Kościoła, działał nazbyt ostrożnie, był zdystansowany i bardzo, ale to bardzo profesjonalny. Na szczęście Kylven nie musiał się z nim spotykać ani nawet rozmawiać. Zadzwoił tylko pod numer, który wysłał mu Rhaglion, pod którym dowiedział się, że zajście miało miejsce głęboko w dżungli i nie można tam dojechać. Co więcej, jedyna jednostka Kościoła w Qrilit, znajdowała się ponad siedemset kilometrów dalej, w mieście, którego nazwy obcokrajowiec nie potrafił wymówić ani nawet zapisać. Kirkhammer musiał oznajmić swój stosunek do całej sytuacji poprzez ton głosu lub zbyt częste westchnięcia, bowiem wynegocjował w ten sposób helikopter, który miał zabrać go we wskazane przez ocalałych filmowców miejsce. Dzięki temu wrodzonemu darowi przekonywania już godzinę później siedział w przytulnym pokoju z dwoma poobijanymi szczęściarzami, którzy uszli z życiem z koszmaru dżungli. Mężczyźni byli w średnim wieku, obaj dzielili podobny, zupełnie nijaki kolor włosów. Obaj byli ubrani w podobne, dobrze dopasowane, ale niczym niewyróżniające się ubrania, spod których wyglądała biel bandaży. Identyczny natomiast i bardzo przykuwający uwagę, był strach w ich oczach.

– Opowiedzcie mi o tym, co się wtedy stało – powiedział Kylven. Starał się być przyjazny.

Dwójka zgodnie spuściła wzrok. Długo oglądali swoje palce w skórzanych sandałach, aż ten po lewej, charakteryzujący się bardziej odstającymi uszami, wykrztusił z siebie coś, co przypominało ludzką mowę.

– W – w – w – wszystko działa się bardzo szybko... – zaczął, jękając się lekko – Jechaliśmy furgonetką i...

– Powiedziano mi, że w tam nie da się dojechać samochodem –

przerwał Młot.

– Tak, to prawda – rozmówca prawie się zakrztusił. – Jechaliśmy w głąb dżungli, ale nie więcej niż dziesięć kilometrów. Potem las był nie do przejechania. Szukaliśmy rzadkich zwierząt i musieliśmy dostać się dalej na południe. Zostawiliśmy więc auto, zabraliśmy tyle sprzętu ile się dało i...

– Ilu was było?

Mężczyzna zamarł. Wpatrywał się w Kylvena wzrokiem idioty, którego ktoś zapytał o liczbę kontynentów.

– Ilu? – niecierpliwiał się Kirkhammer, co było słychać w jego głosie.

– Jedenastu – odpowiedział łamiącym się głosem mężczyzna.

– To są ważne dla mnie informacje. Kontynuuj.

– Tak, proszę pana. Szliśmy trzy dni. Mieliśmy dobrego przewodnika, który znał terytoria tamtejszych plemion. Wszystko szło dobrze, kręciliśmy dobre ujęcia i... czwartego dnia w nocy... – tutaj Nietoperz, jak Kylven przezwiał go w myślach, zaciął się i nie chciał dalej mówić.

– W nocy..? No mów. Jeżeli mam się dowiedzieć co was zaatakowało i zabiło waszych towarzyszy, muszę mieć jakieś informacje. Mów wreszcie!

Kirkhammer niecierpliwiał się, jednak jego ton okazał się nieco zbyt agresywny, ponieważ rozmówca spojrzał na niego zażawionym wzrokiem i opadł na oparcie fotela. Głos zabrał wtedy drugi ocalały, który dzięki swojej fryzurze, został nazwany Pudlem.

– W nocy rzuciła się na nas grupa dzikusów. Nie wiem ilu dokładnie. Wie pan... są czarni. W ciemności widać było tylko malunki na ich ciałach. Białe i pomarańczowe. Nigdy nie widziałem takich symboli.

– Przypominały może to? – zapytał Czempion Ostrzy, unosząc kartkę z narysowanym spiralnym znakiem, z powykręcanyimi końcami.

Pudel wybałuszył oczy i zaczął się trząść.

– T – t – tak. Wyglądały podobnie.

– Opowiedz mi wszystko, co pamiętasz. To bardzo ważne. Skup się!

– Było ciemno, ja... ja niewiele widziałem. W ciemności tylko te białe i pomarańczowe smugi. Nie mieli pochodni, latarek, nic! Poruszali się jak duchy. Kiedy zaczęli zabijać... Słyszałem wycie i takie bulgotanie, jakby z garnka kipiało. Potem poczułem ciepło na twarzy i zorientowałem się, że to krew – mężczyzna zrobił długą pauzę, jednak podjął relację,



zanim Kylven znowu go pogonił. – Zacząłem uciekać. Wpadłem po drodze na Ribba. Złapałem go za koszulę i pociągnąłem za sobą. Biegłem bez żadnego światła, na oślep. Co chwila upadałem, drapałem o coś i waliłem o drzewa, ale nie zatrzymywałem się. Myślałem, że minęły trzy dni, zanim przestałem słyszeć krzyki i wołanie o pomoc...

Kylven wiedział, że więcej już nie usłyszy. I tak zdobyte informacje przekroczyły jego oczekiwania. Podziękował swoim rozmówcom i wyszedł z pomieszczenia, wykładanego hebanem. Kierował się na lądowisko dla helikopterów, położone na dachu hotelu, w którym się znajdował. Miękkie dywany i bielone korytarze, których ściany zdobiły drogie obrazy, nie uspokoiły wojownika. Kirkhammer był wściekły. Zginęło dziewięć osób, ponieważ filmowcy – amatorzy myśleli, że byle przewodnik, który zna okolicę wystarczy, aby bezpiecznie odbyć podróż w głąb dżungli Qrilitu. Nawet niektóre Ręce drżały na myśl o tym miejscu. Fajermony, węzoliaty, ogromne małpy i jadowite gigaropuchy. To tylko załazek bogatego bestiariusza tych stron. Ci arogancy smarkacze chcieli nagrać dokument o bogatej faunie dżungli, ignorując wszelkie niebezpieczeństwa, rozsądek i nie zważając na swoich najbliższych, którzy teraz cierpieli po stracie swoich synów i mężów. Typowo ludzkie zachowanie. Kylven nie pozbył się kwaśnego smaku z ust przez całą drogę na najwyższe piętro, słuchając kojącej muzyki w oszklonej windzie. Nawet późniejszy lot nad zapierającymi dech w piersiach krajobrazami tego kraju, nie mogły pozbawić go poczucia, że właśnie pakuje się w pewne kłopoty, chociaż nie ma ku temu dobrego powodu. Brak było w nim empatii dla tych tchórzy, nie miał też współczucia dla zamordowanej reszty ekipy. Głupota i arogancja nie zasługiwały na litość. Tak naprawdę, Czempion Ostrzy siedział w tym helikopterze jedynie z czystej ciekawości. Znak, który rozpoznał Pudel, był charakterystyczny dla Naznaczonych. Bardzo możliwe, że jego ogarnięty przerażeniem umysł, skojarzył fikuśną spiralę z cudacznymi malunkami wojennymi dzikich plemion. Kirkhammer wierzył jednak, że będzie miał szansę na taniec z przedstawicielem znieprawionych poczwara. Nadzieja na tę walkę kazała mu wytrzymać długą podróż nad zielonym dywanem, który rozciągał się pod nim aż po horyzont.

Po pięciu długich godzinach, czarnoskóry pilot o ciepłym głosie

krzyknął, że dotarli na miejsce. Kirkhammer wyjrzał przez rozsuwane drzwi. Widział pod sobą jedynie gładką, nieprzeniknioną zieleń, zupełnie nieróżniącą się od reszty krajobrazu. Wiedział jednak, że wcześniej został namierzony jeden z telefonów komórkowych ekipy, więc lokalizacja powinna być dobra. Kylven podziękował, po czym wziął od żołnierza siedzącego obok pilota granat hukowy. Nie miał czasu ani ochoty na użeranie się z pomniejszych potworami, kiedy w okolicy mógł czekać na niego o wiele ciekawszy przeciwnik. Młot odbezpieczył granat i wypuścił go z rąk, po czym skoczył w ślad za nim. Ładunek przeleciał przez korony drzew i eksplodował ze stłumionym, lecz nadal potężnym hukiem. Kirkhammer przed opuszczeniem śmigłowca wy dobył oba miecze i spadając, przeciął trzy cieńsze gałęzie, które stanęły mu na drodze, zawadzając o jedną, która rozdarła mu kurtkę na piersi. Wylądował na mokrej ziemi, wbijając się w nią stopami. Momentalnie został ogarnięty przez lepkie, śmierdzące objęcia wilgoci i panującego na parterze lasu upału. Nieopodal unosił się nieśmiało dym, w miejscu po wybuchu granatu. Manewr ten przyniósł zamierzony efekt. Chociaż dookoła były porozrzucane strzępy materiału oraz liczne ślady krwi, padlinożercy uciekli przed hałasem. Kylven rozejrzał się pobieżnie. Ślady stóp zostały dawno zatarte, pozostałe plamy posoki były nienaturalnie ułożone, prawdopodobnie częściowo zlizane. Kawalki ubrań i porzucone aparaty, kamery i mikrofony nie mogły dać użytecznych informacji. Kirkhammer przejrzał nawet zapisy z kamer, jednak znalazł jedynie wykłady na temat tropikalnych pajaków, małp i karibu. Nagranie z nocy ataku było w całości czarne, a słyszalne krzyki należały do przerażonych i mordowanych ludzi, a nie do pijanych krwią oprawców. Młot westchnął i przykucnął wśród gnijących liści. Wyciszył się, przyćmił ludzkie zmysły i wyostrzył percepcję niedostępną dla innych. Od razu zaatakował go nienawistny szlam, kipiąca żądza mocy i mentalne pięści frustracji. Czempion Ostrzy upadł od uderzenia tej woli. Wstał, otrzepał się i uśmiechnął szeroko. Naznaczony był w pobliżu. Kylven nie musiał już wytężać myśli. Czul jednostajne pulsowanie, dochodzące z jednego kierunku. Obrął kurs i po raz kolejny wykorzystał swoją mobilność. Obserwujący go w ruchu fajermon, rozdziawił swoje wrośnięte w klatkę piersiową usta, uznając skaczący po drzewach kształt za nienaturalnie dużą

małpę z patykami na plecach. Kirkhammer odbijał się od pni i gałęzi, wirował w saltach i korkociągach, uśmiechając się szyderczo po każdej udanej akrobacji. Kiedy las zaczynał się przerzedzać, wbiegł po pionowym pniu na najwyższą gałąź i wyteżył wzrok. Dżungla faktycznie była mniej gęsta, jednak jedynie przy ziemi. Korony drzew stojących dookoła wioski, spletały się u góry, tworząc dach, podtrzymywany przez kilka znajdujących się między chatami pniami. Przypominały potężne kolumny. Wojownik naliczył dziewięć chat, ze związanych lianami patyków. Za dachy, służyły szerokie liście, prawdopodobnie bananowców. Przed domkami paliły się ogniska, nad którymi piekło się mięso. Jedna z chat wyróżniała się spośród innych. Właściwie był to szałas, którego ramę stanowiły długie kości. Młot nie wiedział, co w okolicy mogło się szczyścić kończynami takich rozmiarów. Nad zasłoniętym skórzaną płachtą wejściem, wisiała ludzka czaszka. Ściany również wydawały się być wykonane ze skóry. Kylven zeskoczył z gałęzi, złapał mocny, poziomy konar poniżej i zahuszał się, wystrzeliwując się daleko, na skraj upiornej wioski. Natychmiast, z chatek zaczęły wyłaniać się twarze. Za nimi podążały ciała. Kirkhammer dobył łaski. Murzyni wyglądali bardzo różnie. Niektórzy z nich całkiem przypominali ludzi wysmarowanych farbami w fantastyczne wzory i fraktale. Inni natomiast mieli spalone i mocno przzerośnięte ręce, których palce kończyły się długimi pazurami. Jeden z dzikich miał zdeformowane w ten sposób obie nogi, co groteskowo łączyło się z chudym torsem. Potężne uda miały czerwony kolor mięsa oraz czarny, przypalonej tkanki. Kontrastowały z nimi rzepki kolan, wyzierające bielą na zewnątrz. Najbardziej zmieniony był osobnik stojący tuż przy szałasie. Jego twarz była jednym, wielkim, pękniętym bąblem pooparzeniowym. Rozlana, młazcząca przy każdym ruchu tkanka zdawała się przelewać pomiędzy szerokimi barkami. Łuki żebrowe wystawały spod skóry, prezentując zaostrome końce. Jednym słowem, były to demoniczne pomioty Naznaczonego. Ku swemu obrzydzeniu Czempion Ostrzy dostrzegł, że jeden z nich żuje na wpół jeszcze surowe, ludzkie ramię. Całe mięso, które piekło się nad płomieniami ogniska było ludzkie. Akty kanibalizmu nie robiły na Kylvenie specjalnego wrażenia, jednak kreatury te były po prostu wyjątkowo odrażające, więc uniósł miecz i już miał ruszyć na

przeciwników, kiedy wyjątkowo silny impuls wrogiej woli wdarł mu się do umysłu. Wojownik zatrzymał się w miejscu w pozycji szermierczej. Z szasa z ludzkiej skóry wyszedł Naznaczony. Ubrany był w płaszcz z tego samego, najwyraźniej ulubionego dla niego, materiału. Twarz ukrył pod maską z męskiej czaszki o wydatnych łukach jarzmowych. W ręku dzierżył kostur, sporządzony z kręgosłupa wzmocnionego przez jakiś pręt w kanale kręgowym.

– No proszę! – wychrypiął kapłan – Mamy gościa! Rzadko się zdarza, żeby obiad sam podawał się do stołu. Popatrzcie, moi drodzy, – powiódł chudymi dłońmi po swoich podwładnych – jaki odważny! Musi smakować doprawdy wybornie! – po tych słowach Naznaczony skinął głową, wydając rozkaz ataku.

Pokraki ruszyły i zawahały się, słysząc krzyk Kirkhammera.

– Jestem Kylven Kirkhammer, Młot Kościoła i Czempion Jego Ostrzy. Będę kością w twoim gardle, ty jebany modnisiu.

– Ah! Więc jesteś tu po to, aby zemścić się za nasz ostatni posiłek? – zapytał rozbawiony kapłan.

– Nie, możecie sobie jeść kogo chcecie, niewiele mnie to obchodzi. Przyszedłem po ciebie. – odparł Kylven i zaatakował, nie wdając się w dalsze dyskusje.

Naznaczony musiał być osłabiony lub niedoświadczony, ponieważ potrzebował sił witalnych swoich ofiar, aby móc umocnić swoje sługi. Przez to robił to stopniowo i bardzo powoli, w wyniku czego przerośnięte członki były nieproporcjonalne do reszty ciała. Stanowiły niezrównoważony ciężar. Murzyni nie mieli także zdolności typowych dla demonów, jak choćby przemieszczania się pod postacią chmur piroklastycznych. Pierwszy zaatakował ten z olbrzymią ręką. Kirkhammer wypadł z rytmu kroków, zwolnił, przepuszczając cios przed sobą i dotknął klingą spadającej na ziemię łapy. Nabrał pędu, wykorzystał go i zrobił piruet, kończąc go efektowną dekapitacją. Osadnicy nie byli głupi i widząc zdolności swojego przeciwnika, rzucili się całą grupą na wojownika. Kylven dreptał na boki i wodził końcem miecza. Z grupy wyłonił się wielkonogi, skacząc zadziwiająco wysoko wprost na głowę Młota. W międzyczasie następna dwójka rzuciła się na niego. Kirkhammer kopnął tego z lewej w brzuch, drugiego ciałem przez wierzch sięgających go dłoni, po czym samym końcem ostrza

rozplątał mu gardło. Poszedł za ciosem, przetaczając się po plecach trzymającego się za podbrzusze przeciwnika, unikając jednocześnie skoczka. Wojownik stał już po drugiej stronie wciąż skulonego monstrum i z rozmachem zaatakował ukośnie od dołu, posyłając pokrakę w powietrze. Skoczek, wyprowadził potężne kopnięcie na klatkę piersiową Młota, lecz ten zawirował, łapiąc ogromną nogę pod pachę i rzucając oponenta w pozostałych przeciwników. Ten z poparzoną twarzą zawył, uchylając się przed lecącym towarzyszem i natarł. Kylven nakreślił ósemkę mieczem, przecinając oba jego nadgarstki, po czym pchnął sztychem prosto w pęknięcie, które kiedyś było ustami. Reszta przeciwników podnosiła się właśnie i szykowała do kolejnego ataku, kiedy Naznaczony uniósł swój kostur. Potwory zawyły. Ich ciała zaczęły dosłownie pękać. Otwierały się głębokie rany, z których krew wypływała strumieniami, łączącymi się w potoki, a te ulatywały w powietrze i kierowały prosto do ust plugawego kapłana. Kirkhammer nie czekał. Przeskoczył nad umierającymi dzikusami i rzucił się na Naznaczonego. Musiał jednak zasłonić się mieczem i mocno zaprzeć nogami, ponieważ kostur potwora był teraz zakończony długim ostrzem, tworząc kosę. Ostrze to zdawało się być utworzone ze skryzalizowanej krwi. Kylven zawirował, zasłaniając się szeroką paradą i niemal przywarł plecami do pobliskiej chaty. Kapłan ujął broń w obie dłonie i zaatakował. Zakrzywiony brzeszczot utrudniał parady, więc Kirkhammer zbijał uderzenia, odskakiwał i szalał w unikach. Po jednym z takich uników przeciwnik zaskoczył go, puszczając kosę i uderzając go wierzchem dłoni w twarz. Wytrąciło to wojownika z rytmu, a zanim go odzyskał, musiał bronić się przed zdradzieckim uderzeniem z półobrotu. Ukośne cięcie od dołu Kylven przeskoczył, asekurując się u dołu ostrzem, jednak kosa sięgnęła jego uda, tnąc niezbyt głęboko, jednak boleśnie. Młot wylądował, po czym znów skoczył, młynkując mieczem i odsunął się od wroga. Krew spływała mu po nodze i moczyła nogawkę. Zrobił dwa powolne kroki, udając, że utyka. Naznaczony wydał z siebie dźwięk, który równie dobrze mógł być śmiechem i odgłosem męczzonego szczeniaczka. Skoczył do przodu, atakując szerokim cięciem z lewej. Kosa sięgnęła za kark Czempiona Ostrzy, a następnie została pociągnięta do przodu, niczym ostrze gilotyny. W tym momencie, Kirkhammer skręcił tułów, stawiając Łaskę

na drodze krwawego kostura. Kręcił się dalej. Trzymając blok lewą ręką, prawym łokciem rąbnął przeciwnika w żuchwę, łamiąc ją. Następnie chwycił rękojeść oburącz i zepchnął broń przeciwnika do ziemi, naparł nań i przeskoczył nad nią. Miał teraz miecz w prawej dłoni i sunął nią pod kosturem, brzęcząc metalem o kręgi. NapotykJąc dłoń Naznaczonego, szarpnął nadgarstkiem, posyłając ostrze w górę i wychwalając przy tym w myślach pracę kowala, który Łaskę wykuł. Kosa, wyswobodzona z uciętej dłoni przeciwnika, śmignęła w lewej ręce Młota. Trzymając ją odwrotnie, wymierzył cięcie w szyję kapłana. Uciał jego głowę oraz drugą rękę za jednym zamachem, popychając cios całym ciałem. Naznaczony upadł i rozplynał się, jakby cały składał się wyłącznie z bulgoczącej krwi. Kylven odrzucił pozbawiony ostrza kręgosłup i wytarł Łaskę o liście. Następnie wrócił w gęstwinę i wbiegł na szczyt drzewa, skąd zadzwonił po transport z powrotem.

## *Rozdział 7*

Kiedy Kylven zadzwonił do Jemiby, czuł się dziwnie podenerwowany. Przyjaźnili się od najmłodszych lat, jeszcze zanim zaczął edukację w szeregach Kościoła. Co prawda od dawna nie mieli ze sobą kontaktu, jednak ich znajomość tak właśnie wyglądała. Długie okresy bez choćby SMSa lub telefonu, a potem całonocne spotkanie, podczas którego bardzo wylewnie opowiadali sobie historie z czasu wspólnego milczenia. Kirkhammerowi odpowiadały te warunki. Czuł się przy kobiecie swobodny i rozumiany, mógł jej opowiedzieć o wszystkim, oraz o wszystkim słuchać. Monotonne dni nieco go przytłoczyły, więc bardzo ucieszył się z faktu, że miała wolny wieczór i ochotę na pogawędkę. Poczucie niepokoju jednak nie zniknęło, nawet po zakończeniu połączenia. Miliony tłustych robaków nadal pełzały mu w żołądku. Kylven zignorował bezpodstawne ekscesy własnego ciała i zaparzył sobie zieloną herbatę w czarnym kubku z namalowaną fioletową salamandrą. Kiedy napój stygł, mężczyzna wziął zimny

prysznic, ogolił się i spryskał ulubionymi perfumami. Z garderoby wyciągnął czarno– białe pantofle, czarne spodnie w kant oraz pasujący, czarny t– shirt. Wygrzebał także elegancki, skórzany pasek ze srebrną sprzączką bez czaszki i białą, aksamitną marynarkę z czarną poszetką. Kompletnie ubrany przejrzał się w lustrze na drzwiach czterodrzwiowej szafy, stojącej na wprost wielkiego, okrągłego łóżka, które królowało w jego sypialni. Był elegancki, ale nie przesadnie oficjalny. I zupełnie do siebie niepodobny. Kylven nie przepadał za przyjęciami, aczkolwiek lubił od czasu do czasu się wystroić. Miał również świadomość, że Jemiba także wybierze wytworny strój, więc nie mógł od niej zbyt odstępować. Rytuał ten nadawał nieco smaku i niecodzienności ich spotkaniom. Dzięki temu były one jeszcze bardziej wyjątkowe. Młot Kościoła wypił zimną i bardzo słodką herbatę, po czym zamknął drzwi wejściowe na klucz, przeszedł do garażu i zapalił w nim światło. On już na niego czekał. Wykrojone w ostre, skośne kształty reflektory wydawały się pałać gniewem spowodowanym długą nieobecnością Kirkhammera. Wojownik wiedział jednak, że były to jedynie pozory, gra podobna do tej, w którą grały stęsknione kochanki. Samochód bardzo się stęsknił. I jakby dzięki temu wypiękniał. Czarny, opalizujący lakier wspaniale błyszczał i mienił się refleksami w mocnym świetle lampy. Agresywna karoseria ochoczo wyginała się na myśl o nadchodzącej jeździe. Niskie zawieszenie i szerokie opony już gotowały się do rwania asfaltu i ścinania zakrętów. Kylven otworzył drzwi i wpadł w fotel pokryty ciemnoczerwoną, skórzaną tapicerką. Poglądził delikatnie kierownicę i przekręcił kluczyk, powołując do życia potężny, dwunastocylindrowy silnik. Maszyna krzyknęła radośnie, po czym zaczęła czule mruścić w oczekiwaniu na dotknięcie stóp swojego mistrza. Kierowca otworzył pilotem drzwi garażowe i okazałą bramę wjazdową z zaostrzonymi zwieńczeniami poszczególnych prętów. Samochód powoli wytoczył się na podwórko, a następnie na ulicę przed domem. Kylven zaczekał aż obie bramy się zamkną i uwolnił moc koni mechanicznych, które ruszyły do szaleńczego galopu, plując ogniem z ogromnego wydechu. Kirkhammer cieszył się jazdą, brawurowo atakował zakręty nadmorskiej drogi i wyjeżdżał z nich, oglądając świat przed sobą przez boczną szybę. Ryk silnika, pisk opon i zapach palonych gum, zdawały się nie kończyć. Samochód śpiewał symfonię burz i sztormów, wił się w

rękach swojego kierowcy niczym lewiatan sunący przez czarny nurt drogi. Młot niemal przez całą drogę do autostrady śmiał się i ochotczo popychał swój pojazd do granic rozsądku, jednak po wjechaniu na „siódemkę”, dostosował prędkość do przepisów drogowych, włączył radio i przygotował się do czterogodzinnej jazdy. Nie spieszył się. Był umówiony z Jemibą dopiero na szóstą wieczorem. Wsłuchał się w dobrego rocka, płynącego krystalicznymi dźwiękami z głośników i wypędził z umysłu wszelkie myśli, które nie były konieczne do prowadzenia.

Jemiba mieszkała samotnie w pięknym, rodzinnym pałacu położonym na klifie, którego strome zbocze było u podnóża smagane falami żarłocznego morza. Otaczające posiadłość żelazne ogrodzenie współgrało z architekturą budowli, skutecznie odstraszać potencjalnych złodziei. Brama wjazdowa, strzeżona przez dwa rzeźbione gryfy, była otwarta. Kiedy Kylven przez nią przejechał, bezgłośnie zamknęła się za samochodem. Droga do budynku była wyłożona żwirem, który chrzęścił pod kołami samochodu. Po obu jej stronach rosły ogromne wierzby płaczące, których giętkie palce gałęzi wyciągały się w stronę gości niczym lokaje proszący o płaszcze. Przed samymi schodami pałacu stała okrągła fontanna, koło której Kirkhammer zaparkował. Wszedł z samochodu, poprawił marynarkę i skierował się do ciężkich drzwi z klamkami w kształcie orlich głów. Zanim zdążył zapukać, uchyliły się, a za nimi pojawiła się twarz Jemiby.

– Hej, Tygrysie. – powiedziała smagła kobieta o kruczoczarnych włosach i błękitnych oczach.

– Cześć, Maleństwo.

Przyjaciele padli sobie w ramiona i długo przytulali się, ciesząc wyczekiwany spotkaniem. Po nazbyt wylewnym powitaniu, Kylven spojrzał na elegancką, granatową suknię Jemiby ze zdobnymi fałdami materiału na piersiach i rozcięciem do połowy uda, odsłaniającym czarne pończochy. Dekolt przystrojony był przez wspaniałą naszyjnik z okazałym szafirem.

– No, no... Jak zwykle wyglądasz zjawiskowo – powiedział Kirkhammer, gapiąc się w dekolt znajomej.

– Jak zwykle patrzysz na moje cycki – zaśmiała się kobieta, odpychając Kylvena. – Muszę przyznać, że Ty również wyglądasz



czarująco. Gratuluję.

– Dzięki. Staralem się.

– Mam tylko nadzieję, że nie zarwałeś nocki łamiąc sobie głowę nad skompletowaniem tego stroju – Jemiba puściła mu oczko. – Chodź, kolacja gotowa.

– Nie trzeba było – rzekł zupełnie niepotrzebnie Kylven, za co został skarcony wymownym spojrzeniem gospodyni. Zamilkł więc i przeszedł za nią przez przedpokój i korytarz, prowadzący do głównej jadalni. Kirkhammer za każdym razem zachwycał się wystrojem tego domu. Ściany pokrywały liczne obrazy przodków Jemiby. Każdy z nich oświetlony był przez osobny kinkiet. Z sufitów zwieszały się ciężkie, bogato zdobione żyrandole, których światło odbijało się od złocień. Na lakierowanych parkietach leżały miękkie dywany, wyszywane w najróżniejsze wzory, wśród których jedynym powtarzającym się motywem był gryf – symbol rodowy jego przyjaciółki. Jadalnia nie odstawała od reszty pałacu. Wielkie pomieszczenie zajmował podłużny stół, przy którym swobodnie mogło zasiadać pięćdziesiąt osób. Co dwa metry, przy ścianach pomieszczenie oświetlały wysokie, stojące lampy, pomiędzy którymi ustawione zostały donice z niewielkimi palmami. Dodatkowo ciepła i przytulności dodawał oczywiście kolejny żyrandol, na widok którego gościom stawał kawior w gardłach, w obawie przed zerwaniem się podtrzymującego go łańcucha. Tego wieczoru zastawa była przygotowana jedynie dla dwóch osób. Pomiędzy ustawionymi pod kątem talerzami, znajdowało się pięć półmisek pod metalowymi pokrywami.

– Zapraszam. I smacznego – zaprosiła Jemiba, odkrywając po kolei parujące dania i zasiadając u szczytu stołu. Menu było bardzo bogate. Jak to zwykle u niej bywało. Czerwieniące się cudownie homary, leżące tuż obok idealnie wysmażonych, grubych steków wołowych. Do tego puree z batatów z dodatkiem szafranu i carpaccio z buraków. Na deser zaś, oczekiwały miseczki z kremem brulee.

– Już prawie zapomniałem jak potrafisz mnie ugościć – powiedział Kylven, nabijając największy stek na widelec i kładąc go na pokrytym złotymi wzorami talerzu.

– Z tego właśnie powodu tak ochoczo zasuwałam przy garach. Lubię cię zadziwiać. I przypominać ci jaka jestem wspaniała – powiedziała

zadziorne Jemiba, łamiąc w dłoniach homara. – Byłabym zapomniała! Przecież zapchamy się tymi pysznościami – gospodyni wstała od stołu i wyciągnęła ze stojącego obok barku w kształcie pozłacanej arki, dwie butelki czerwonego wina. Postawiła je na stole, zastanowiła się chwilę i sięgnęła po jeszcze dwie. – Nie będę dwa razy wstawać. Lub nie będę w stanie.

– Wiesz, tak właściwie, to miałem nie pić... – rzekł ostrożnie Kylven. Jemiba nawet nie podniosła oczu znad talerza.

– Gdybyś miał nie pić, to byś tu nie przyjechał – stwierdziła i napełniła dwa kryształowe kieliszki karminowym płynem. Kirkhammer pomyślał, że obiecał sobie nie upijać się samotnie. Tylko wtedy napadały go koszmary. W towarzystwie Jemiby na pewno nie zapadnie w horror snu wypełnionego pachnącą czarodziejką. Poza tym, nigdy nie był dobry w utrzymywaniu wobec siebie rygoru, jeżeli chodzi o używki.

– Zatem, za spotkanie! – rzekł ochoczo mężczyzna, stukając się kieliszkiem z Jemibą.

– Za spotkanie! Już myślałam, że stało ci się coś złego.

Kylven i Jemiba dużo rozmawiali, pijąc przy tym jeszcze więcej. W końcu, kiedy szum w głowie Kirkhammera zagłuszył wszelkie krzyki rozsądku, powiedział:

– Myślałem, żeby się ustatkować.

– W sensie?

– W sensie skończyć z Kościołem, zabijaniem potworów. Skończyć z tą walką w imię upadłych wartości.

– Kylv, ty kochasz walkę. Masz ją we krwi – zauważyła kobieta, starając się doprowadzić rozkołysany kieliszek bezpiecznie do swoich ust.

– Chciałbym jednak spróbować inaczej – drążył mężczyzna, przysuwając się bliżej. – To spróbuj znaleźć kobietę dość głupią, aby cię chciała i dość cierpliwą, by z tobą wytrzymała – zaśmiała się Jemiba.

– Właściwie... Jesteśmy przyjaciółmi od dziecka. Jesteś przy mnie tyle lat, na dobre i złe. Może powinniśmy...

– Nie, nie powinniśmy. Poza tym, to tragiczna przyjaźń – powiedziała Jemiba tak ostro, że Kylven aż się skrzywił.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że scala nas pożądanie. Nie ma czegoś takiego, jak przyjaźń pomiędzy kobietą i mężczyzną. To mit. Prędzej czy później, wkłada się w tę relację dużo silniejsza emocja. Prędzej czy później, wkłada się w to seks. I na tym koniec. Po sprawie. W naszym przypadku, pragniemy siebie nawzajem. Czasem mocniej, czasem słabiej, lecz zawsze i bez przerwy. Co więcej, gdybyśmy wylądowali w łóżku, byłby to prawdopodobnie najlepszy seks w naszych życiach. Wyczekany, cierpliwy, czuły, pełen wzajemnego zrozumienia. Jednak po tej pięknej nocy, nie łączyłoby nas już nic. Nic więcej od siebie byśmy nie chcieli. To jest właśnie tragiczne.

– I konieczne – dodał Kylven.

– Zgadza się. Nie chcę tego spieprzyć. Nie mogę do tego dopuścić. Jeżeli faktycznie chcesz nudnego, bezpiecznego życia, mam nadzieję wkrótce pogratulować ci zaobrączkowania, u boku jakiejś idiotycznie uśmiechniętej laleczki.

– Dzięki, Jemi – Kylven wstał, zachwiał się i skierował do drzwi. – Jednak dobrze wiesz, że mi nie pogratulujesz. Zawsze tak było, i z tobą, i ze mną.

– To znaczy jak?

– To znaczy, że nigdy nie jest tak, jakbyśmy chcieli. Ty jednak nadal masz nadzieję, że los się nagle odwróci, marzenia się spełnią, a po czerwonym winie nie będzie kaca. W przeciwieństwie do ciebie, nie mam już takich złudzeń... I nigdy nie przepadałem za tym życiem.

– Do zobaczenia, Kylven.

– Żegnaj.

Kirkhammer wyszedł przez ciężkie drzwi wejściowe, powitany przez wieczorną bryzę. Nie oglądał się za siebie, pomimo przerażającej świadomości, że być może gościł tutaj po raz ostatni. Już miał wsiąść do samochodu i skorzystać z prawa przysługującego Ostrzom, dzięki któremu policja w żadnym państwie nie mogła karać ich za jazdę pod wpływem alkoholu, kiedy jego wzrok przykuł pomnik. Naturalnych rozmiarów gryf wykuty z jednego bloku szarego marmuru, stał dumnie po prawej stronie schodów, otoczony półkolem strzyżonych bukszpanów. Kylven nie przypominał go sobie. Oczywiście był zdrowo wstawiony, jednak cholerny, dwumetrowy kamienny gryf nie mógł być przywidzeniem. Mężczyzna podszedł do niego slalomem. Detale

zapierały dech w piersiach. Szczegóły oczu i piór, zakrzywione pazury i dumnie uniesiona głowa sprawiały wrażenie, że marmur za moment ożyje, a gryf odleci na swoich szarych skrzydłach. Dotknął dłonią zaostrzonego dziobu i przestał ufać swoim zmysłom. Statua naprawdę zaczęła się poruszać. Gryf zwrócił spojrzenie w kierunku Kylvena, rozpostarł skrzydła i strząsnął z siebie popiół, który przed chwilą był litą skałą. Jego upierzenie przybrało czarną barwę na głowie i tułowiu, z białymi częściami na podgardlu, każdej z łap i wewnętrznej stronie skrzydeł. Po tej efektownej przemianie, stworzenie znów skierowało rubinowe oczy na Kirkhammera i nieśmiało opuściło głowę na wysokość jego oczu. Kylven zdębiał. Nie miał przy sobie broni. Nawet w obecnym stanie powinien móc przynajmniej obronić się przed bestią, jednak nie czuł takiej potrzeby. Do jego pijanego umysłu sączyła się melodia myśli gryfa, a była ona piosenką o współczuciu i zrozumieniu, rozpaczy i obowiązku. Wojownik położył dłoń na dziobie stworzenia i poczuł przyjemne ciepło.

– Widzę, że poznałeś Patagona – głos Jemiby dobiegał z okna na piętrze.

– Patagon? – zapytał Kylven, a w odpowiedzi gryf podszedł bliżej i położył łeb na jego ramieniu. – Miałaś tutaj cały czas gryfa? Jakim cudem? Nigdy go nie poczułem, niczego nie zauważyłem. To nie powinno być możliwe.

– Nie powinno. Patagon to ostatni z gryfów, które ujarzmiła moja rodzina. Twój Kościół wytepił resztę. Mój pradziadek ukrył go przy pomocy potężnych czarów. Zaklęcia miały ustąpić jedynie, kiedy ktoś z nas znalazłby się w ogromnej potrzebie czy kłopotach. Najwyraźniej jesteś w tak czarnej dupie, że więzy krwi przeszły na dalszy plan. Lub po wyjściu stąd płakałeś tak głośno, że biedak się wkurwił i obudził.

– Ale ja nie jestem... – zaczął Kylven, jednak zamilkł, przypominając sobie jak zapijał samotność. *Magiczny gryf powstał z kamienia, żeby dotrzymać mi towarzystwa. Mnie! Zabójcy takich jak on! Ja naprawdę muszę zostać abstynentem. Przecież to nie ma absolutnie sensu* – bił się z myślami Kirkhammer, kiedy w głowie pojawiło mu się wspomnienie zamężonej gryficy wraz pisklętami, na rynku pewnego podłego miasteczka. – Nie mogę go... przygarnąć.

– Spróbuj! – zaśmiała się perliście Jemiba – Patagon był podobno tak

samo uparty jak ty. I równie lekkomyślny. Może nawet dorównywał ci krwiożerczością. Myślę, że będzie z was wspaniała para! – kobieta śmiała się już do łez, składając dłonie w serduszko i wychylając się z okna.

– No dobrze. Dziękuję, Jemi. I przepraszam. Nigdy ci tego nie zapomnę. Wrócę.

– Zawsze wracałeś – powiedziała przyjaciółka Kylvena, zamykając okiennicę.

## *Rozdział 8*

Przez cały następny dzień Kylven nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Była to norma po spotkaniu z Jemibą. Wszelkie uśpione myśli, odległe wspomnienia i zakneblowane wizje zrywały się ze swoich pieczołowicie wykutych łańcuchów, pozbawiając mężczyznę snu i spokoju. Problem polegał na tym, że Kirkhammer odczuwał miłość w stosunkowo rzadki sposób. Nie kochał wcale, lub na całe życie. Choć los postawił na jego drodze wiele różnych kobiet, w jego sercu zawsze królowała Delissa. Rozpychała się w nim, zajmowała miejsce honorowe i skąpane w nieznośnym blasku wyimaginowanych reflektorów. Jemiba zaś, trwała gdzieś tam, uśpiona, ledwie zauważalna. Nie pozwalała jednak o sobie zapomnieć, pomimo upływu lat, chaosu wydarzeń, nieporozumień i różnic temperamentów. Kylven bardzo dobrze pamiętał jak mimowolnie i bez żadnego wysiłku skradła mu serce. Mogłoby się wydawać, że dziecięce zauroczenie dziewczyną, która wielokrotnie dawała mu do zrozumienia, że nie ma szans na nic, poza jej przyjaźnią, minie bez śladu. Tak się nie stało. Wojownik, po każdym spotkaniu z kobietą przypominał sobie wszystkie powody, dla których zakochał się w niej do szaleństwa. Wszystkie jej wady, które czyniły ją idealną. Każdy kąt i rys twarzy, każdy szczegół smukłej sylwetki i każdy włos, pachnący szczęściem. Kirkhammer prawdopodobnie przesiedziałby w gorzkim otępieniu cały dzień. Na szczęście usłyszał za oknem skrzek. Mężczyzna westchnął, wstał z kanapy i wyszedł na taras. Widok na

Turkusową Zatokę uświetniała postać gryfa, wpatrującego się w bezkres zielonkawego morza. Kylven podszedł do stworzenia i poklepał je po dziobie. Patagon okazał się wyjątkowym kompanem. Poczucie obecności przyjaznego umysłu, chociażby należał on do potwora, było źródłem ukojenia dla Kylvena. Bestia miała w swoich oczach coś ciepłego, co przy każdym spojrzeniu wypełniało trzewia, jak domowa zupa. W czasie drogi powrotnej z domu Jemiby, kiedy Młot obserwował lecącego za swoim samochodem gryfa, obawiał się, że jego obecność błyskawicznie wyjdzie na jaw. Szczęśliwie, jego dom był położony z dala od osiedli, właściwie na odludziu. Przez chwilę Kirkhammer miał ochotę dosiąść Patagona i poszybować na jego grzbiecie aż po horyzont. Stwierdził jednak, że jego obecny nastrój mógłby zepsuć pierwszy wspólny lot, postanowił więc zrobić krótki trening szermierki i położyć się wcześniej spać. Kiedy mężczyzna szedł ćwiczyć, zadzwonił jego telefon. Odebrał go.

– Tak słucham?

– Witam, Kirkhammer – odezwał się oficjalny głos.

– Dobry wieczór, Panie Przewodniczący – odpowiedział zaskoczony Kylven. – Coś się stało?

– Nie, nie stało. Dzwonię z zawiadomieniem, że jutro w warowni odbędzie się pasowanie nowego Ostrza.

Młot poczuł lekką irytację. Rozumiał konieczność posiadania przez Kościół pełnego, czteroosobowego składu Ostrzy, jednak trudno mu było pogodzić się z zastąpieniem Verillona.

– Z całym szacunkiem... – zaczął Czempion.

– Nie cierpię, gdy tak zaczynasz zdanie. Świadczy to o tym, że za moment wykażesz się brakiem szacunku.

Kylven darował sobie uwagi świadomy, że kwestionowanie decyzji Kolaiusa i Rady jest bezcelowe.

– W takim razie, chciałbym jedynie zapytać kim jest następca Blackbirda?

– Nerker Bloodletter.

Tym razem w Kirkhammerze momentalnie zagotowała się krew. Słyszał pogłoski, że Nerker specjalizujący się we władaniu długim łukiem oraz dwoma sztyletami. Zabójca, jest nowym ulubieńcem Delissy. Osobiście nie spotkał go. Był pewien, że taka konfrontacja,

mogłaby skończyć się dla łuczniaka tragicznie. Deli by się wściekła. Rada też. Kolaius tym bardziej. Relacja Bloodlettera ze Stormbringer była tym dotkliwsza, że mężczyzna, poza drobnymi szczegółami, mógłby być bratem Kylvena. Ich podobieństwo przerażało i brzydziło Czempiona Ostrzy. Przyprawiało go także o nieodparte wrażenie, że był wizualnym ideałem dla Delissy, a źródłem konfliktu między nimi stało się jego nieprzewidywalne wnętrze.

– Zrozumiałem. Czy...

– Tak, twoim obowiązkiem jest obecność na ceremonii – uprzedził Kylvena Kolaius lodowatym tonem.

– Tak jest. Stawię się na miejscu – odpowiedział bezbarwnie Młot.

– Cieszę się, że udało nam się porozumieć. Przy okazji, powiesz mi czego dowiedziałeś się o swoim świetlistym przeciwniku. Chwała Wielkiemu Kościołowi.

Kylven nie trudił się, by odpowiedzieć na pozdrowienie. Był niewyspany, zły i pogrążony w ponurych myślach. Wziął głęboki oddech, zabrał pas z mieczami i wyładował swoją złość na placu treningowym.

Kiedy Kirkhammer skończył po raz pięćdziesiąty mordować wyimaginowanego Nerker Bloodlettera w finezyjny i bolesny sposób, wrócił do salonu, rozebrał się i poszedł do łazienki. Długi trening i zimny prysznic nie zdołały ukoić gniewu, który w nim płonął. Patagon chyba wyczuł jego nastrój, ponieważ siedział na tarasie, wpatrzony we wzburzonego mężczyznę. Kylven zatopił się na moment w czerwonych ślepiach gryfa, po czym wyszedł do niego.

– Masz rację. Trzeba uwolnić myśli. Oderwać się od tej naznaczonej cierpieniem ziemi.

Patagon w odpowiedzi wstał z płytek i pochylił głowę. Kirkhammer bez zastanowienia dosiadł gryfa, tuż przed jego ogromnymi skrzydłami. Chwytał delikatnie pióra na karku stworzenia, który wyprężył się, z zachętą. Jeździec wzmocnił więc chwyt i szepnął: – Leć. – Patagon najwyraźniej tylko na to czekał. Wystrzelił z miejsca, drapiąc szponami po posadzce, a następnie drąc nimi piasek. Potężne skrzydła rozwiewały włosy Kylvena, a gryf oderwał się w końcu od ziemi. Wzbijał się coraz wyżej i wyżej. Kiedy Kirkhammer obejrzał się przez ramię, jego dom stał się zaledwie maleńkim punktem, wśród zielonej

plamy palm. Podniebny rumak przeciął poziom chmur i, jakby z zadowoleniem, zaczął szybować w obłokach. Wyglądał niemal jak fantastyczny statek, płynący po morzu białej waty absurdu. Oczy Młota w tym czasie, robiły się coraz większe z podziwu. Latał już wcześniej samolotami i helikopterami, które były wielokrotnie od gryfa szybsze, jednak nigdy wcześniej nie czuł czegoś takiego. Ruszające się pod nim mięśnie, świszczący dookoła wiatr, zapach nieba i ciepło ptasich piór. Wszystkie te elementy układały się niczym wersy, tworząc litanię ku czci życia, piękna otaczającego świata i obecnej chwili. Kirkhammer żałował, że tylko raz może pierwszy raz lecieć na gryfie. Pod wpływem emocji, wtulił się w kark gryfa i objął jego szyję. Patagon w odpowiedzi wydał z siebie radosny, przeciągły, orli krzyk, na dźwięk którego wszystkie troski Kylvena umknęły w przestrachu. Trwało to zaledwie moment, ponieważ gryf chciał się popisać przed swoim jeźdźcem. Zanurkował w chmury, obrócił na plecy i zapikował w dół. Kirkhammer trzymał się mocno rękami i nogami, słuchając ogłuszającego ryku przecinanego ostrym dziobem powietrza. Obserwował zbliżającą się taflę wody i już miał zacząć się martwić, kiedy bestia gwałtownie i stanowczo wypoziomowała lot. Turkusowa Zatoka wypełniła się dźwiękiem wody szumiącej wokół gryfięgo pazura, który wąską smugą przecinał jej gładką taflę. Jednocześnie całe morze, wszystkie żyjące w nim stworzenia, a także białe mewy obserwujące z bezpiecznej odległości niezwykle widowisko – cała ta osobliwa widownia, zdumiała się ogromnie, słysząc śmiech. Kylven śmiał się szczerze i głośno, jak prawie zapomniał, że potrafił. Zaiste, gdyby wówczas któryś ze świadków tego niezwykłego, powietrznego tańca był zdolny do oklasków, powinien je wznieść, gdyż takiego śmiechu, świat miał już nigdy nie doświadczyć.

## *Rozdział 9*

Prywatną komnatę Delissy w warowni Kirkhelm można było opisać w dwóch słowach: słodka i uporządkowana. Proste, postarzone meble



pomalowane na delikatny, zielony kolor stały w konfiguracji najbardziej użytecznej. Biurko pod oknem, aby słońce wyglądające znad gór oświetlało dokumenty i raporty. W szufladzie poniżej, służbowy laptop, zawsze w pokrowcu, którego zamek był wrogiem każdego zegara. Naprzeciwko szafa z zaokrąglonym szczytem i podwójnym lustrem na szerokich drzwiach. Za nimi, równiutko ułożone, rzędy ubrań, posegregowane według palety barw. Pod trzecią ścianą – elegancka toaletka zastawiona armadą kosmetyków, buteleczek i pudełek, których nazwy przyprawiały o kompleksy nawet wytrawnych poliglotów. Nad nią wisiało okazałe lustro, którego rama wyobrażała obejmujące się nimfy. Ostatni mebel stanowiło duże łóżko z rzeźbionym zagłówkiem. Cały pokój przystrojony był zbiorami muszelek, drewnianymi serduszkami i kwiatami. Tu i ówdzie wisiał finezyjny amulet o tajemniczym kształcie i znanym tylko Delissie przeznaczeniu. Skromnego, ale eleganckiego wystroju dopełniał biały, puszysty dywan, którego zakłute frędzle masowały stopy czarodziejki. Stormbringer właśnie skończyła ubierać galowy strój Ostrza – długą, czarną spódnicę i czarne buty na obcasie, a także białą koszulę z wymyślnym, postawionym kołnierzem z falbanami oraz czarny żakiet z szerokimi, rozciętymi rękawami. Jej szyję przyozdabiał naszyjnik w kształcie niewielkiej sowy, zrobiony z plecionego w iście koronkowej robocie srebrnego drutu. Na lewym nadgarstku, zaś znajdowała się skromna srebrna bransoletka z lekko błękitnym kamieniem w kształcie łyżki. Czarodziejka rozczesała swe długie, złote włosy. Nie czuła potrzeby artystycznego układania ich, więc zawinęła jedynie opadający na oko kosmyk za prawe ucho i upięła go wsuwką. Odbicie w lustrze odpowiedziało uśmiechem na jej prosty, lecz zniewalający wygląd. Delissa wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Ceremonia pasowania Nerker na Ostrze miała tradycyjnie odbyć się na dziedzińcu za czterdzieści minut. Droga z komnaty w północnej wieży warowni powinna zająć najwyżej piętnaście. Czarodziejka zmierzała jednak gdzie indziej. Nie chciała, aby Bloodletter zobaczył ją przed uroczystością. Chciała olśnić mężczyznę i czerpać satysfakcję z jego głodnego wzroku podczas bankietu. Nerker był wspaniałą osobą. Przystojny i czarujący. Pozornie chłodny i wyrachowany, posiadał podobne do jej własnego poczucie humoru. Oprócz tego, zawsze

zachowywał się jak dżentelmen. Delissa sądziła, że już wkrótce zostaną parą. Kobieta z natury była jednak ostrożna, kierowała zatem swe kroki w stronę kaplicy, aby w spokoju móc jeszcze raz przemyśleć swoją decyzję. Nie była zbyt religijna. Wiara we Władców w ogóle nie przemawiała do jej pojęcia boskości i życia duchowego. Kaplica była zazwyczaj pusta, osłonięta dodatkowo zaklęciami ochronnymi, które uniemożliwiały wtargnięcie, działały dźwiękoszczelnie i niwelowały fale elektromagnetyczne. Było to miejsce odizolowane od reszty ogromnego budynku. Stormbringer weszła do pomieszczenia. Na wprost znajdowały się cztery ogromne posągi, przedstawiające Władców. Postacie stały dumnie w płaszczach, których kaptury zasłaniały im twarze. U ich stóp stał kamienny ołtarz, przy którym kapłani odprawiali nabożeństwa, a tuż obok niewysoka mównica, z której wygłaszali kazania. Czarodziejka przeszła pomiędzy rzędami drewnianych ław i usiadła tuż przy ołtarzu. Ściany boczne otwierały się wysokimi oknami, w które wprawione zostały cudowne witraże. Kolorowe szkiełka przedstawiały wojowników, czarodziei i czarodziejki w scenach walki oraz biesiad. Przeświecające przez nie promienie, usiadły feerią barw na spódnicy Delissy. Kobieta pogrążyła się w myślach. Właściwie już zdecydowała. Przyszła tutaj, by oczyścić umysł i upewnić się, że żadna zbłądzona myśl nie przyprawi jej o wątpliwości co do swojego wyboru. Nagle poczuła ciepło na swojej twarzy. Otworzyła oczy i natychmiast je zamknęła, oślepiona nienaturalnym blaskiem. Stormbringer zasłoniła twarz dłonią. Po chwili promienie zniknęły, a pięć metrów od niej, u ich źródła, stał mężczyzna w białym płaszczu. U jego boku wisiała szabla. Na głowie miał hełm ze szklanym wizjerem w kształcie krzyża. – *To on* – pomyślała. – *O nim opowiadał w swoim raporcie.* Postać zaczęła zbliżać się wolnym, sprężystym krokiem. Delissa zerwała się na nogi i wyciągnęła dłoń w kierunku niespodziewanego gościa. – *Jak on się przedostał przez zaklęcia ochronne?* – zastanawiała się czarodziejka.

– Czego chcesz? Co tu robisz? Kim jesteś? Zatrzymaj się natychmiast! – krzyknęła.

– Chcę ciebie – odpowiedział mężczyzna dziwnym, metalicznym głosem, nie zwalniając przy tym kroku.

Delissa bez zastanowienia cisnęła piorunami w agresora, jednak ten

zasłonił się szablą i szedł dalej, jak gdyby zakłęcie zupełnie nie zrobiło na nim wrażenia. Czarodziejka zaczęła miotać kulami ognia, tworzyć zaostrzone lodowe pociski i posyłać fale energii, cofając się przy tym pod ołtarz. Jej przeciwnik najzwyczajniej odbijał zakłęcia lub unikał ich, przemieszczając się z niewyobrażalną szybkością. Kiedy kobieta oparła się biodrami o kamienny blok, postać pojawiła się tuż przy niej. Stormbringer wyemitowała impuls energetyczny, który zmiotł trzy pierwsze rzędy ławek, rozwalając je w drzazgi. Wojownik stał nadal w tym samym miejscu, zasłaniając się swoją bronią. Ta chwila wystarczyła jej jednak. Kamień na jej nadgarstku zaświecił błękitnym światłem. – *Chociaż ten jeden raz mnie nie zawieź... Kylven, potrzebuję cię* – wyrecytowała w myślach Delissa.

Kirkhammer zapinał właśnie ostatni guzik swojej galowej kurtki i przygotowywał się mentalnie na konfrontację z Nerkerem, kiedy usłyszał hałas na podwórku. Patagon miotał się na tarasie i skrzeczał potępieńczo, patrząc na Kylvena przerażonym wzrokiem. Mężczyzna poszedł w kierunku drzwi, żeby uspokoić gryfa, kiedy Syjamska Łza na jego szyi rozjarzyła się ognistym blaskiem. Kirkhammer bez zastanowienia chwycił kamień jedną ręką, drugą sięgając po miecz. – *Idę, Deli!* – krzyknął. Potem medalion rozprysnął się na miliony skrzących się kawałeczków, które wybuchły jasnopomarańczowym ogniem. Płomienie pochłonęły wojownika i zniknęły. Patagon patrzył jak jego podopieczny ulatnia się, by już nigdy nie powrócić.

Kamień w bransoletce Delissy rozpadł się i wybuchł w jęzorach błękitnych płomieni, które w okamgnieniu przybrały ludzki kształt. Po chwili wyłonił się z nich Kylven. Zdezorientowany, spojrzał na Stormbringer. Przerażona kobieta stała oparta o kamienny ołtarz kaplicy w cieniu Świetlistego Wojownika. Na szczęście przeciwnik był równie zdumiony. Kirkhammer bez zastanowienia chwycił go za płaszcz i cisnął jak najdalej mógł w kierunku drzwi. Następnie wyrwał z pochwy Furię i ampułkostrzykawkę z kieszonki przy pasku. Wstrzyknął sobie Harmattan w żyłę szyjną i skoczył w kierunku zniechęconej postaci. Oponent zawirował w salcie, lądując miękko. Stał w pozycji szermierczej, oczekując na atak. Czempion Ostrzy poczuł falę mdłości, po których cały świat zwolnił. Drobiniki kurzu w kolorowych promieniach słońca przedzierających się przez witraże, prawie przestały się

poruszać. Głos Delissy zamazał się i przestał być zrozumiały. Kylven zrobił dwa kroki w kierunku przeciwnika i z satysfakcją zauważył, że gdy tamten chciał użyć swojej szybkości, jego ruchy stały się doskonale widzialne. Zauważał każde napięcie mięśni, falujące poły płaszcza i zmiernące w swoim kierunku ostrze szabli. Miał tylko nadzieję, że jego ciało zareaguje równie szybko, co umysł. Dźwięk rozgrzanego metalu zsuwającego się po klindze Furii utwierdził go w przekonaniu, że eliksir zadziałał. Kirkhammer zawirował w piruecie, odwracając się twarzą do zaskoczonego przeciwnika i natarł. Kaplicę wypełniła symfonia ostrzy, niczym dwójga skłóconych kochanków. Klingi całowały się przy rozbłysku iskier i odpychały, ślizgały wzajemnie po sobie i z sykiem chybiały ciał swoich władców. Kylven agresywnie zmuszał przeciwnika do powolnego cofania się w stronę drzwi. Atakował bez wytchnienia, nie dając szansy na ripostę. Furia migotała przy każdym z niezliczonych cięć, a szabla świetlistego wojownika unosiła się coraz wolniej przy każdej paradzie. Błąd był nieunikniony. W końcu Młot odsłonił się, unosząc broń nad głowę, markując druzgocące uderzenie, a oponent odruchowo zareagował szybkim pchnięciem w okolice wątroby. Kirkhammer błyskawicznie obrócił rękojeść w prawej dłoni, chwytając miecz odwrotnie i zbił klingę przeciwnika, po czym poszedł za ruchem, obrócił się i rąbnął go kopniakiem w tors. Świetlisty poleciał na drzwi kaplicy, prawie jak pewien bezczelny kandydat na Rękę, jednak utrzymał się na nogach i natychmiast wypalił z rozczapierzonej dłoni promieniem światła. Kylven zdążył zasłonić się ostrzem Furii. Fala energii pchała go do tyłu, rozbijająca się o klingę wiązka paliła ławy dookoła żywym ogniem. Przeciwnik nie mógł trzymać zaklęcia w nieskończoność. Raptownie je zerwał i skoczył na Czempiona Ostrzy. Wojownik, oślepiony przez gorejącą wiązkę, zadziałał instynktownie. Przeciwnik był praworęczny, spodziewał się więc ukośnego cięcia z nad prawego barku. Stał jakieś sześć metrów od niego, więc po skoku powinien był już dolatywać. – *Teraz!* – pomyślał Kirkhammer. Zrobił krok w lewo i wyrzucił ostrze przed siebie w niezdarnej paradzie. Poczuł jak ramiona opadają mu pod potężnym uderzeniem oraz piekący ból nad prawym biodrem, ale było to zaledwie draśnięcie. Powracający wzrok wyjawiał mu lądującego rywala, którego oczy pod hełmem zapewne osiągnęły niewyobrażalne

wcześniej dla właściciela rozmiary. Kylven ciął szeroko, od dołu, lekko, gdyż nie miał czasu na porządny zamach. Tętnica szyjna świetlistego wojownika wybuchła strumieniem czerwieni. Wyglądało to, jakby ktoś rzucał z niej najpiękniejsze róże. Młot kontynuował ruch, zrobił półpiruet i chwycił rękojeść odwrotnie, lewą ręką. Pchnął za siebie, lecąc jednocześnie w tył całym ciężarem ciała. Zadziorzy na klindze Furii zazgrzytały obrzydliwie. Kirkhammer popatrzył na Delissę i bardzo się zdziwił. Kobieta nie wyglądała na uradowaną, lecz nadal krzyczała coś do niego. – *Cholera, właśnie uratowałem jej życie, a ta znowu się na mnie wydziera* – zdążył pomyśleć, kiedy tuż przed nim, jak spod ziemi, wyrósł świetlisty wojownik i wbił mu gorącą szablę w serce. Kylven wypuścił miecz. Metal upadł z brzękiem na posadzkę, otoczony skrzącymi się kryształkami, na które rozprysnął się sobowtór jego przeciwnika. Jednak oślepienie ręcznym laserem miało jakiś cel. Mężczyzna wyciągnął dłoń w kierunku ukochanej czarodziejki, która zamarła z ustami otwartymi w niemym krzyku przerażenia i... jeszcze czegoś. Czy to mogła być rozpacz? Być może. Czempion Ostrzy chciał się uśmiechnąć na tę myśl, jednak jego usta wypełniła fala krwi, bo jego przebiegły przeciwnik przekręcił broń w ranie, zamieniając jego serce w krwawe dzieło sztuki nowoczesnej. Kirkhammerowi pociemniało w oczach i z rozczarowaniem usłyszał swój własny jęk. Świetlisty wojownik wyrwał szablę z jego ciała i niesamowitym kopnięciem, z impetem posłał na stos połamanych ław. Potem nastąpiła ciemność i Kylven Kirkhammer zmarł po raz drugi.

Delissa Stormbringer mogła jedynie bezradnie patrzeć na dwie smugi ścierające się raz po raz na kamiennej podłodze kaplicy Władców. Każde rzucone zaklęcie równie dobrze mogło trafić Kylvena, jak i jego przeciwnika. Spośród wielu nieprzyjemnych uczuć, bezsilności czarodziejka nienawidziła najbardziej. Tym bardziej, widok rozczochranego wojownika, u boku którego kiedyś dumnie stała, ku złości zazdrosnych kobiet, podnoszącego z trudem w jej stronę dłoń, przebitego mieczem i plującego krwią, uderzył ją z mocą tarana. Kobieta opadła na kolana, patrząc jak Czempion Ostrzy, niegdyś najważniejszy dla niej mężczyzna, jedyny zdolny do walki z przerażającym przeciwnikiem, uderza bezwładnym ciałem w drewniane ławy. Odgłosy łamanych desek i kości wymieszały się ze sobą, tworząc

ohydną, brutalną symfonię przemocy. I porażki. Delissa nie wyobrażała sobie jak może stawić czoła świetlistemu wojownikowi. Była najpotężniejszą czarodziejką Wielkiego Kościoła, ale w tamtym momencie czuła się słaba jak dziecko. Słaba i bezradna. Nawet nie próbowała już silić się na bezużyteczne czary. Utkwiła mętny wzrok w miejscu, gdzie upadł Kylven i pozwoliła sobie na jedną jedyną łzę. Oprawca tymczasem szedł w jej stronę tym samym wolnym, pozbawionym wyrazu krokiem. Stukanie jego obcasów przerwał metaliczny głos, od którego włos się jeżył. – To było niepotrzebne i bardzo nieeleganckie z twojej strony – postać wyciągnęła dłoń w kierunku kobiety. – Nie chcę cię skrzywdzić. Jesteś mi potrzebna. Zostaniesz... – wojownik przerwał wywód, widząc jak oczy Delissy rozszerzają się, wpatrzone w punkt za jego plecami. Odwrócił się i też to zobaczył. Kirkhammer, a raczej jego zwłoki, zapaliły się. Stos ław nie zajął się podczas walki. Ciało zdawało się płonąć ogniem pochodzącym z jego środka. Po chwili osłupienia, grobową ciszę przerwał ryk Kylvena, zniekształcony i wzmocniony przez drugi, nieludzki i siejący grozę głos. Wrzask duetu zatrząsł kaplicą. Witraże w oknach zaczęły drżeć i po chwili wypadły, zasypując pomieszczenie deszczem tęczowych szkiełek.

Kylven obserwował swoje połamane ciało, unosząc się metr nad nim. Co dziwne, zawsze wydawało mu się, że jest bardziej przystojny. Zalany krwią, z dziurą w klatce piersiowej i kończynami wygiętymi pod bardzo dziwnymi kątami, prezentował się niezbyt wyjściowo. Przeniósł wzrok na Delissę. Czarodziejka również gapiała się na jego zwłoki, podczas gdy jego zabójca zbliżał się do niej. Wiedział, że nie może już nic poradzić. Zawiódł ją. Był jednym wielkim rozczarowaniem. Przez całe życie doskonalił swoje umiejętności w walce, lecz kiedy potrzebował ich bardziej niż kiedykolwiek, okazały się niewystarczające. W zasadzie cieszył się, że to koniec. Nigdy więcej nie zawiedzie cudzego zaufania. Nigdy więcej nie będzie traktowany jak nieludzkie dziwadło. Nie wiedział co czekało po tej stronie, jednak nie mogło czaić się tam nic gorszego niż to, czego doświadczył za życia. Pozwolił nieznanej i niepowstrzymanej sile objąć się i unosić w górę, pod sam sufit, kiedy dostrzegł spływającą po twarzy czarodziejki łzę. Nie była to łza strachu przed świetlistym wojownikiem ani złości z

powodu jego porażki. Była to łza przeznaczona dla niego. Oznaka żalu. Symbol poczucia straty. Czyli jednak pozostał w jej sercu. Dlaczego dowiedział się tego akurat teraz, kiedy było za późno, aby ją przytulić, powiedzieć jak bardzo za nią tęsknił? Kirkhammer zaczął się szamotać i wyrwać. Na próżno. Niewidzialne ręce trzymały go mocno i ciągnęły ku pokrytemu freskami sufitowi. Wtem, Kylven dostrzegł pod sobą ruch. Z jego bezwładnego, opuszczonego ciała wydobywał się jakby dym. Wąska u dołu smużka, rozszerzała się, pęczniała i formowała w postać antropoidalną. W miejscu, w którym powinny znajdować się oczy, ziała pustka, wypełniona przez czarne kule, w których wiła się czerwona mgła. Młot bez trudu rozpoznał demona. Więc to stało się tamtej przeklętej nocy. Naznaczony nie dokończył rytuału, jednak wszczepił w jego ciało dość demonicznej energii i woli, aby zyskał swoje umiejętności. I cechy osobowości. Mroczna postać wyciągnęła szponiastą rękę w kierunku ulatującego Kylvena. Mężczyzna nie wahał się. Dla Delissy zrobiłby wszystko. Choćby miał oddać za nią życie po raz drugi. Chwycił gorejącą dłoń, która natychmiast oparzyła go dotkliwie i wyrwała z objęć śmierci. Następnie, wciągnęła go z powrotem do pokierszowanych zwłok. Potem był już tylko ogień i dym. I ból, jakiego mężczyzna jeszcze nigdy nie doświadczył.

Delissa i świetlisty wojownik patrzyli jak zahipnotyzowani na horror przed sobą. Kiedy ogłuszający dźwięk ustał, Kirkhammer podniósł się ze stosu połamanych desek, które zajęły się od jego ognia. Z obrzydliwym chrupotem jego połamane kości nastawiały się. Ziejąca dziura w klatce piersiowej wypluła strugę wściekłych płomieni, a następnie się zasklepiała. Skóra mężczyzny została zwęglona i poczerniała, poprzecinana nieznanymi nikomu serpentynami run i demonicznych wzorów, które płonęły czerwono. Kylven zawodził w mękach, kiedy trawiący go od środka ogień spalił jego powieki, a gałki oczne zagotowały się i eksplodowały. Zostały zastąpione przez gładkie, czarne kamienie, w których kłębiła się czerwona, nienawistna mgła. Zniknęły również wargi mężczyzny, odsłaniając białe zęby, które wydawały się spiłowane w ostre kły, a także nos, aż do kości i całe policzki. Twarz Młota bardziej przypominała obleczoną czarnym, poparzoną mięsem czaszkę. Z otwartej paszczy i nozdrzy ziało gorące powietrze i zbłąkane płomienie. Los lub siła, która znęcała się

nad wojownikiem, przeobrażając go w gorejące monstrum, oszczędził jego wspaniałe włosy, które powiewały w prądach gorącego powietrza. Ubranie Kirkhammera spłonęło, poza pasem z mieczami i spodniami z impregnowanych włókien entów, które były ogniotrwałe. Postać przestała w końcu zawodzić i stała ze spuszczoną głową, oglądając w niemym zdziwieniu swoje dłonie. Potem podniosła swój przerażający wzrok na Stormbringer. Świetlisty wojownik otrząsnął się z szoku i rzucił w stronę czarodziejki. Delissa krzyknęła. W tym samym momencie Kylven, a raczej to, co powstało z jego martwego ciała, wybuchło. Postać zajęła się jednym, wielkim płomieniem i zniknęła w obłoku czarnego dymu i pyłu. Ułamek sekundy później, chmura piroklastyczna z rozrywającym powietrze rykiem przecięła kaplicę, paląc wszystko na swojej drodze i wślizgnęła się pomiędzy czarodziejkę, a jej oprawcę. Znowu nastąpił błysk szalejącego ognia i Kirkhammer stał już przed nią. Oniemiała kobieta była świadkiem kolejnej niesamowitej sceny. Stworzenie nazywane niegdyś Młotem Kościoła, walnęło swojego przeciwnika z taką siłą, że zatrzymał się on dopiero na ścianie obok drzwi wejściowych. Następnie, potwór zdematerializował się i pojawił przy upuszczonym w poprzednim życiu mieczu. Chwycił go i znów błysnął. Tym razem, stał już przy znienawidzonym wojowniku. Zdezorientowany oponent zerwał się z klęczek i rozmazał w smudze światła. Po chwili, pomieszczenie raz po raz wypełniały eksplozje światła, jaśniejące smugi i szalejące obłoki dymu. Walczący w końcu musieli stracić część sił, ponieważ przestali się przemieszczać. Ich miecze śpiewały teraz pieśń czystej furii. Delissa zauważyła, że runy na mieczu Kylvena zapłonęły i jarzyły się złowieszczo, zataczając pomarańczowe łuki przy każdym ciosie. Czempion Ostrzy stał się jeszcze bardziej zabójczy. Atakował, cofał się, znowu nacierał, parował i unikał wrogiego miecza z nieznaną mu wcześniej szybkością. Czuł niezmierną i niepohamowaną siłę. I był bardzo, bardzo zły. Nie dawał przeciwnikowi czasu na użycie swoich sztuczek. Pchnął sztychem. Świetlisty wojownik zbił uderzenie płazem i zripostował szybko. Kylven zasłonił się ukośnie, wirując w piruecie, chwycił rękojeść odwrotnie lewą ręką i znowu pchnął. Kolejna parada. Zrobił odwrotny piruet i zgiął się w pół, unikając poziomego cięcia. Wykorzystując impet, zaatakował z lewej, od dołu, przedzierając się



przez osłonę. Wypuścił miecz, wprowadzając go nadgarstkiem w rotację i złapał prawą dłoń, tnąc potężnie na ukos. Parada rywala znów się załamała, a on sam musiał cofnąć się w nieudolnym piruecie. Ten moment wystarczył, aby wykrzyczał zakłęcie i wyrzucił przed siebie rozczapierzoną dłoń. Młot zasłonił się odruchowo, lecz kiedy laser nie uderzył, przełożył Furię do lewej ręki i błysnął. Pojawił się pół metra po swojej prawej, odwrócony twarzą do sobowtóra, który przed chwilą stał za jego plecami. Już materializując się, sięgnął wolną ręką po Łaskę i jednym ciosem powalił zdziwionego pozoranta, który nadział na swoją szablę powietrze. Wszystko to stało się w mgnieniu oka i Kirkhammer już wirował w młyńcach, zbliżając się do oryginału swojego przeciwnika. Dwa wspaniałe miecze błyskały czerwienią i błękitem run pokrywających ich klingi. Jedna z nich ześlizgnęła się po gorącej szabli, druga przecięła materiał pod lewą pachą wojownika w bieli. Kylven nie zatrzymał piruetów. Kolejny obrót. Jedno ostrze wybija szablę z rąk oponenta, drugie w gryza się w ciało od biodra, aż po przeciwległy bark. Jeszcze jeden obrót. Blisko. Czempion Ostrzy widzi swoje przerażające oblicze w czarnym krzyżu wizjera świetlistego wojownika. Potężnym cięciem od dołu, oboma mieczami jednocześnie, uderza w znieawidzony hełm. Metal pęka, rozpada się. Głowa pod nim odlatuje do tyłu, lecz jakimś cudem utrzymuje się na szyi. Oczom Kylvena ukazuje się śnieżnobiała zasłona z białych włosów, za którą spotyka naznaczoną ukośną, czerwoną kreską twarz starca. Jasnyniebieskie oczy mężczyzny są mętne. Jego pomarszczone usta rozchylają się, wypowiadając jedno zdanie: – Głupcze... Teraz nikt ich nie powstrzyma. – Kirkhammer nie zważa na to. Zatapia oba miecze w brzuchu starca aż po rękojeści. Następnie chwyta jego twarz dłońmi i rozwiera paszczę. Przy akompaniamencie nieludzkiego krzyku zieje ogniem, który topi twarz jego przeciwnika aż do samych kości. Mężczyzna nie wydał z siebie dźwięku. Opadł jedynie na podłogę, cicho, jakby przygotowany na ten moment. W następnej chwili, jego ciało zniknęło, unosząc się w postaci drobnych kryształków i ulatując przez wybite okna kaplicy. Kylven podniósł i schował miecze do pochew, odwrócił się do oszołomionej Delissy i chciał coś powiedzieć, kiedy drzwi do pomieszczenia otwarły się z łoskotem. Zza nich wyłonił się Nerker Bloodletter oraz oddział Rąk. Wojownik ogarnął wzrokiem

scenę przed sobą. Kobieta, w której zakochał się od pierwszego wejrzenia, pólleżająca na schodach pod ołtarzem z wyrazem twarzy, którego jeszcze u niej nie doświadczył. Maską przerażenia, szoku i cierpienia wykrzywiła i pozbawiła piękna jej oblicze. Wszystkie ławy w pomieszczeniu były połamane i porozrzucane. Część z nich płonęła. Podłogę pokrywała mozaika kolorowych szkiełek ze stłuczonych witraży. Na środku sali, stało na wpół spalone monstrum z dwoma mieczami na plecach. Bloodletter bez zastanowienia złapał łuk, wyszarpnął strzałę z kołczana przy pasku i strzelił do potwora. Istota podczas lotu pocisku wyszarpnęła miecz z pochwy i odbiła go niemal niemożliwym do zarejestrowania machnięciem.

– Nerker – usłyszał wojownik, a był to głos zniekształcony, jakby z poparzonej krtani. Drugi głos w ogóle nie brzmiał jak ludzki.

– Odsuń się od niej! – krzyknął wojownik – Deli, idę do ciebie.

Po tych słowach, potwór wybuchł i pojawił się tuż przed oszołomionym łuczniakiem. Błysk miecza. Jeszcze jeden. Obrót i znowu cios. Nerker opadł na kolana, starając się zatamować krwotok z rozciętych tętnic na nadgarstku, w pachwinie i pod uchem. Niestety, potrzeba było do tego co najmniej trzech rąk, więc machał swoimi dwiema od rany do rany, klęcząc w coraz większej kałuży własnej krwi. Kylven nie zwrócił uwagi na otępiałe Ręce. Uniósł miecz, żeby pozbawić broczącego jak zarżnięta świnia Don Juana, jego paskudnej głowy, kiedy w pierś uderzyła go błyskawica i posłała do tyłu aż pod ścianę. Młotowi pociemniało w oczach, mięśnie napięły się boleśnie, ale zdążył przed kolejnym zaklęciem. Błysnął trzy metry w bok unikając fali energii, która zamieniła miejsce, w którym się znajdował w kupkę kamieni i tynku. Delissa lewitowała tuż nad ziemią, otoczona zapachem ozonu i wyładowaniami elektrycznymi. Z jej palców bez przerwy latały kolejne błyskawice, które Kirkhammer desperacko odbijał lub unikał pod postacią chmury piroklastycznej. Czarodziejka zdawała się opętana szalem, przeświadczona o tym, że to, co stara się zabić nie ma już nic wspólnego z dawnym Czempionem Ostrzy. Kylven nie miał możliwości wyjaśnień. Poza tym, pociął na oczach jej i całego oddziału Rąk, Ostrze Kościoła. Był to pewien kłopot. Zdezorientowany sytuacją, w której się znalazł, mężczyzna zerwał paradę skrzyżowanych przed sobą mieczy, odsuwając się jednocześnie w bok. Zgromadzoną w

pokrytym runami metalu energię uwolnił, prowadząc szerokie cięcie z półobrotu. Tuż za tnącymi powietrze klingami podązał świecący łuk, który z impetem wystrzelił w kierunku czarodziejki i tłoczących się przy drzwiach żołnierzy. Delissa bez trudu wygasila falę energetyczną, jednak Ręce przewracały się nawzajem, uderzone, jak się zdawało, potężnym podmuchem wiatru. Stormbringer rzuciła ogromnym piorunem kulistym z obu rąk, jednak Kirkhammer zdążył zniknąć, wylatując przez okno jako czarny obłok dymu i żarzącego się pyłu.

## *Rozdział 10*

Kylven uciekł przez jedno z okien kaplicy, zapominając kompletnie, że zamek od jej strony kończył się pionową ścianą, przechodzącą gładko w strome zbocze Kościelnej Góry. Spadał jak kamień, nabierając zawrotnej prędkości. Wiatr huczał mu w uszach, ostre głązy i szpiczaste skały zdawały się wyciągać swoje omszałe zębiska w jego stronę. Kirkhammer widział zbliżającą się plamę zieleni poniżej, którą był sosnowy las, rozciągający się od podnóża Góry, aż do niewielkiego miasteczka Lordsfoot. Kiedy czubki drzew, niczym włócznie pierwszej linii frontu, zaczęły martwić samotnego kawalerzystę niebios, ten błysnął. Wijący się kłęb dymu spadał równie szybko, lecz po spotkaniu z twardym podłożem, rozprysnął się na kilka osobnych smug i uformował podobnie, a potem zapalił i zgasł, ukazując demoniczne stworzenie. Młot już pędził pomiędzy grubymi pniami iglastych kolosów, przeskakiwał nad złamanymi konarami i próbował ogarnąć gonitwę swoich własnych myśli. Pierwszą, była aproba nowo nabytej umiejętności, dzięki której nie zamienił się w krwawą plamę. Z drugiej strony, nie był pewien czy krew nadal w nim krążyła. Wiedział, że demon ukryty głęboko w jego sercu, wziął teraz górę lecz w jakim stopniu? W tej chwili nie było to najważniejsze. Decyzja o ucieczce z warowni była głupia. Powinien złożyć broń, poddać się i spróbować wytłumaczyć. Nie powinien, nawet w akcie samoobrony, atakować Delissy i Rąk. Na pewno nie powinien pociąć Nerquera. Przez moment

Czempion Ostrzy chciał się nawet zatrzymać i wrócić do Kirkhelmu. W biegu utrzymała go świdrująca w tyle głowy myśl, że gdyby chwilę temu rzucił miecze, Stormbringer zamieniłaby go w kupkę popiołu. Prawdopodobnie teraz ma podobne plany co do niego. To nie był moment na tłumaczenia. Musiał uciec, ukryć się. Przynajmniej na jakiś czas. W obecnym stanie, każdy jego argument przegrałby z wyglądem. Jedynym pomysłem Kylvena, był Derix. Mężczyzna miał nadzieję, że przyjaciel – mag, będzie znał sposób na odwrócenie jego przemiany. W tym celu jednak, konieczna była podróż do karczmy „Pod Wyszczerbionym Brzeszczotem”. Podróż licząca tysiąc kilometrów. Kirkhammer spodziewał się, że cały Kościół organizuje już pogoń za nim, składa zawiadomienia i śle listy gończe do każdego kraju na ziemi. Bramy odpadały. Każdy skok był rejestrowany, a do kalibracji współrzędnych potrzebny jest identyfikator. Jedyną opcję stanowił samochód. Samolot lub helikopter byłby znacznie lepszy, ale raporty z ruchu powietrznego mogły bez problemu wpaść w ręce Kościoła. Myśli Młota nagle skupiły się w jednym punkcie, przyprawiając go o zawrót głowy, przez który o mało nie skręcił karku, wywijając salto nad kamienistym strumieniem. Patagon. Ręce w tej chwili, a najpewniej bardzo niedługo, złączą przeszukiwać jego mieszkanie nad Turkusową Zatoką. Jeżeli znajdą gryfa, zabiją go. Bezsilność odebrała Czempionowi władzę w nogach. Wojownik zatrzymał się i oparł o pień. – *Spokojnie – myślał – Patagon nie jest jakimś tam zwykłym gryfem. Kiedy teleportowałem się do Deli, był niespokojny. Być może wyczuwa złą aurę albo zagrożenie. Pewnie już odleciał lub zrobi to wkrótce. Nie dopadną go.* Kylven uspokoił się kilkoma głębokimi oddechami i popędził dalej. Plan. Zadzwoić do Derixa. Ściągnąć go do karczmy. Najlepiej całą trójkę. Przyjaciele mu pomogą. Zdobyć samochód, najlepiej z napędem nuklearnym, w celu uniknięcia postojów na tankowanie. Przydałoby się też przebranie. Chociaż bluza z kapturem. Miał najwyżej godzinę, zanim całe miasteczko zostanie obstawione przez patrole, a drogi zablokowane. Jedynym sprzymierzeńcem uciekiniera był zmrok, który zaczął już zapadać. Słońce chowało się za murami warowni Kirkhelm na dalekim horyzoncie, jakby zmęczone wydarzeniami dzisiejszego wieczoru. Kylven również był zmęczony. Biegł dalej, ku zapalającym się powoli światłom Lordsfoot.

Kylven wyszedł z gęstwiny lasu i rozejrzył się. Ciche ulice miasteczka były opustoszałe. W oddali słychać było odgłosy muzyki, śmiechy i brzęk naczyń. Zapewne na rynku odbywał się jakiś festiwal albo obchody lokalnego święta. Mężczyzna zapuścił się pomiędzy szare budynki. Trzymał się wąskich, nieoświetlonych uliczek. Wychylił się zza ściany zakładu fryzjerskiego i zbadał wzrokiem teren przed sobą. Po obu stronach ulicy znajdowały się sklepy spożywcze i kwaciarnie, kuszące zza szyb kolorami paków. Butiki odzieżowe przepelniały najróżniejsze ubrania. Najnowsze krzyki mody, której kanony dyktowali odlegli projektanci, nie mający pojęcia o użyteczności w swoich produktach. Piekarnie, sklepy mięsne i monopolowe. Kioski i księgarnie. Wszystko pozamykane na cztery spusty, zasunięte rolety antywłamaniowe i kłódki wiszące na kratkach drzwi. Miasteczko bawiło się na całego. Kirkhammerowi bardzo ta sytuacja odpowiadała, aczkolwiek potrzebował kogoś do... obrabowania. Wojownik przeciął szybko pustą ulicę i skierował swe kroki w stronę ogrodzonego parkingu, którego automat biletowy majaczył pomiędzy budynkami. Szczęście dopisywało uciekinierowi. Młody mężczyzna wychodził akurat z samochodu. Kiedy opuścił parking i skręcił w kierunku odgłosów festynu, Kylven ruszył za nim. Cichy jak kot, podążał za przechodniem aż do słabiej oświetlonego zaułka, wychodzącego na deptak. Dogonił go, złapał za luźny materiał bluzy na plecach i wyrzucił nieszczęśnikiem o ceglaną ścianę. Zdezorientowany mężczyzna otworzył usta z zamiarem krzyku na widok twarzy napastnika, ale Kylven w porę zakrył mu usta. Młot chwycił bluzę pod szyją ofiary i uniósł ją kilka centymetrów nad ziemię. Potem, starając się wyraźnie wypowiadać słowa swoim podwójnym, zniekształconym głosem, powiedział:

– Kluczyki od samochodu, portfel i telefon. I bluza – dodał po namyśle. Przerażony mężczyzna pospiesznie ściągnął z siebie ubranie i wyjął z kieszeni pożądane przedmioty. Kirkhammer zabrał je, włożył bluzę i naciągnął kaptur na głowę. – Posłuchaj mnie uważnie. Jeżeli zgłosisz kradzież samochodu, albo powiesz komukolwiek, że mnie widziałeś, znajdę cię. I zabiję – oczy okradzonego osiągały rozmiar dojrzałych cytryn, kiedy kiwał nerwowo głową. – Samochód znajdziesz w okolicy Dumanile. – zakończył Kylven i uderzył nieszczęśnika w

twarz, pozbawiając go przytomności. Mężczyzna zwałił się ciężko na ziemię. Czempion Ostrzy miał wyrzuty sumienia, jednak konieczność w zaistniałej sytuacji musiała mu wystarczyć za rozgrzeszenie. Wrócił na teren parkingu i odnalazł widziany przed chwilą samochód. Był to zwyczajny, rodzinny pojazd, który nie powinien zwracać na siebie uwagi, w dodatku z napędem nuklearnym i skromnym zapasem ogniw paliwowych. Dzięki temu wojownik powinien obejść się bez konieczności ich zakupu i dotrzeć do Dumanile bez przystanków. Kylven wsiadł do samochodu, zapalił silnik i skierował auto na trasę wylotową z miasteczka. Szarość wieczoru sprawiła, że osoby w mijających go pojazdach nie widziały jego twarzy. Mimo to, przez całą drogę do autostrady, siedział na fotelu niczym fakir na szpilkach. Wymyślny kaptur jego zdobycznego odzienia mógł z powodzeniem robić za turban. Kiedy Kirkhammer dotarł w końcu do mało uczęszczanej o tej porze trasy szybkiego ruchu, włączył tempomat i wybrał numer Derixa na klawiaturze skradzionego telefonu. Czarodziej nie odbierał. Wojownik zaklął paskudnie i wstukał drgającymi palcami numer do Jaze'a. Po czterech, długich jak udawany orgazm, sygnałach w mikrofonie zabrzmiał głos przyjaciela.

– Halo? – zapytał Jaze. Z tonu głosu Kylven wywnioskował, że jest delikatnie wstawiony.

– Mam problem. Duży. Wpakowałem się w naprawdę poważne gówno.

– A, to ty, Mordo. No i? To nic nowego. Tak w ogóle, co się stało z twoim głosem? Zapalenie krtani? – ziewnął głos w słuchawce

– Tak, kurwa, przez zapalenie krtani załagał mi się w niej cholerny demon – zaczął irytować się wojownik.

– Weź sobie jakieś anielskie krople na gardło – próbował zażartować Jaze.

– Zamknij się! Naprawdę mam kłopoty i potrzebuję pomocy. Ściągnij Derixa do knajpy. Najlepiej wszyscy przyjdźcie. Powinienem tam być za jakieś dziewięć godzin.

– Da się zrobić. W końcu znamy się nie od dziś – zachnął się mężczyzna. – Jednak będę nalegał na jakąś bardzo dobrą flaszkę za tę przysługę.

– Jak mi pomożecie, będę stawiał wam wódkę do końca życia.

– I to lubię! – uradował się Jaze. – W takim razie do zobaczenia!

Kylven rozłączył się i rzucił telefon na siedzenie pasażera. Monotonna jazda pozwoliła mu w końcu nieco się uspokoić. Włączył radio i wybrał przypadkową stację. Jazgotliwy głos kobiety trajkotał w głośnikach, z wyuczonym na wieczorowym kursie aktorskim przejęciem. „Dzisiejszego wieczoru Kylven Kirkhammer, Czempion Ostrzy Wielkiego Kościoła, zwany także jego Młotem, w szale zaatakował i poważnie ranił Nerkerę Bloodlettera – nowo mianowane Ostrze. Mężczyzna walczy o życie w szpitalu warowni Kirkhelm. Mamy informacje, że zdrajca okazał się być demonem, lecz brak jeszcze oficjalnego stanowiska organizacji w tej sprawie. Przewodniczący Kolaius, oraz Delissa Stormbinger, która walczyła z potworem, wysłali rysopis monstrum do międzynarodowych organów ścigania, a także zapewnili o wysokiej nagrodzie dla każdego, kto pomoże pojmać bestię. Na całym świecie burzone są pomniki Kirkhammera. Głowy państw deklarują swoją pomoc przy ściganiu uciekiniera. Łączymy się teraz z naszym korespondentem w...” Kylven starał się znaleźć jakąś muzykę w przeklętym radiu, jednak wszystkie stacje mówiły tylko o nim. „Potwór”, „Zdrajca”, „Czarna owca”, „Od dawna podejrzane dziwadło”. Jeszcze nigdy mężczyzna nie słyszał tyle wymyślnych określeń w stosunku do siebie. Młot zdawał sobie doskonale sprawę, że jego nadludzkie zdolności wywoływały kontrowersje wśród społeczeństwa. Miał jednak głęboko ukrywaną nadzieję, że służba w obronie ludzkości zaowocowała pewną dozą zaufania w stosunku do niego. Mylił się. Cały świat tylko czekał na taką sensację. Być może mieli od dawna przygotowane ładunki wybuchowe, upchnięte w cokołach, na których stały jego podobizny. Przyczajone, wygłodniałe bomby, śniące niespokojne sny o dniu, w którym rozbłyszczą. Doczekały się. Kirkhammerowi natomiast nie miało zaskoczenie jak szybko został oceniony jako zdrajca i potwór. Finał sceny w kaplicy Władców nie polepszył jego image’u, jednak wydarzenia go poprzedzające powinny zmusić świadków do myślenia. Właściwie, jedynym świadkiem całej akcji była Delissa. A wojownik omal nie zabił jej nowego mężczyzny. – *Będziesz się gęsto z tego tłumaczył* – pomyślał Kylven. Nie dopuszczał do siebie myśli, że mógłby nie dać rady się wytłumaczyć. Nie wyobrażał sobie też, aby zmiany, które go dotknęły, były

nieodwracalne. Tkwiąc w kojącej naiwności, wojownik jechał dalej przez ciemną noc, obserwowany jedynie przez oskarżycielskie spojrzenia gwiazd.

Kiedy Kylven zatrzymał się na obrzeżach miasteczka Dumanile, zaczynało już świtać. Pospiesznie opuścił samochód, zostawiając kluczyki w stacyjce i pobiegł przez las, przywołując w pamięci trasę przez ponury Dumbar. Wizja przyjaznej karczmy zdawała się mężczyźnie zbawieniem. Na miejscu czekali jego przyjaciele, którzy mu pomogą. Wystarczyło tylko tam dobiec, a wszystko się ułoży. Przeskakując nad pochylonym ukośnie pnem w karkołomnym salcie, Kirkhammer przelotnie pomyślał co robi teraz Rhaglion. Czy on również uznał go za bezduszne, oszalone monstrum? Czy razem z Delissą wyjawiają Kolaiusowi wszystko, czego dowiedzieli się o nim przez minione lata? Może jednak nie wierzy w te bzdury i próbuje go odnaleźć, ale w celu ochrony przed szalem Kościoła? Nie. Rhaglion Dawnstar na pewno nie uczestniczy w nagonce na Czempiona. W końcu byli najlepszymi przyjaciółmi. Poza tym, Rhag nie miał w zwyczaju wyciągania pochopnych wniosków i pozbawionych analizy ocen. Kylven postanowił, że jak tylko Derix odprawi swoje zbawienne czary– mary, skontaktuje się z Dawnstarem. Tymczasem, pędził dalej. Przeciął szemrzący strumień otoczony woalką miękkich paproci i ujrzał znajomą polanę. Zwolnił kroku. Wojownik nie mógł wejść do budynku od frontu, zwracając na siebie uwagę wszystkich gości. „Pod Wyszczerbionym Brzeszczotem” bowiem, był pełen biesiadników niezależnie od pory dnia i nocy. Pomimo bardzo wczesnej godziny, można było usłyszeć śmiechy i krzątanie z uchylonych okien karczmy. Kylven trzymał się linii gęstwiny, przemykając wśród drzew jak cień. Cień z płataniną jaśniejących run, glifów i znaków na swoim ciele. Gdyby ktoś wyteżył wzrok, prawdopodobnie bez trudu zauważyłby ten ewenement. Kirkhammer pozostał jednak niezauważony i zaszedł przybytek od tyłu. Jaze czekał przed drzwiami. Chodził w kółko, wyraźnie niespokojny i palił papierosa. Koniec jego błękitnego szala wirował za właścicielem przy każdym gwałtownym zakręcie. Młot wyszedł spośród drzew i zbliżył się do wojownika. Wpatrzony w wydeptaną swoimi butami ścieżkę mężczyzna zauważył przyjaciela o wiele później niż można się było tego po nim spodziewać. Na widok



Kylvena, Jaze podskoczył i cofnął się plecami pod ścianę karczmy.

– Spokojnie Jaze – uniósł ramiona w uspokajającym geście Kirkhammer. – To naprawdę ja.

– W-w-wiem – zająknął się blondyn. – Słyszałem w radiu, widziałem w telewizji. Wszędzie o tobie mówią. Aczkolwiek na żywo robisz dużo większe wrażenie, piękny kawalerze – zakończył wypowiedź, odzyskując moc głosu i kąśliwy dowcip.

– Wszyscy są?

– Tak. Też już o wszystkim wiedzą, więc wzięliśmy pokój na zapleczu. Kylven podszedł do przyjaciela i mocno uścisnął jego dłoń.

– Dziękuję ci.

– Podziękujesz później. Chodź.

Mężczyźni weszli tylnymi drzwiami do karczmy, witani zapachem świeżych frytek, smażonej cebuli i pieczonego mięsa. Jaze poprowadził Kylvena przez wąski korytarz pomiędzy kuchnią, a spiżarnią. Dalej, minęli drzwi do głównej sali i toalety, by w końcu dojść do kotary, za którą znajdowały się kolejne drzwi. Prowadziły one do niewielkiego pokoiku, który karczmarz udostępniał stałym klientom, a także przy wyjątkowych okazjach. Najczęstszą taką okazją było libido bardziej wybrednych gości, którzy brzydzili się seksem w kabinach ubikacji. Derix i Nayel czekali na nich, pólżąc na czerwonych kanapach, przystawionych do okrągłego stolika, zastawionego przekąskami i piwem. Dzisiaj nikt nie pił mocnego alkoholu. Ta dwójka również wzdrygnęła się, widząc nową twarz Młota. Derix szybko jednak odzyskał rezon i wskazał miejsce obok siebie.

– Witaj, mój średnio wysmażony przyjacielu! Usiądź koło mnie. Jaze przedstawił mi sytuację, reszty dowiedziałem się z szeroko rozumianych źródeł masowego przekazu. Muszę przyznać, że stałeś się jeszcze bardziej sławny, niż dotychczas.

– Jakoś mnie ten fakt nie cieszy – Kylven chciał się skrzywić, jednak zorientował się, że nie ma przecież ust ani policzków, które mógłby wykrzywić grymas. – Jak się domyślasz, chciałbym wrócić do swojej poprzedniej aparycji. Nie była zbyt piękna, ale wtedy przynajmniej nie chcieli mnie zabić. W każdym razie, nie tak otwarcie. Pomożesz mi?

– Postaram się – Derix zmarszczył brwi, a w jego szalonych oczach pojawiło się na ułamek sekundy zwątpienie. Kylvenowi bardzo się to nie

spodobało. – Postaram się, ale muszę zdiagnozować, co ci dokładnie jest. To może trochę potrwać.

– Mam w sobie demona, zaszczepionego przez Naznaczonego, który zabił moich rodziców – niecierpliwił się Kirkhammer. – Umiesz go wygnać?

– Wygnanie demona to żadna sztuka. Problem w tym, że demonów się nie wszczepia, tylko się w nie zamienia. Z tego co widzę, a także po kryjomu skanuję, ty właśnie taką przemianę przeszedłeś. Tylko nie w pełni.

Kylven zorientował się, że czarodziej faktycznie poruszał płynnie palcami, kierując wąziutkie, błękitne nici w jego stronę.

– Dobrze, Derix, proszę cię. Możesz mi to wszystko wyjaśnić później. Jestem ścigany. Chcę tylko wyglądać tak, żebym mógł stanąć przed Radą Kościoła i złożyć zeznania.

– Jeżeli chodzi o sam wygląd i bardzo ci się spieszy, to mogę zrobić dla ciebie amulet. Iluzja na niskim poziomie przywróci ci dawną powłokę zewnętrzną. Magia wyższego stopnia jest zdolna nawet do oszukania zmysłów innych ludzi, chociażby dotyku. Mógłbyś się o to pokusić, bo w tym momencie głaskanie cię po skórze wydaje się mało atrakcyjne.

– W takim razie, zrób dla mnie taki amulet. Wyjaśnię wszystko, sprawa ucichnie, może dostanę jakiś wyrok od Przewodniczącego, ale przecież mnie potrzebują, więc nie będzie zbyt surowy. Potem znowu zrobisz ze mnie człowieka. Tak?

– Tak, pewnie skończyłoby się to powrotem do zwykłej, człowieczej postaci. Więc z tą tezą, że Kościół cię nadal potrzebuje lub będzie potrzebował po Rytuale Odwrócenia Opętania, wstrzymałbym się.

Kylven zamilkł. Cała sytuacja zaczęła się coraz bardziej komplikować. Chciał coś odpowiedzieć, lecz głos zabrał Nayel.

– Możesz schować swoją spaloną gębę za magicznymi sztuczkami, ale nie ukryjesz się. Jesteś poszukiwany na całym świecie. Policja, wojsko, Kościół, międzynarodowe organy ścigania, agencje wywiadowcze. Nawet każdy cholerny dzielnicowy będzie miał w kieszeni twoje zdjęcie i rozkaz wezwania setki zbrojnych, kiedy tylko zobaczy ćwierć twojej kudłatej głowy za krzakiem. Jesteś opętany i niebezpieczny. Prawie zabiłeś Ostrze i poturbowałeś oddział Rąk. Masz

przejebane. Powinieneś jak najszybciej sam się poddać, a może dadzą ci stek z ziemniakami przed egzekucją.

W pokoju zapadła grobowa cisza. Jaze patrzył z niedowierzaniem to na Kamyka, to na Derixa, to na Kylvena. Derix zatopił wzrok w mętnej zawartości swojego kufła. Kirkhammer siedział bez ruchu, wpatrzony w mężczyznę, w zbroi ze skał.

– Ile? – zapytał.

– Dużo. Chociaż pewnie i tak mniej niż ty dostawałeś za robotę – syknął Nayel.

Kylven nie odpowiedział.

– Swoją drogą, – kontynuował Kamyk – ta Delissa to całkiem sympatyczna kobieta. Być może dostanę od niej jakąś specjalną premię – uśmiechnął się obleśnie mężczyzna. Zadowolenie szybko zniknęło z jego twarzy, ponieważ Kirkhammer błysnął, pojawiając się za jego kanapą. Młot wykorzystał swój pęd, chwycił stalowe płyty zbroi Nayela i ku zdziwieniu wszystkich zebranych, rzucił mężczyznę o ścianę. Kolos przebił ją i wylądował w kuchni, wzbudzając wrzask kobiet, szykujących właśnie hamburgera bez korniszonów. Kylven chwycił Pamelę i przeszedł przez dziurę w murze. Stał okrakiem nad Kamykiem i uniósł ogromny topór nad głowę. Kiedy monstrualne ostrze leciało w dół, nastąpił błysk i twarz Nayela uderzyła żołędź wielkiego fioletowego dilda, które gięło się na wszystkie strony. Autorskie zaklęcie transmutacji Derixa zawsze bawiło Czempiona Ostrzy, ale nie dzisiaj i nie w tej sytuacji. Młot odrzucił obrzydliwy przedmiot i sięgnął po jeden z mieczy, kiedy leżący przed nim sprzedawczyk ścisnął w dłoni niewielki przedmiot. Kylven pomyślał, że wojownik jakimś dziwnym urządzeniem rozpoczął apokalipsę, ponieważ dach nad ich głowami eksplodował. Kirkhammer spojrzał w górę i natychmiast błysnął pomiędzy dwójkę zdziwionych przyjaciół, wychylających się z dziury w ścianie. Delissa Stormbringer zaklęła, kiedy płyty słynnej zbroi Nayela wycisnęły strzępy jego ciała ze swojego wnętrza, przy akompaniamencie chrzęstu, mlasków i bulgotu. – *Tak się kończy przystawianie do Deli* – pomyślał Kirkhammer, patrząc na makabryczne przedstawienie, po czym rzucił się do ucieczki, ciągnąc za sobą Jaze'a i Derixa. Mag i wojownik byli gotowi do walki, jednak Kylven nie chciał zniszczenia karczmy i narażania niewinnych. Nie chciał

też sprawdzić ile Rąk zdołają wspólnie zabić, zanim zostaną zabici. Najbardziej jednak, nie chciał dalej psuć swojego wizerunku przed Delissą, mordując żołnierzy Kościoła, choćby w obronie swojej lub swoich przyjaciół. Trzy postaci biegły przez korytarz i wypadły tylnymi drzwiami na polanę. Popędzili w stronę lasu.

– Derix, zabierz nas stąd! – krzyknął Kylven.

– Niby, kurwa, dokąd? I jak to, kurwa? Jak tchórz, przed tymi frajerami?! – darł się czarodziej.

– Jak najdalej stąd! I to już! – zagrział Kirkhammer i odwrócił wzrok. Za nimi, nad karczmą, lewitowała Delissa, otoczona swoim oddziałem Rąk, wykrzykując komendy i skandując zaklęcia. Cały budynek był otaczany przez pieśze jednostki, które teraz biegły za uciekinierami. Wkrótce, trawa na polanie, opadłe liście i gruby mech, latały dookoła gnających przyjaciół, rozrywane przez fale energetyczne. Pioruny grzmiały wściekle, kule ognia wybuchały bez ustanku, tu i ówdzie powietrze przecinały półmetrowe sopele. Jaze i Kylven odbijali niektóre zaklęcia, przy pomocy swoich runicznych ostrzy, jednak wkrótce jasnym stało się, że jest to bezowocne. W końcu Derix stanął jak wryty i odwrócił się w stronę pogoni. Jego oczy płonęły zielonym ogniem, usta wykrzywiała złość. Czarodziej uniósł obie dłonie i zakręcił nimi w niezwykle skomplikowanym geście, krzycząc jednocześnie formułę. Z palców maga wyfrunął przeogromny, ciemnozielony smok, otoczony szmaragdowymi płomieniami i z zatrważającym rykiem ruszył na agresorów. Kirkhammer stał oniemiały, ponieważ Derix nigdy wcześniej nie pokazał swoich umiejętności w tak efektowny sposób. Nie wiedział jaki los spotkał smoka ani wysłanników Kościoła, gdyż silne ramię Jaze'a wciągnęło go w portal, który otworzył szalony czarodziej.

## *Rozdział 11*

Portal wyrzucił Kylvena na pokrytą ściółką ziemię, przez co mężczyzna przez chwilę myślał, że zaklęcie źle zadziałało. Po chwili zorientował się jednak, że w pobliżu nie ma karczmy, batalionu

wściekłych magów ani jego przyjaciół. Ona sam zaś, znajduje się na skraju zupełnie innego lasu. Timlin. Kirkhamer przypomniał sobie, że z jakiegoś powodu pomyślał o tym miejscu, wchodząc do dziury międzywymiarowej. Czyżby Derix skalibrował tunel tak, że każdy podróżnik wylądował gdzie indziej? Było to sprytne zagranie. Sam magiczny smok powinien opóźnić pogoń na tyle, aby rezonans zaklęcia wygasł, a miejsca docelowe stały się niemożliwe do zidentyfikowania. Ostrożność była jednak wskazana i rozproszenie sprzyjało zgubieniu pościgu. Poza tym, Kylven nie chciał dalej narażać Jaze'a i Derixa. Kościół w swoich poczynaniach był bezwzględny i śmierć jednego maga, i jednego zabójcy potworów, robiących im konkurencję i utrudniających pojmanie zdrajcy, nie byłaby zmartwieniem zwierzchników. Z drugiej strony, może szalony czarodziej specjalnie odizolował ściganego. Nawet jeżeli tak się stało, Kylven nie miał mu tego za złe. Żywił nadzieję, że towarzysze ukryją się i pozostaną bezpieczni. Wojownik poczuł chwilową ulgę. Usiadł na ziemi i wyjął z kieszeni bluzy paczkę papierosów, którą ukradł Jaze'owi, kiedy ten prowadził go przez korytarze karczmy. Zrobił to bardziej z przyzwyczajenia niż potrzeby. Podbieranie fajek kompanowi stanowiło w tym towarzystwie niemal tradycję. Kirkhamer wyjął źródło błęgiego dymu i włożył do ust. To znaczy chciał włożyć, zapominając znowu, że warg od jakiegoś już czasu nie posiada. Przytrzymał więc filtr w zębach i sięgnął po zapalniczkę. Zawahał się i wziął papierosa do ręki, po czym zionął na jego koniec ogniem z własnej paszczy. O dziwo trafił i po chwili poczuł zapach tytoniu oraz jagód. Jaze miał całkiem dobry gust w kwestii używek. Mężczyzna zacisnął zęby na ustniku i spróbował się zaciągnąć. Przekonał się, że palenie bez warg i policzków jest niemożliwe. Ten banalny gest, niezdolność do zapalenia papierosa, która mogła zaważyć o przyszłości jego płuc, przyprawiła go o uświadomienie sobie swojego położenia. Był sam. Okrzyknięty zdrajcą i poszukiwany. Pomoc ze strony przyjaciół była niemożliwa, bez narażenia ich życia. Nie miał nawet telefonu, żeby zadzwonić do Rhagliona. Nie wiedział nawet czy powinien to zrobić. Jego wygląd przyprawiał o trwogę. Nowe umiejętności przerażały. Jego piękny dom prawdopodobnie został już splądrowany, a na miejscu ustawiono patrole. Nie miał dokąd pójść. Nie miał pojęcia co zrobić. Kylven ukrył

twarz w szorstkich, czarnych dłoniach i bardzo długo trwał w tej pozycji. W końcu wstał, starając się przypomnieć sobie, dlaczego przy wejściu do portalu pomyślał właśnie o lesie Timlin. Dlatego, że nie będą go tu szukać? Głupie przypuszczenie. Szukali go wszędzie. I nagle, myśl powróciła jak enigmatyczny bumerang. Chciał pomścić Verillona. Nieważne, co będzie potem. Zostanie złapany i stracony. Może na to właśnie zasługiwał. Demon czający się gdzieś w jego skażonym sercu mógł wyrwać się spod jego kontroli na dobre, a wtedy ucierpieliby niewinni. Sam odda się w ręce Kościoła. Najpierw, zabije jednak Lavecila. Do tego nadawał się w tej chwili idealnie. I zrobi chociaż jedną dobrą rzecz przed śmiercią. – *Może trzecia będzie tą ostatnią* – pomyślał Kylven, uśmiechnął się w duchu i ruszył w głąb puszczy, której drzewa powykrzywianymi konarami sięgały w kierunku mężczyzny, niczym wygłodniałe ramiona.

Po zagłębieniu się w gąszcz drzew, Kirkhammer zorientował się, że nie ma pojęcia dokąd idzie. Dobrze pamiętał miejsce, w którym walczył z leśnym potworem, ale gdzie znajdował się teraz? Wojownik postanowił użyć swojej nadludzkiej percepcji. Potężna aura towarzysząca Lavecilowi powinna być wyczuwalna w promieniu wielu kilometrów. Stał i zamknął oczy. Co prawda nie miał powiek, lecz krwistoczerwona mgła, wirująca w jego nowych narządach wzroku po prostu zniknęła, pogrążając otoczenie w ciemnościach. Mężczyzna wyciszył zmysły i omal nie upadł z wrażenia. Cały las wypełniły ciemnofioletowe kłacza i liany, które wiły się pomiędzy drzewami i zagłębiały w listowie, falując lekko, niczym macki ogromnej ośmiornicy. Kylven słyszał pieśni, charakterystyczne dla widma umysłów leśnych potworów. Centaury, nimfy i driady. Satyrowie, kudłate nadrzewne karzelki. Nic nadzwyczajnego. W głębi puszczy, czaiły się jednak istoty, których umysły przepęłniała nienawiść. Gorycz sączyła się z nich, wylewając na wrzosowiska i topiąc krzaczki bzu w czarnej smole negatywnej energii. Gdzieś pomiędzy tymi bagnami wściekłości, czaiła się odraza. Młot czuł lekkie jej muśnięcia w swoim mózgu, ale był pewien, że i ona tam jest. Głęboko zakorzeniona, śmierdząca wyziewami obrzydzenia wobec świata. Wojownik podszedł do jednej z macek, która wyciągała się przed nim, gruba i najeżona sączącymi lepłą wydzieliną kolcami. Dotknął jej, a w jego umysł wdarła się obca

obecność. Sprawiało to wrażenie, jakby ktoś założył zamszowe rękawiczki i grzebał w jego wnętrznościach. Cudza jaźń rozpoznała Kylvena. Właściwie nie jego samego, lecz mroczną część jego jestestwa. Nagle, macka oplotła się wokół nadgarstka Kylvena i pociągnęła za sobą. Mężczyzna zdematerializował się i jako chmura gorącego popiołu, leciał przez jakiś czas. Sam nie był zdolny do błysków na odległość dalszą, niż zasięg wzroku. Najwyraźniej leśny potwór miał jakiś związek z demonami i ich magią. Czempion Ostrzy pojawił się nagle pośrodku zacienionej polany, na której różnokolorowe wrzosa układały się w fantastyczne wzory. Podniósł wzrok i ujrzał pomieszczenie przypominające główną nawę katedry. Drzewa rosły w równych rzędach, po obu stronach, a ich korony spletały się ze sobą, tworząc zielony dach. Gałęzie Sąsiednich roślin również łączyły się i rozdzielały, kształtując ażurowe okna. U szczytu tej przedziwnej alei, stał tron. Właściwie, był to kolosalny pień dębu, który zaginał się u dołu, tworząc siedzisko i obrastał dookoła niego, a następnie strzelał w górę, jako centralna kolumna niesamowitej budowli. We wnęce pnia siedział Lavecil. Na widok Kylvena, jego puste oczodoły zapłonęły jasno i złowroźnie. Wstał, ukazując pamiątki po ich ostatnim starciu. Lewa dłoń i prawa noga ustępowały nieznacznie rozmiarom swoim odpowiednikom. Wyglądały też jak młode gałęzie, giętkie i nie do końca zdrewniałe. Oprócz tych szczegółów, bestia pozostała równie paskudna.

– To ty! – krzyknął Lavecil – Widzę, że twój demon się obudził i nie spodobało mu się dotychczasowe więzienie. Muszę przyznać, że wyglądasz lepiej. Jesteś dość ładny. Jak na coś, co powstało z człowieka.

Kirkhammer nie miał ochoty na pogawędkę z bestią. Był w jego domu, w każdej chwili mogła zostać uruchomiona jakaś wymyślna pułapka dla nieproszonych gości. Kylven chciał zaskoczyć wroga i błysnąć przed sam tron, jednak Lavecil go ubiegł. Potwór od niechcienia machnął sękatą łapą i przed wojownikiem wyrosła przerażająca roślina. Gruba, niczym złączone uda zapaśnika, łodyga była pokryta zakrzywionymi kolcami, przypominającymi różane. Wrastała ona w odbyty zmasakrowanego i nieco już rozłożonego ciała. Członki zwłok dyndały bezwładnie, a klatka piersiowa rozstała rozerwana na dwie równe

połowy. Połamane żebra tworzyły rodzaj szczęk, podobnych do tych u rosiczki. Przerośnięte przez powyginane kłacza, kłapały na Czempiona Ostrzy jak żarłoczny pies. Głowa nieboszczyka została wyrwana i wisiała teraz na długim pędzie, niczym na groteskowej szyi. Z ust i oczodołów wyrastały trzy długie ciernie, na kształt ostrych pazurów. W tym żalonym, wykrzywionym w przedśmiertnym bólu obliczu, Kylven bez trudu rozpoznał rysy Verillona Blackbirda.

– Jest piękny, czyż nie? – krzyknął leśny stwór. – Twój towarzysz wrócił do ziemi, która go wydała i połączył się z naturą, tworząc cudowną hybrydę. Z ciebie również zrobię wspaniałą sadzonkę.

Kylven nie słuchał. Widok kołyszącego się przed nim monstrum, które powstało ze zbezczeszczonego ciała jego towarzysza sprawił, że w mężczyźnie zawrzało. Powietrze dookoła niego zaczęło drgać od żaru. Ku własnemu zdziwieniu, usłyszał warkot dobiegający ze swojej krtani, przeradzający się w potępieńczy okrzyk bojowy. Wyrwał Łaskę z pochwy. Verillon zasługiwał właśnie na nią. Uniósł miecz i zaczął zbliżać się do potwornej rośliny. Przebita kolcami twarz zatoczyła w powietrzu okrąg i spadła na niego w poziomym ciosie o ogromnym zasięgu. Kirkhammer przeskoczył nad nią i zrobił dwa kroki w bok, unikając uderzenia z góry. Stwór był szybki. Po każdym uniku, wojownik posuwał się jednak odrobinę w kierunku łodygi. Po wspaniałym salcie i korkociągu w powietrzu, przy którym drasnął potwora, był już dwa metry od niej. Wtedy żebra paszczy zatrzasnęły się z głośnym trzaskiem i rozwarły szeroko, ukazując zapadnięte płuca i wiszące na resztkach naczyń serce. Kylven zanurkował pod lecącą na niego zębata pułapką i zawirował w piruecie, przylegając do łodygi. Wtedy kolce z głowy Blackbirda poleciały w jego stronę, zaciskając jednocześnie pętle swojego ciała wokół wojownika. Kirkhammer był czujny. Przycisnął ostrze do węzowatego pnia i naparł na nie. Uciekł dołem ze zmniejszającego się okręgu, a następnie zamasyście wyrwał klingę, zostawiając ziejącą, półksiężycowatą ranę na cielsku potwora. Na szczęście stworzenie nie mogło krzyczeć. Kylven wykorzystał chwilę, w której monstrum miotało się w bólu i skoczył na jego paszczę. Złapał nową szyję Verillona, stopami zaparł się o żebra i wbił Łaskę pomiędzy nie głęboko, aż po jelec. Potem zamasyście wydobył ostrze i odbił się nogami, puszczając z opóźnieniem węzowatą łodygę.



Uzyskany pęd przełożył na szerokie cięcie z obrotu, którym przeciął pień rośliny. Potwór upadł. Wierzgał jeszcze przez moment, brocząc brudnoczerwonymi sokami i przestał się ruszać. Kirkhammer skierował się teraz w stronę Lavecila, ten jednak zniknął. Pędziła za to na niego znajoma chmara rozpędzonych liści, gotowych pociąć go na kawałki. Kylven błysnął. Zbyt późno. Jak się przekonał, w formie chmury piroklastycznej, nie był nietykalny. Może ataki magiczne stanowiły wtedy jedyne zmartwienie, jednak wolał tego nie sprawdzać. Obaj upadli, w niewielkiej odległości od siebie, równie zdziwieni. Młot zauważył jednak, że gorące gazy i pył, z którymi startł się Lavecil, przypaliły korę na jego torsie, więc pewnie już nie będzie próbował latać. Wojownik nie tracił czasu. Zamienił miecz na Furię i natarł. Potwór miał wyraźnie mniej sił w odtworzonych kończynach. Utykał, atakował głównie prawą łapą. Ogień w jego oczodołach przygasł i przybrał niebieską barwę. Ciosy Kylvena odłupywały kolejne drzazgi z jego ciała. Wkrótce pokryły ziemię, niczym drewniany śnieg. Potwór jednak znów zmienił się w trąbę wirujących liści i zwiększył dystans, po czym z rozdzierającym rykiem wbił obie łapy w glebę. Cały leśny pałac zatrzęsł się. Po chwili wrzosowisko zakwitło zaostrzonymi łodygami, które strzelały z gleby, jedna przy drugiej. Kirkhammer wirował, skakał i turlał się bez wytchnienia, jednak kolce wyrastały bez ustanku, jak włócznie rzucane przez nieumarły legion z podziemi. Kylven cofnął się aż pod samo wejście do pałacu, kiedy atak ustał. Pomiędzy cierniami, które sięgały aż po sam sufit, dostrzegł Lavecila, który zgarbiony i słaniający się na nogach, kieruje się do bocznej nawy. Młot błysnął. Leciał pomiędzy łodygami. Czarny obłok parł naprzód, meandrując wśród drewna, paląc je na popiół. W końcu wydostał się z gęstwiny i zmaterializował, po czym skoczył wysoko. Naprawdę wysoko. Krzyknął przy tym równie głośno, układając klingę wzdłuż piersi, gotując się do sztychu. Leśny książę nawet nie próbował uciekać. Odwrócił się i rozłożył ręce w oczekiwaniu na uderzenie. Kylven spadł na wroga niczym pocisk, przybijając do ziemi. Potwór złapał go za ramię i przyciągnął do siebie.

– Nie wiem jak ci się to udało. Żaden człowiek ani demon nie może nas zabić. Ty też nie, odrażający odmieńcze. Wróć. Wszyscy zawsze wracamy. To nieuniknione. Teraz, gdy zabiłeś Strażnika, nikt i nic nas

nie powstrzyma.

– O czym ty mówisz? Jacy wy? Są inne leśne pałace? Kim jest Strażnik?

Laveil zaśmiał się szorstko i zakaszał:

– Wy naprawdę nic nie wiecie o ziemi, którą nazywacie swoją. Wasze dni mają się ku końcowi. Nadchodzi nasz czas. Znowu. Tak, jak dawniej. Tak, jak powinno być.

Kirkhammer dobił potwora sztychem w gardło. Za nim cały leśny pałac płonął. Ogień wspinał się już ku koronom drzew. Piękno splecionych gałęzi niknęło w jęzorach ognia. Wtem, ciało Lavecila rozpadło się na gałęzie, z których składało się jego ciało. Z jeleniej czaszki, uleciała niewielka zielona sfera. Zatoczyła koło, wzleciała pod więdnący sufit swojego domu i zakręciła się smutno. Następnie, wystrzeliła w górę, ku niebu i zniknęła tak niespodziewanie, jak się pojawiła. Towarzyszył temu huk, podobny do tego, który wydaje rozdzierane przez naddźwiękowy samolot powietrze. Kylven obserwował przez chwilę niesamowitą scenę, po czym błysnął i wyleciał z walącego się pomieszczenia.

Na zewnątrz Kirkhammer kierował się na zachód, do miasta Timlin. Próbował ułożyć jakiś plan działania, kiedy nieopodal za nim, rzeczywistość rozdarła się, a z powstałej dziury w lesie wyszła kobieta. Granatowe, jeździeckie spodnie współgrały z wysokimi oficerkami, opinając mocne, smukłe nogi. Długie rękawiczki z koronkami, sięgały jej łokci. Równie gustowny żakiet ledwie dopinał się pod biustem, który udekorowany był pięknym szafirem.

– Jemiba? – usłyszał własny głos Kylven.

Kobieta zwróciła na niego wzrok, który natychmiast wypełniło przerażenie, a w dłoniach zaczęły wirować mroźne wichry, gotowe ciskać metrowymi soplami. Pociski jednak nie poleciały.

– Kim jesteś? Skąd znasz moje imię?

– Jemi, Maleństwo, to ja, Kylven! Czy ty telewizji nie oglądasz?! Radia nie słuchasz?! – prawie krzyczał wojownik.

Piękność z lodem w oczach, spojrzała na rękojeści, sterczące nad jego prawym barkiem. Wtedy jej wzrok się ocieplił i wypełnił żalem. Pobiegła w kierunku Kirkhammera i objęła go mocno. Odwzajemnił uścisk. Chyba nigdy w życiu nikogo nie tulił tak mocno. Nigdy wcześniej

nie potrzebował tego tak bardzo.

– Co ty tu robisz, Jemi? – zapytał, kiedy przyjaciółka przestała miażdżyć mu żebra.

– Poczułam zaburzenia aury. Potężne zakłócenia energetyczne. Tropiłam to stworzenie, szukałam go. Nie wiedziałam, że to właśnie to coś.

– Tropiłaś? O czym ty mówisz? I właściwie, od kiedy potrafisz czarować? – Kylven uświadomił sobie, że Jemiba nie wspominała, by była wrażliwa na magię.

– Wszystko ci opowiem, ale najpierw się stąd wyniesiemy. Jesteś teraz mi bardzo potrzebny i nie oddam cię tym tam, z Kościoła – chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. – Nie tylko ja poczułam falę rezonansu magicznego po twoim popisie. Niedługo twoja czarodziejka tu będzie. Znikamy.

– Dokąd? – Kirkhammer wyrwał się z uścisku. – Jemi, szukają mnie. Nie mogę cię narażać. Delissa prędzej czy później wpadnie na mój trop. Może wykorzysta Rhagliona. Kościół jest bezwzględny. Zniszczą ci dom, a to najmniejsza z możliwych szkód. Nie mogę cię narażać.

Przyjaciółka zdjęła rękawiczkę i dotknęła dłonią policzka mężczyzny. Kylven wzdrygnął się pod jej delikatną skórą, zdając sobie sprawę, że ona czuje pod palcami jedynie węgiel z jego mięśni i kości.

– Nie jesteś już tak przystojny... – powiedziała zadziornie. – Ale niezmiennie kochany – Jemiba wypowiedziała zakłęcie i gestem otworzyła portal. – Wiele jeszcze o mnie nie wiedziałeś, jak widać, ja o tobie też. Teraz, koniec tajemnic – zakończyła i weszła w bramę.

Kirkhammer w ciągu ostatnich dni doświadczył tylu wariactw, że ruszył przed siebie, chwilowo przyjmując fakty takimi, jakimi były. Cieszył się bardzo, że niespodziewanym sprzymierzeńcem okazała się właśnie ona. Gdyby wierzył w bóstwa, dziękowałby im teraz na kolanach, otoczony świeczkami i dymem kadzideł.

## *Rozdział 12*

Druga strona portalu przywitała Kylvena skrzypieniem wilgotnych desek, tworzących kładkę na palach. Pomost wgrzyzał się kilka metrów w głąb jeziora, którego tafla skrzyła się w promieniach słońca. Na jego końcu widniała wąska plaża, a za nią rzadki las liściasty, pełen klonów i platanów. Po drugiej stronie stała barka o wysokim dziobie i zaokrąglonej, wzniesionej na kształt płytkiego namiotu rufie. Właściwie, była to raczej nietypowa gondola. Na jej przodzie, stała Jemiba zachęcając przyjaciela gestem do wejścia. Z tyłu natomiast, miejsce zajmowała wysoka postać w czarnym płaszczu, okrywającym ją od stóp do głowy. Spod ciemnego materiału wystawały jedynie kościste dłonie, trzymające tyczkę lub pojedyncze wiosło. Tajemniczy gondolier nie ruszał się, jakby był jedynie posągiem. Może tak zresztą było? Kirkhammer wszedł do łodzi i usiadł koło przyjaciółki na obitej niebieskim aksamitem ławie. Kobieta uśmiechnęła się, po czym wyjęła z torebeczki przy pasku srebrną monetę i wcisnęła między palce posągu. Ten natychmiast się poruszył. Chciwie złapał pieniążek i schował w przepastnych połach swojego odzienia. Towarzyszył temu brzęk, jakby wrzucił monetę do skarbca pełnego kosztowności. Gondolier poruszył swoim wiosłem i łódka ruszyła z miejsca. Sunęła po wodzie bez żadnego kołysania, jakby unosiła się nad nią. Teraz dopiero Młot zobaczył przed sobą samotną skałę na środku jeziora. Była ona rozmiarów niewielkiej góry. Strome zbocza były zupełnie nagie, pozbawione jakiegokolwiek zieleni. Lite bloki kamienia wyrastały z płaskiego jeziora tak gwałtownie, że przyprawiały o pewien niepokój. Słońce raziło Kylvena w oczy, więc nie widział dokładnie tego, co znajdowało się na wzgórzu. Przesłonił oczy dłonią i zobaczył to.

– Jemi... – zaczął niepewnie – Chcesz mi powiedzieć, że przez cały ten czas byłaś posiadaczką magicznego zamku na skale, pośrodku zaczarowanego jeziora? Widzę, że wcale cię nie znałem.

Kobieta spojrzała na rozmówcę pochmurnym wzrokiem.

– Zgadza się, miałam swoje tajemnice. Wszystko ci opowiem przy kolacji. Jeżeli chodzi o naszą znajomość, to faktycznie mogłam ci o niektórych rzeczach nie mówić, jednak nigdy cię nie okłamałam. Zrozumiesz.

Kirkhammer poczuł się zakłopotany. Nie chciał urazić Jemiby. Zaoferowała mu w końcu pomoc. Nawet nie zaoferowała, lecz wcisnęła

mu ją siłą. I bardzo dobrze, bo inaczej jak zwykle starałby się zapanować nad sytuacją, licząc jedynie na siebie. Na pewno by sobie nie poradził. Siedział więc wygodnie na miękkim siedzisku, ciesząc się chwilą spokoju. Podziwiał widoki. Jego towarzyszka wybrała naprawdę wspaniałe miejsce na swoje... tajne laboratorium? Samotnie? Domek letniskowy? Postanowił nie zadawać niepotrzebnych pytań. Wkrótce sam się przekona. Po prawie godzinie podróży, gondola dobiła do pomostu u stóp wzgórza. Postać z wiosłem zamarła, a Kylvén i Jemiba wysiedli z łodzi. Mężczyzna spojrzał teraz w górę. Około siedemdziesięciu metrów wyżej, majaczyła budowla w jaskrawych kolorach. Droga do niej była wystarczająco szeroka dla samochodu i oplatała samotną skałę niczym tłusty wąż. Ścieżka po bokach obsadzona była brzoźami, których korony spletały się nad głowami przechodniów. Istnie sielankowe obrazy. Kirkhammer nie miał nic przeciwko nim. Uśmiechnął się do przewodniczki i razem ruszyli przed siebie. Wojownik próbował pytać przyjaciółkę o wiele rzeczy związanych z tym miejscem, lecz wszystkie odpowiedzi miał otrzymać przy kolacji. Zamilkł więc i obserwował. Tu i owdzie, przy drodze, były ustawione duże donice na smukłych nogach z kwiatami. Kylvén dostrzegł też dwie wykute w skale groty, w których ustawiono kamienne ławy. Im wyżej się wpinali, tym wspanialszy był widok dookoła. Błyszczące jezioro rozciągało się daleko w każdym kierunku i w każdym z nich, kończyło ścianą lasu. Jak okiem sięgnąć, nie było widać innych śladów cywilizacji. Kiedy Kirkhammer zwrócił ponownie wzrok przed siebie, oniemiał na chwilę. Rozciągała się nad nim ogromna brama, której szczyt zajmował rozległy taras. Drzwi bramy stanowiły jednocześnie zwodzony most nad płytką fosą, najeżoną pokrytymi rdzą kolcami. Po drugiej jego stronie, ciągnął się tunel, który zakręcał z powrotem i kończył schodami wiodącymi na niewielki dziedziniec. Po lewej, znajdował się wspomniany wcześniej taras. Na wprost, stał budynek kuchni, połączony z właściwym pałacem. Wyglądał on niesamowicie. Elewacja pokryta bogatymi zdobieniami z terakoty, ażurowymi kwiatkami i sztukaterią. Ściany miały na zmianę barwę żółtą i czerwoną. Jedna z nich, po prawej stronie, krwawiła wiatrem przez okrągłą ranę łuku, zwieńczonego postacią wyszczerzonego trytona. Głowa Młota kręciła się, oczy przeskakiwały

od detalu do detalu, a żuchwa opadła w zachwycie. Przeszedł pod potworem z cementu. Po drugiej stronie, powitał go mniejszy tarasik, otoczony arkadami balustrad. Z lewej, wznosiła się pokryta błękitnymi kafelkami pękata wieża, która wieńczyła tę odnogę budowli. Po prawej natomiast, niskie schody prowadziły do małej kaplicy. Kylven zdążył jedynie zajrzeć do niej z daleka i dostrzegł wspaniały, wykonany z onyksu ołtarz, ku czci jakiegoś nieznanego mu bóstwa. Jemiba pociągnęła go z powrotem na dziedziniec i w lewo, obok schodów do tunelu. Tam taras przytulał się wąsko do długiej, czerwonej ściany, która otwierała się dużymi, szklanymi drzwiami. Mężczyzna nie miał okazji zobaczyć co jest za nimi, bo przyjaciółka znowu poprowadziła go za sobą. Prawdopodobnie chciała namieszać mu w głowie, ponieważ wrócili na mniejszy tarasik, zostawili za sobą drzwi do kaplicy i przeszli małymi, bielonymi drzwiami. Wyszli w ten sposób na wewnętrzny dziedziniec. Na jego środku, stała ogromna waza z samotną palmą, której liście sięgały ponad dachy krużganków otaczających placyk. Dachówki i rynny odprowadzały wodę przez kamienne głowy gargulców, wprost do donicy na środku. Kobieta ciągnęła Kirkhammera za sobą, nie zatrzymując się przy żadnym z pokoi na parterze. Było ich osiem. Skręciła natomiast w drobne, zielone drzwi i weszła na piętro po kręconych schodach. Kylven zorientował się, że schody prowadziły wyżej, do wieży zegarowej, stojącej naprzeciwko błękitnej wieży. Jemiba parła dalej, mijając ubogie pomieszczenia, wypełnione jedynie prostymi meblami. Na końcu wyższego krużganka, były kolejne drzwi. Wiodły one do pomieszczeń mieszkalnych, połączonych ze sobą i tworzących rodzaj łańcucha. Kirkhammer wywnioskował, że ów ciąg pokoi rozciągał się od czerwonego kwadratu dookoła wewnętrznego dziedzińca, nad bramą trytona i aż do pękatej wieży. Mimo wszystkich wspaniałości architektonicznych, które zobaczył do tej pory, prawdziwe cuda pałacu były właśnie w tych komnatach. Przeszli przez pierwszy pokój. Była to jadalnia. Za stołem dla dwunastu osób, pokrytym srebrną zastawą, otwierało się okrągłe okno z szerokim parapetem. Po obu jego stronach, stały kredensy i szklane galeryjki wypełnione trunkami, kryształowymi kieliszkami i porcelanowymi talerzami. Same meble także robiły wrażenie. Wiśniowe drewno, rzeźbione w roślinne motywy, prezentowało się wyjątkowo pięknie w jasnym świetle

późnego popołudnia. Kolejne pomieszczenie, stanowiło mały gabinet. Panował w nim kolor zielony. Szmaragdowe tapety ze złotymi symbolami, komponowały się z orzechowym drewnem biurka i niezwykłą szafką. Przypominała ona sejf, z dziesiątkami otworów na kluczyki. Poszczególne szufladki, pokryte obrazami walczących postaci zbrojnych i różnych potworów, układały się w całą historię. Całość była misterna i kusila skrywanymi tajemnicami. Następny był pokój gościnny. Miał dodatkowe drzwi, po lewej stronie, które prowadziły do przejścia schowanego w ścianie bramy trytona. Znajdował się tu okrągły stoliczek do kawy z dwoma filigranowymi filiżankami na spodeczkach w kształcie kwiatów. Spodki były tak dopieszczone, że można je było uznać za prawdziwe róże. Dwa krzesła, naprzeciwko zasuwany sekretarzyk z ozdobną papeterią. Za drzwiami tego przytulnego miejsca, znajdowała się sypialnia. Dwuosobowe łóżko z baldachimem okryte szkarłatną pościelą z frędzlami, przyprawiło Kylvena o chęć utonięcia w nim.

– Rozgość się, to twój pokój – powiedziała Jemiba, patrząc z satysfakcją na zdziwienie mężczyzny. – W szafie nie ma męskich ubrań, ale coś ci zorganizuję. Teraz ubierz chociaż szlafrok. I wyrzuć te łachmany.

Kirkhammer ze wstydem spojrzał na swoje brudne, niepasujące ubrania. Chciał coś powiedzieć, ale przyjaciółka go uprzedziła.

– Łazienka jest przy wewnętrznym dziedzińcu, pierwszy pokój po prawej.

– Jemi... Nie wiem jak ci dziękować – wykrztusił Kylven z niekrytą wdzięcznością.

– Ja wiem – odpowiedziała tajemniczo kobieta. – Odpocznij, wykąp się i przebierz. Za godzinę spotkamy się w jadalni.

– To ten pokój, przez który przechodziliśmy, tak? – upewnił się Młot.

– Nie, głuptasie – zaśmiała się Jemiba. – Główna jadalnia jest za tymi drzwiami – powiedziała, wskazując za swoje plecy. – Idę do siebie. Mój pokój jest tuż za nią, gdybyś mnie potrzebował.

– Jasne, dziękuję.

– No, już! Nie roztkliwiaj się. Mamy dużo do omówienia – zakończyła, wychodząc z pomieszczenia.

Kylven usiadł na łóżku, by zebrać myśli. Te jednak galopowały w

szaleńczym pędzie, nie dając się okiełznać. Pozwolił im pędzić. Wyjął pasujący na niego szlafrok z pachnącej kamforą szafy i udał się do łazienki.

Wracając z gorącej kąpieli, Kirkhammer dostrzegał nowe szczegóły pałacu Jemiby. Sufit w każdym pokoju był dziełem sztuki. Pokryty drewnianymi rzeźbami, ozdobną sztukaterią, płaskorzeźbami lub wymalowany freskami, każdy z nich mógł przykuć uwagę na długie godziny. Mężczyzna wycierał włosy ręcznikiem, zastanawiając się ilu gości stało wgapionych w górę z rozdziawionymi gębami, ku uciesze gospodarzy. Kylven na chwilę wrócił myślami do wykładanej czarnym granitem łazienki z okrągłą wanną, w której z powodzeniem zmieściłaby się żeńska reprezentacja piłki nożnej. Krwistoczerwone wykończenia wokół ogromnego lustra, schody do wanny w tym samym kolorze. Cały ten budynek stanowił kompletne pomieszanie z poplątaniem, miszmasz stylów i pokręcenie konwencji. Czempion Ostrzy nigdzie nie czuł się równie swojsko. Ściany zdawały się uspokajać go, szeptać, że już wszystko jest dobrze. Enigmatyczna aura tego miejsca, karmiąca jego zmęczony umysł kłamstwami była bardzo przyjemna, lecz Kirkhammer nie pozwalał sobie na zbytne jej wpływy. Nałożył szlafrok i miękkie kapcie – jedyne rzeczy, które na niego pasowały i ruszył do jadalni. Po przekroczeniu drzwi na końcu swojej nowej sypialni, trafił jednak do sali bankietowej. Pałac z zewnątrz nie przytłaczał swoimi rozmiarami, jednak krył więcej przestrzeni, niż mogłoby się wydawać. Pomieszczenie miało dwadzieścia metrów długości i dziesięć szerokości. Wysokie aż po sufit okna były bliźniaczo umieszczone po przeciwległych stronach. Obok każdego z nich stała niewielka palma w donicy, głaszcząc swoimi liśćmi złoczone posągi wojowników naturalnej wielkości. Wojacy trzymali w rękach długie włócznie, na których końcach zawieszono były lampy. Klosze zamieszkiwały teraz żarówki, świecące ciepłym blaskiem. Centrum sali zajmował naturalnie prostokątny stół, przy którym ucztować mogło pół setki tęgich ludzi. Nad nim, wisiał wspaniały, kryształowy żyrandol na złotym łańcuchu. Przyćmiewał on nawet te, wiszące w rodowym domu Jemiby. Tego wieczoru, zastawa była przygotowana jedynie dla dwóch osób. Jemiba siedziała u szczytu intarsjowanego stołu, czekając na przyjaciela. Kylven zajął miejsce po jej prawej stronie, na krześle, którego oparcie



wyobrażało wyciągnięte ku górze skrzydła.

– Nareszcie jesteś! Umieram z głodu – powiedziała kobieta, napełniając kieliszki czerwonym winem. – Częstuj się. Źle się rozmawia z pustym żołądkiem.

Mężczyzna popatrzył na srebrne misy wypełnione wołowym gulaszem, półmiski z pieczonym łososiem, sałatki, pieczone ziemniaki i różne kasze. Przyjaciółka z ochotą nałożyła sobie pełen talerz specjałów, kiedy spostrzegła, że współbiedniak wpatruje się tępo w jedzenie.

– Och! Wybacz... Zupełnie o tym nie pomyślałam. Trudno jest jeść bez policzków... Nie martw się, posprzątam po wszystkim – Jemiba mówiła jak nakręcona, próbując wybrnąć z faux pas.

– Nie ma sprawy, też dopiero zdałem sobie z tego sprawę – przyznał smutno Kylven. – Właściwie, to wcale nie jestem głodny. Nie wydaje mi się, żeby demony w ogóle jadły – dodał.

Czarnowłosa gospodyni nachmurzyła się:

– Daj spokój. Z demonami masz wspólny jedynie wygląd. To nic nie znaczy. Spróbuj coś przekąsić – zachęciła, po czym nałożyła mu parującego gulaszu i kaszy bulgur.

Wojownik złapał za łyżkę i wpakował jej zawartość prosto do gardła, chcąc oszczędzić blat stołu przed zbeczeszczeniem. Przełknął jedzenie, które spłonęło gdzieś w czeluściach jego tajemniczego ciała, zamieniając się w ciekłą strużkę czarnego dymu. Nie poczuł żadnego smaku, przyjemnego ciepła w przełyku i wypełnienia żołądka. Czy to była cena, którą przyszło mu zapłacić za uratowanie Delissy? Nie dość, że go znienawidziła, to stracił swoją pozycję i majątek. Był poszukiwany, został zdradzony przez przyjaciela, który zresztą już nie żył, zmniejszając liczbę bliskich mu ludzi do równej liczby palców dłoni. Jednej dłoni. Poza tym, wyglądał niczym istota żywcem wyciągnięta z narkotykowej podróży podrzędnego rysownika komiksów. Na domiar tego wszystkiego, ostatecznym kopniakiem w nerki, dźwignią na staw łokciowy, ciosem losu w splot słoneczny, było pozbawienie go rozkoszy jedzenia.

– Kurwa mać – szepnął Kylven i wlał w siebie kieliszek wina, który też spłonął, z tą różnicą, że napój zamienił się w piękny, błękitny płomień.

Jemiba obserwowała uważnie mężczyznę, a kiedy ten ze złością

odstawił naczynie, przysunęła się do niego z krzesłem i objęła jego ramiona. Wojownik jak zwykle zadrżał pod jej palcami. Kobieta miała w sobie coś, co przenikało do szpiku kości, napełniało ciepłem i spokojem. I pachniała... Tak wspaniale pachniała.

– Nie przejmuj się – powiedziała. – To tylko powłoka. Najważniejsze jest to, co masz w środku. Nigdy się na tym nie zawiodłam. Nie zostawię cię samego w tym bagnie.

– Dziękuję – odpowiedział Kylvan, łapiąc ją czule za przedramię.

– No dobrze, musimy w końcu porozmawiać – stwierdziła Jemiba, odsuwając się z powrotem do talerza. – Pewnie masz dużo pytań, więc zacznij.

– Faktycznie, mam trochę – przyznał Kirkhammer. – Nigdy mi nie mówiłaś, że jesteś wrażliwa na magię. Lokalizacja źródła rezonansu magicznego to nie jest prosta sprawa, więc zajmujesz się tym od dawna. Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś? Dlaczego mi nie powiedziałaś? Jak zdobyłaś ten pałac? I po co tropiłaś Lavecila? Czym ty się tak naprawdę zajmujesz?

Jemiba upiła łyk wina i odchyliła się w fotelu. Wyraźnie szykowała się do jednej ze swoich długich i barwnych opowieści.

– Po kolei zatem. W moim rodzie zdolności magiczne mają podłoże genetyczne. Wszyscy w rodzinie byli mniej, lub bardziej wrażliwi i utalentowani we władaniu magią. Uczyli mnie rodzice i dziadek, zanim umarli – tutaj kobieta zrobiła krótką pauzę, na kolejny łyk trunku, który miał ukryć jej nagłe drżenie głosu. – Tak więc, uczyłam się od dziecka. Co do drugiego pytania, rodzinny skarbiec zawsze był pełen, tym bardziej, że ekonomii również się uczyłam. Prywatne szkoły mają swoje plusy – uśmiechnęła się zadziornie, podkreślając ironię. – Dopiero się przekonasz, że pieniądze bardzo się nam przydadzą i dzięki nim można działać o wiele więcej, niż kupić drogi samochód.

Kylvan obruszył się, słysząc ten docinek. Lubił swoje auto, które teraz prawdopodobnie znajdowało się w posiadaniu Kościoła, a najpewniej, zostało już spieniężone.

– To jedyny widocznie zamieszkały budynek w promieniu wielu kilometrów. Nie znajdą nas tutaj? – zapytał Młot.

– Jak dotąd, nikt mnie nie niepokoił – odparła Jemiba, kręcąc winem w kieliszku. – Obszar Sennego Jeziora jest chroniony zaklęciami, które

utrudniają inwigilację. Pałac kupiłam za gotówkę, na fałszywe nazwisko. Laboratoria natomiast, są ukryte głęboko w Rysie na Lustrze. Ta skała ma wyjątkowe właściwości tłumiące wszelkie promieniowanie. Fale radiowe, elektromagnetyczne, rezonans magiczny. Nic tam nie penetruje. Dlatego właśnie wybrałam to miejsce – zakończyła z uśmiechem kobieta.

– Laboratoria?

– Do tego dojdziemy później – jej oczy błysnęły. – Wracając do twoich pytań, nie szukałam konkretnie tego Lavecila, jak go nazwałeś, a przynajmniej nie wiedziałam, że o niego mi chodzi. Otóż, od jakiegoś czasu interesują mnie niezwykle źródła cząstek. Wpadłam na to, będąc na wykładzie jakiegoś astrofizyka. Wysnuł teorię, że cząstki te, nazywane tachionami, pochodzą z obcych cywilizacji w innych galaktykach, a konkretnie, z napędów nadświatlnych. Niby mądry człowiek, bo faktycznie tachiony wykrył, korzystając z fascynującej aparatury, łączącej schłodzone w okolicę zera absolutnego nadprzewodniki i magiczne pola, wzmacniające widmo poruszających się ciał. Z drugiej strony, wiara w życie na innych planetach? Absurd. W każdym razie, zaczęłam dociekać źródła tego zjawiska. Odkryłam, że na naszej planecie są cztery względnie statyczne źródła tachionów oraz jedno ruchome. Bardzo trudno je obserwować, a jeszcze trudniej namierzyć, jednak mam określone przybliżone współrzędne. Zaczęłam grzebać i okazało się, że miejsca te powiązane są z legendami o bardzo specyficznych potworach. Mają one być potężne do tego stopnia, że nie da się ich zabić. Oprócz tego, są one podobno źródłem wszystkich pomniejszych monstrów.

– Wybacz, że ci przerwę – odezwał się Kylven – lecz ja dzisiaj zabiłem jednego z tej czwórki.

– I tu się mylisz – odpowiedziała Jemiba. – Otóż, kiedy się kąpałeś, sprawdziłam odczyty i faktycznie emisja znacznie się zmniejszyła, jednak nie ustała. Aczkolwiek, twój wyczyn jest i tak godny podziwu, ponieważ według legend i przekazów ludowych, które przesiałam i złożyłam do kupy wynika, że ze stworzeniami tymi mogło mierzyć się jedynie piąte źródło tachionów, które osobiście nazywam Strażnikiem.

– Masz na myśli świetlistego rycerza? – zadumał się Kirkhammer.

– Dokładnie. Umysł nadal masz bystry – przyjaciółka zaśmiała się.

– Czy w takim razie i on nadal żyje?

– Trudno powiedzieć – Jemiba zamyśliła się. – Emisja w tym przypadku także nie zanikła, jednak jest bardzo słaba. Może całkiem zaniknie.

– Lavecil też nazywał go Strażnikiem. Mówił o nim, jak o wrogu, aczkolwiek jeżeli on faktycznie mógł stawić czoła tym domniemanym źródłom wszelkiego zła, to dlaczego przeszkodził mi, kiedy miałem okazję zabić leśnego potwora za pierwszym razem?

– Tego nie wiem – przyznała Jemiba. – Teraz już się raczej nie dowiemy.

Znajomi siedzieli przez chwilę w milczeniu. Kylven zabrał w końcu głos.

– No dobrze, ostatnie pytanie. Do czego jestem ci potrzebny? Wspominałaś o tym.

Przyjaciółka spojrzała na niego, jakby nie rozumiała jego słów.

– Jeszcze się nie domyślasz?

– Domyślam, ale chciałbym potwierdzenia.

– Jesteś jedynym, który jednocześnie jest w stanie podjąć walkę z tymi stworzeniami i może to zrobić. Strażnik z jakichś względów nie mógł, lub nie chciał. Mam podejrzenie, że te monstra mogą mieć związek z Władcami, których wyznaje Kościół.

– Nigdy nie byłem zwolennikiem tej wiary, jednak przypuszczenie, że największa organizacja zwalczająca potwory czci cztery z nich wybrane, jest dosyć niedorzeczne.

– Jak już mówiłam, to tylko podejrzenie. Zresztą, Kościół jest organem międzynarodowym, skorumpowanym i wyzyskującym ludzkość. Nie ma w nim absolutnie nic dobrego.

Kirkhammer przemilczał to zdanie, nie mogąc mu z czystym sumieniem zaprzeczyć.

– Kylven, zrozum. Namieszaleś. Może nie zabiłeś Strażnika i Lavecila, ale na pewno czymś zatrzęsłeś. Emisja tachionów z pozostałych dwóch źródeł zacznie się nasilać. Ostatnie, trzecie, stanowi jakby stałe źródło sygnału, wzorzec, który jest przez resztę jedynie modyfikowany. Myślę, że może zdarzyć się coś bardzo złego.

– Jemi, posłuchaj siebie. Mówisz mi o cząstkach, które częściej pojawiają się w filmach niż w poważnej literaturze naukowej.

Wysnuwasz przypuszczenia i hipotezy. Nie masz żadnych dowodów na to, że są tam faktycznie jakieś potwory, a nawet jeżeli są, to Kościół o nich nie wie, więc nie są groźne dla ludzi.

– Może jeszcze nie są. Może wkrótce się staną. Nawet jeśli nie, to powiedz mi, dlaczego nie miałbyś pomóc mi je znaleźć? Co masz lepszego do roboty? Możesz zrobić coś istotnego, w najlepszym wypadku, uratować ludzkość, wytrzebić ostatecznie wszystkie potwory ze świata. W najgorszym, spędzisz ze mną kilka tygodni, przeszukasz kilka ruin. I tak nie masz dokąd pójść. Źle ci w moim towarzystwie? Mogę przywrócić ci dawny wygląd. Znam się na iluzji wysokiego stopnia.

– Nie o to chodzi. Naprawdę, jestem ci wdzięczny za wszystko co dla mnie zrobiłaś. Nie jestem jednak bohaterem, którego szukasz. Nie obchodzi mnie ludzkość. Nigdy nie spotkało mnie z ich strony nic dobrego. Po tylu latach wiernej służby, zostałem zaszczyty, okrzyknięty zdrajcą i dziwolągiem. Widziałem, co ludzie potrafią zrobić. Uwierz mi, nie warto dla nich walczyć. Poza tym... – Kylven zająknął się – poza tym, chcę tylko odzyskać dawne życie. Wrócić do Kirkhelm, do Turkusowej Zatoki. Chcę znowu normalnie żyć.

Oczy Jemiby zapłonęły lodowatymi płomieniami. Kobieta wstała, przewracając krzesło i pochyliła się nad przyjacielem.

– No tak. Nie wiem co sobie myślałam. Ratuję ci dupę, zabieram do swojego domu, a ty tylko potrafisz prosić o więcej. Jeden amulecik, którego wykonanie przekracza ten twój tępy, egocentryczny rozum i się stąd zwiniesz. Zawsze taki byłeś. Nie dostrzegasz niczego, co bliscy robią dla ciebie. Widzisz tylko tą gorszą część społeczeństwa i generalizujesz. Użalasz się nad sobą i oczekujesz uwielbienia za to, że walczyłeś w obronie ludzi, którymi gardzisz. Ty nawet ich nie broniłeś, ty po prostu nie miałeś innego pomysłu na życie. Potrafisz jedynie zabijać i płakać nad swoim losem. Straciłeś majątek i co z tego? Nigdy cię nie obchodził, równie dobrze czujesz się w stodole i pięciogwiazdkowym hotelu, byle za poduszkę służyła ci pusta butelka po wódce – Jemiba wzięła oddech i wypła do końca wino, po czym kontynuowała tyradę, ze zdwojonym zapałem. – Najgorsze jest jednak to, że ty naprawdę masz w sobie więcej z człowieka niż normalni ludzie. Jesteś dobry, wiem o tym, znam cię. Nie zaprzeczysz temu. Ty

po prostu zrobiłeś z siebie nieczułą bestię, otoczoną spalenizną apatii i ogniem nienawiści do całego świata, który rzekomo jest przeciwko tobie. Robisz to, bo tak jest łatwiej. Jesteś tchórzem, który boi się cierpienia do tego stopnia, że zatracasz wszystko, co jest w tobie cokolwiek warte.

Po tych słowach kobieta wyszła z sali bankietowej, zatrzasnąwszy za sobą drzwi z taką siłą, że wszystkie kryształki na wielkim żyrandolu zdrząły. Ostatnie zdanie, Jemiba wypowiedziała z płaczem, który równie mocno bolał oboje. Nienawidziła swoich łez. Nienawidziła tego, że czasami nie mogła ich powstrzymać. Czuła się wtedy słaba, a przez całe życie robiła wszystko, żeby być twarda. Kirkhammer wiedział ile kosztują przyjaciółkę te przemyślane i dokładnie wymierzone słowa. Kylven wspominał wszystkie sytuacje, w których Delissa mieszała go z błotem, wypominając jego wady. Wiele z jej argumentów, było naciąganych. Jemiba znała go jednak zbyt długo i o wiele za dobrze. Każde jej słowo, było celne i raniło stanowczo, pewne swojej słuszności. Przyjaciółka miała rację. Kirkhammer zgadzał się ze wszystkim, co powiedziała i to nie od dziś. Fakt, że usłyszał te słowa, wykrzywane przy akompaniamencie łez, które szarpały jego wnętrznościami równie mocno, co żelazne kleszcze sprawił, że mężczyzna ukrył twarz w dłoniach. Znowu poczuł pustkę. Chciało mu się palić. Wstał od stołu i podszedł do okna. Czarne niebo zdawało się patrzeć na niego z wyrzutem, oczami miliardów gwiazd.

– Czyli to koniec. – powiedział do siebie wojownik. – Czempion Ostrzy i Młot Kościoła zginął. Zostałem tylko ja, Kylven Kirkhammer. Pora zasłużyć na lepszy przydomek. Na przykład, Wiernego Przyjaciela.

Kylven nie poszedł do Jemiby. Wiedział, że z kobietą nie dało się teraz rozmawiać, a tym bardziej przeprosić. Wyszedł więc na główny taras i pozwolił nocnemu wiatrowi smagać się po twarzy. Na tej wysokości wiało właściwie bez przerwy. Mężczyzna widział z prawej strony światło palące się w komnacie przyjaciółki. Zastanawiał się jak jutro ją przekona do tego, że chciałby w końcu coś zmienić w swoim żalonym życiu i zrobić coś, co faktycznie będzie miało jakieś znaczenie. Nic więcej na pokaz i pod publiczność. Żadnych pomników, wywiadów i nagród. Tylko poczucie misji w imię wyższych wartości.

Jak jednak przyjąć te idee po tak długim czasie przebywania w próżni? Tak długo wojownik wpatrzony był jedynie w Delisę, tak długo cierpiał i powoli szalał, że prawie zapomniał o wartościach, które wpajali mu rodzice. Timelia Nightingale i Kylwitch Blincut. Morderczy Duet Kościoła. Zakochane Ostrza. Cały świat zachwycał się ich dokonaniem. Mało kto wiedział jednak o prawdziwym obliczu tej pary. Potrafili klócić się i nie odzywać do siebie nawzajem przez kilka dni. Bardzo często działali sobie na nerwy i dobrze wiedzieli jak to robić. Nie mogli jednak bez siebie żyć. Połączyła ich dozgonna miłość, a także poczucie obowiązku, głęboka empatia i żądza sprawiedliwości. Małżeństwo czuło się opoką, na której stał porządek świata. Byli pierwszą i ostatnią linią obrony biednych, szczególnie nękanym przez krwiożercze monstra i słabych. – Pamiętaj, twoja siła nie jest powodem do dumy lecz oznaką służby. Jeżeli otrzymujesz dary bardziej szczodre niż inni, zostaniesz oceniony po stokroć surowiej, jeżeli źle je wykorzystasz. – mówili. Kirkhammer odsunął od siebie te wspomnienia, schował je w najdalszych czeluściach pamięci, wypełniając powstałą w ten sposób przestrzeń własnym cierpieniem, poczuciem niezrozumienia i krzywdy ze strony otoczenia. Teraz odkopał je, wydobył i zdmuchnął z nich kurz minionych lat. Z zadumy wyrwała mężczyznę ciemność, która na moment zapadła. Kylven spojrzał w górę i dostrzegł, że nie dostrzegł księżycy. Jego bladą tarczę przysłonił skrzydlaty kształt, który zbliżał się do pałacu na górze zwanej Rysą na Lustrze.

– Patagon! – krzyknął radośnie Kylven, rozpoznając znajomego gryfa.

Monstrum wylądowało z gracją na bruku tarasu i rzuciło się na wojownika. W świetle księżycy, można było teraz dostrzec postać przypominającą wielkiego orła, który tarza się po kamieniach, otaczając skrzydłami miotające się zawiniątko. Wylewne powitanie skończyło się dosyć boleśnie dla mężczyzny, jednak nie zważał na to, uradowany spotkaniem ze swoim pierzastym towarzyszem. Przez następną godzinę osobliwa dwójka siedziała wpatrzona w niebo. Patagon obejmował wojownika skrzydłem, a ten drapał gryfa pod dziobem. W międzyczasie Kylven zdecydował się pójść jednak do Jemiby i porozmawiać z nią, jako że światło w jej pokoju jeszcze nie zgasło. Mężczyzna poklepał gryfa po dziobie i wszedł do pałacu. Po przejściu przez salę bankietową, zlokalizował drzwi do komnaty

przyjaciółki i chciał zapukać, kiedy z klatki schodowej po prawej stronie, prowadzącej do kuchni, wygramolił się niedźwiedź. Kirkhammer potrząsnął głową, zupełnie dezorientowany, patrząc jak niezgrabne zwierzę leniwie przechodzi obok, nie zwracając na niego najmniejszej nawet uwagi. Kylven przez chwilę jeszcze obserwował jak brunatny kolos w przepastnym, granatowym swetrze, człapie przez jadalnię, a kiedy odwrócił wzrok, podskoczył lekko, widząc przed sobą rozgniewaną twarz Jemiby.

– Czego chcesz? – zapytała ostro.

– Czy to był cholerny niedźwiedź brunatny? – odpowiedział pytaniem skonsternowany wojownik.

– To nie jest cholerny niedźwiedź brunatny, tylko niedźwiedź szary, potocznie nazywany grizzly. Na imię ma Miś. Mów o nim trochę grzeczniej, proszę.

– Miś? – Kirkhammer nie mógł przyjąć do wiadomości faktu obecności tego zwierzęcia. – Skąd masz niedźwiedzia? Dlaczego? Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie, nie żartuję – mówiła kobieta, coraz bardziej zirytowana. – Chciałam mieć niedźwiadka, więc kupiłam niedźwiadka. Najlepsza inwestycja w życiu. Miś jest kochany. A teraz, powiedz mi po co przyszedłeś? Zdecydowałeś, kiedy wyjeżdżasz?

– Ja właśnie... Przyszedłem powiedzieć ci, że nie wyjeżdżam – zaczął Kylven, podziwiając parkiet pod stopami kobiety. – Masz co do mnie absolutną rację. Jestem ci coś winien. Właściwie, jestem ci winien całkiem sporo. Zostanę tu tak długo, jak będziesz mnie tolerować i pomogę w twoich poszukiwaniach. Jeżeli zaś faktycznie znajdziemy jakieś pradawne źródła zła i chaosu, będę gotów z nimi walczyć, w imię rodzaju ludzkiego – zakończył patetycznie i nazbyt sarkastycznie.

Jemiba patrzyła przez chwilę w czerwoną mgłę oczu przyjaciela, po czym uśmiechnęła się lekko.

– Nie wierzysz w to, co ci powiedziałam. Ale uwierzysz. Cieszę się, że zmieniłeś zdanie. Naprawdę chcę ci pomóc, ale ty musisz także pomóc mnie. Nikt inny nie jest w stanie.

– Rozumiem, Jemi. Możesz na mnie liczyć, obiecuję. – Kirkhammer uniósł prawą dłoń w geście przysięgi, uśmiechając się przy tym łobuzersko.



– Daruj sobie – fuknęła kobieta, ale też się uśmiechnęła. – Miło, że zdecydowałeś się przyjść. Przez chwilę już myślałam, że wolisz towarzystwo gryfa od mojego.

– Wiesz, Patagon nie krzyczy na mnie, tak jak ty... – odciął się Kylven.

W odpowiedzi, Jemiba cisnęła w mężczyznę falą energetyczną, która wypchnęła go z powrotem do sali bankietowej. Łądując, wojownik przewrócił krzesło z głośnym trzaskiem, co przyprawiło Misia o czkawkę.

– Ok, rozumiem – jęknął Kylven. – Na dzisiaj koniec złościwości.

– Widzę, że pojmujesz w lot! – zaśmiała się ironicznie przyjaciółka. – To ostatni raz powtarzam: cieszę się, że zostajesz ze mną. Jutro pokażę ci laboratoria. Dobranoc.

Jemiba pożegnała Kirkhammera i puściła mu oczko, po czym wyczarowała sporą kulę śnieżną i wpakowała ją w twarz wojownika. Nawet nie próbował się bronić. Zimno białego puchu było przyjemne, a jego błyski mogły zniszczyć piękne wnętrza pałacu. Wstał zatem, otrzepał się i krzyknął „Dobranoc!” w kierunku zamkniętych już drzwi. Idąc do swojej sypialni, pogłaskał czkającego Misia za uchem, co nieco go uspokoiło. – *Dom wariatów.* – zaśmiał się w myślach Kylven – *I pomyśleć, że ja chciałem wrócić do Kirkhelmu... Ile złych decyzji zdążyłem już podjąć, kierując się zatwardziałą mizantropią?* – Odpowiedź brzmiała: wiele. Zbyt wiele. Wystarczająco wiele, nawet jak na dwa życia.

## ***Rozdział 13***

Po nocy bez snów i śniadaniu, przy którym rozmawiali o wszystkim i o niczym, Jemiba zaprosiła Kylvena do laboratorium. Poprowadziła go na wewnętrzny dziedziniec, do wielkiej wazy z palmą. Kobieta chwyciła maleńką, ozdobną muszelkę u dołu donicy i przekręciła ją, po czym wcisnęła. Zupełnie bezszelestnie palma uniosła się do góry, ujawniając wejście do niewielkiej windy o połyskujących, metalowych drzwiach.

Weszli do środka, ona – ubrana w luźne, wygodne dresy, on – nadal w swoim jedynym szlafroku. Winda, na szczęście, nie miała luster. Jemiba nacisnęła jedyny przycisk na panelu i urządzenie ruszyło w dół. Jechali długo. Kirkhammer wyliczył, że równie długo w zwykłym biurowcu, trwała podróż na czterdzieste piętro. W końcu drzwi otworzyły się, ukazując skalną grotę. Znajdująca się pod dnem jeziora jaskinia była ogromna, wielkości sporego hangaru. Ściany, sufit i skała pod stopami, pozostały w naturalnej formie. Tu i ówdzie, wisiały stalaktyty. Wszędzie wiły się kable i rury, posegregowane w porządne wiązki. Podążały one krętymi ścieżkami do niezliczonych komputerów, komór, skomplikowanych urządzeń i umieszczonych pod sufitem lamp, oświetlających grotę bladym światłem. Centralne miejsce, zajmował duży, metalowy bęben, od którego odchodziły najgrubsze kable. Kylven rozglądał się w podziwie, nie kryjąc zainteresowania.

– Witaj w moim królestwie – powiedziała dumnie Jemiba.

– Nieźle się tu urządzałaś – wykrztusił w końcu mężczyzna. – Zakładam, że prąd do tego wszystkiego produkuje reaktor jądrowy?

– Blisko, blisko – kobieta uśmiechnęła się zadziornie. – To jest, mój drogi, reaktor fuzyjny.

– Reaktor termojądrowy? – Kylven pokręcił głową – Słyszałem, że prace nad nim trwają, ale był problem z podtrzymaniem plazmy. Nakład energii przekraczał zyski.

– Widzę, że interesujesz się czymś poza mordowaniem. Szanuję. – Jemiba skierowała się w stronę urządzenia – Problem jednak dotyczył głównie wykorzystania go w produkcji energii dla całych miast. Uruchomienie go kosztowało mnie bardzo dużo kryształów energetycznych. Właściwie, to były prawie skały. Jednak, kiedy już zapoczątkowałam proces, elektromagnesy wytworzyły plazmę, transformator zaindukował reakcję i reaktor zasila cały kompleks, a także siebie samego. Osłona jest wykonana z litu, więc tryt jest dostarczany na bieżąco. Dzięki tunelowaniu, nie jest konieczna niewyobrażalna temperatura. Ot i wszystko – przyjaciółka stanęła obok tokamaka, wyraźnie dumna ze swojej pracy.

– No nieźle... Nie przekonasz mnie jednak, że zrobiłaś to sama.

– Faktycznie, nie zrobiłam. Jednak pomysł na wykorzystanie tutaj eksperymentalnego reaktora, uważam za osiągnięcie – zachnęła się

Jemiba.

– Nie zaprzeczam – przyznał Kylven. – Wszystko tutaj jest bardzo imponujące. Bardziej pasuje do międzynarodowego ośrodka badawczego.

– Jak już mówiłam, dobre wykorzystanie pieniędzy to też sztuka. Chodźmy dalej.

Kobieta oprowadzała przyjaciela po kompleksie, pokazując stoły laboratoryjne, zbiory odczynników, drukarkę trójwymiarową, skomplikowany komputer przeznaczony do projektowania wszelkich elementów uzbrojenia i wyposażenia, manekiny ćwiczebne, niedokończony skafander do pracy przy dnie morskim, plac zabaw dla Misia, symulatory balistyczne i własne urządzenie do rezonansu magnetycznego. Zwieńczeniem tego niesamowitego zbioru technologii, był główny komputer. Jego moc obliczeniowa przewyższała symulatory galaktyk w czasie rzeczywistym, rozmiarem przypominał średnich rozmiarów ciężarówkę. Same monitory, a konkretnie sześć niezależnych ekranów o przekątnych czterdziestu cali każdy, robiły wrażenie.

– Tutaj analizuję dane z wykrywacza tachionów – wyjaśniła. – Odbiorniki i sondy są w wieży zegarowej. Przeprowadzam tu operacje bankowe, śledzę poczynania Kościoła, mam łączność z większością satelitów... Poza tym, odbieram też anomalie w rezonansie magicznym i specyficzne echa energetyczne. Wszystko jest na bieżąco analizowane, formatowane i przedstawiane w czytelny sposób – podsumowała Jemiba, prezentując tabele, raporty, setki linijek tekstu, kodów i zbiory danych. Kylvenowi kręciło się od tego w głowie.

– Wybacz Jemi, ale niestety nie jestem aż tak bystry, żeby to wszystko ogarnąć – przyznał Kirkhammer.

– Nie oczekuję tego od ciebie – zaśmiała się przyjaciółka. – Sama uczyłam się analizować i czytać te dane przez długi czas. W każdym razie, jeżeli chcesz potrenować, pomieszać jakieś trucizny, w których się lubowałeś, pograć w coś albo poszukać informacji na jakiś temat, tutaj jest miejsce do tego.

– Właściwie, to powinienem trochę poćwiczyć. Nie mogę wypaść z wprawy.

– Bardzo słusznie. Podejrzewam, że nie będziesz wywijał mieczami w

szlafroku, więc pójdę zająć się swoimi sprawami – mrugnęła do niego i poszła w kierunku windy. – Rozgość się! I niczego nie zniszcz!

– Będę uważał. Dzięki.

– Nie ma za co. A! Właśnie! Zamówiłam ci w nocy nowe wdzianko w zaufanej firmie. Powinno przyjść jakoś po południu.

Kylven już chciał znowu podziękować przyjaciółce za jej uprzejmość i wszechstronną gościnę lecz coś mu nie pasowało.

– Domyślam się, że nie wyślą kuriera do magicznego zamku na środku jeziora? Poza tym, z twojego tonu wnioskuję, że to nie jest takie sobie ubranie. Nie uważasz, że to może być podejrzane?

– Jak ty o wszystkim myślisz! – zaśmiała się Jemiba. – Powiedziałam ci, że to zaufana firma, oficjalnie produkuje kostiumy karnawałowe. Dostawca jest niezależny i za każdym razem inny, zazwyczaj to prywatny właściciel samolotu. Samo zlecenie złożyłam przez przeglądarkę internetową ze zmiennym adresem IP, a informacje są przekazywane przez miliony komputerów i wielokrotnie zapętłone, żeby namierzenie ich było prawie niemożliwe. Nie martw się, jestem dużą dziewczynką i wiem jak sobie radzić w tym podłym świecie.

Kirkhammer z autentycznym podziwem patrzył jak przyjaciółka znika w windzie. Trochę wstydził się braku czytania. Jego wiedza na wielu polach była ogólnikowa, a na innych praktycznie żadna, chociaż uchodził za osobę wykształconą i inteligentną. Przy Jemibie czuł się jednak jak student pierwszego roku przy światowej sławy profesorze. – *No cóż... Czas zająć się tym, co potrafię najlepiej.* – pomyślał Kylven i sięgnął po swoje miecze.

Po skończonym treningu na rozległej macie, Kirkhammer wrócił na górę, wykapał się i udał na poszukiwania Jemiby. Znalazł ją na mniejszym tarasie, za bramą trytona, leżącą na leżaku z książką. Obok niej drzemał Miś. Kiedy mężczyzna wszedł na ogrodzony teren, Patagon dołączył do gromady, siadając na schodach w prawej części tarasu.

– Jak rodzinie – powiedziała trochę ironicznie, jednak bardziej szczerze Jemiba. – Udało ci się niczego nie pociąć?

– Wszystko przetrwało. Co czytasz?

– Jakieś łzawe romansidło. Całkiem dobra lektura, kiedy potraktuje się ją jako komedię. Łap!

Kobieta rzuciła w stronę przyjaciela niewielki przedmiot. Kylven złapał go. Była to komórka. Nie najnowsza, ale w pełni sprawna.

– Na kartę. Rozmowy międzynarodowe w najkorzystniejszej taryfie. Pomyślałam, że ci się przyda. Jeżeli nie będziesz mógł się do mnie dodzwonić, to znaczy, że jestem w laboratorium.

– Dziękuję – przez chwilę Kirkhammer chciał niezwłocznie zadzwonić do Rhagliona, jednak rozmowy z jego telefonu były nagrywane. Wymóg Kościoła. Musiał znaleźć inny sposób na skontaktowanie się z przyjacielem. Schował telefon i usiadł na posadzce obok Jemiby. – Jemi... – zaczął niepewnie.

– Co tam, Tygrysku?

– Głupio mi o cokolwiek cię prosić, ale... Myślałaś może o tym amulecie generującym iluzję?

– Daj spokój, jeszcze będziesz miał milion okazji, żeby mi się odwdzińczyć. To musiałyby być skomplikowana iluzja. Potrafię taką stworzyć, ale potrzebne mi materiały. Dosyć rzadkie, prawdę mówiąc – kobieta zmarszczyła brwi. – Obawiam się, że kupno może być problematyczne.

– Czego konkretnie potrzebujesz?

– Najważniejsze jest Oko Wolverberga. To rzadki kamień, nazwany imieniem odkrywcy. Ma właściwości projekcyjne i emituje silne magiczne pole. Przy odrobinie wiedzy i doświadczenia, można zawrzeć na nim runy i zmodyfikować emisję fal tak, aby wpływały na umysły otaczających stworzeń. Dodatek odpowiednich odczynników, które mam i obróbka nożem kobaltowym, pozwala na oszukanie wszystkich ludzkich zmysłów.

– Innymi słowy, to można z niego zrobić wielowymiarowy projektor iluzji? – wydedukował ostrożnie Kylven.

– W dużym uproszczeniu, tak. Niestety, wszystkie takie klejnoty mają już swoich właścicieli. Między innymi Kościół ma taki.

Kirkhammer zasępił się poważnie.

– Jemi, dezercja i ukrywanie się przed Kościołem to jedno, a okradanie go to coś zupełnie innego.

– Wiem. Niczego nie sugeruję. To jednak najprostsze rozwiązanie. Postaram się zasięgnąć języka i dowiedzieć, gdzie indziej można takie cacko zdobyć.

– Nie wiem już jak ci dziękować – powiedział wojownik i objął mocno przyjaciółkę. Odwzajemniła uścisk i przez chwilę tak siedzieli, kiedy przez szum wiatru w arkadach tarasu przedarł się jednostajny dźwięk napędu antygravitacyjnego. Cała czwórka uniosła wzrok, aby zobaczyć przelatujący szybko samolot oraz powiększający się punkt, który pozostał w tyle.

– Oho! – ucieszyła się Jemiba – Przyszła przesyłka!

Kylven zerwał się z miejsca i wskoczył na grzbiet Patagona.

– No! Łap skrzynkę, kurczaku! – krzyknął do gryfa. Ten w odpowiedzi skoczył za balustradę i zapikował w dół zbocza. Po chwili zaczął wzbijać się w stronę opadającego na spadochronie przedmiotu, uderzając potężnymi skrzydłami. Stwór odwrócił się grzbietem do celu. Jeździec wyszarpnął miecz i przeciął liny spadochronu. W odpowiedzi, gryf zrobił pętlę i ponownie zapikował ku ziemi. Dopędził spadającą przesyłkę i złapał ją w szpony, po czym oboje wrócili na taras. Ich lądowanie spotkało się z oklaskami i śmiechem Jemiby.

– Zawsze lubiłeś się popisywać – powiedziała, patrząc przenikliwie na Kylvena.

– Zawsze przed tobą – odparł Kirkhammer i mrugnąłby do niej, gdyby miał powieki.

– Chodź, przymierzysz swój nowy uniform.

Jemiba jak zwykle przeszła samą siebie. Fakt, że trafiła idealnie w gust Kylvena nie zdziwił go. To, że bezbłędnie wybrała rozmiar, owszem. Jego ubranie składało się teraz z gładkiej, czarnej koszulki, na którą nałożył wspaniałą kurtkę. Czarna skóra mieniła się w świetle głęboką, krwistą czerwienią. Sprzączki nie spinały klap do końca, pozostawiając przestrzeń na piersi. Ćwieki na barkach zostały dopasowane tak, aby nie kolidowały z pasem od mieczy. Długie rękawy miały suwaki sięgające poniżej wzmocnień na łokciach, które Kirkhammer rozpiął, robiąc miejsce dla długich rękawic z ćwiekami na knykciach. Spodnie zostały wykonane z włókien entów, zabarwione na czarny kolor i spięte pasem ze srebrną sprzączką w kształcie rozdzielonej czaszki. Element równie kiczowaty, co obowiązkowy. Buty zapinane na klamrę i suwak z boku, były wygodne i piękne, z zaokrąglonymi noskami. Elementy skórzane pochodziły od wyvern. Kylven prezentował się wspaniale. Strój był dopasowany, wygodny i

ogniotrwały. Odwracał uwagę od twarzy wojownika i ten przez chwilę poczuł się znowu normalny. Tak normalny, jak tylko mógł być.

– Jemi...

– Nie dziękuj mi znowu, bo to się robi nudne – uciszyła go. – Dobra z ciebie dupeczka – zaśmiała się. – No dobrze, teraz czas na triki tego wdzianka – powiedziała tajemniczo i zabrała przyjaciela do wyjątkowo grubego stalagmitu na skraju groty. – Rozbijesz tę skałę? – zapytała.

Kylven popatrzył na sterczący kamienny soplel:

– Rozbiję, ale połamię sobie przy tym kości.

– I tu się mylisz. Wal!

Kirkhammer stwierdził, że drażnienie tematu nie ma sensu, kiedy przyjaciółka z niecierpliwością czekała na efekty swojej prezentacji. Wziął zamach i uderzył najeżoną pięścią w stalagmit. Kamień pękł i rozpadł się na kawałki. Wojownik patrzył zdziwiony na swoją rękę w rękawicy.

– To nie jest taka zwykła rękawica. Wzmocnienia z materiału nienewtonowskiego przy uderzeniu twardnieją i układają się wzdłuż działających na twoją rękę sił, odprowadzając energię i zmniejszając naprężenia w kościach – wyrecytowała z rosnącym uśmiechem Jemiba. Wyglądał teraz jak podniecona studentka, która omawia swój projekt przed przystojnym profesorem. – To samo tyczy się butów. Z tą różnicą, że jak pewnie zauważyłeś, jest tam założony niewielki pasek, w kształcie klina. W związku z tym, powinieneś móc kopnięciem ścinać niewielkie drzewa – kobieta zakończyła swój wywód, dumnie unosząc nosek. – Oprócz tego, masz przy pasku mały przybornik na drobiazgi, kieszenie i kieszonki...

Kylven ponownie czuł się zakłopotany. Tym bardziej, że ze względu na dodatkową ostrożność, Jemiba zamówiła dziesięć sztuk kompletnego stroju. Już dawno nie otrzymał tylu prezentów, tyle szczerzej pomocy, wsparcia zarówno materialnego i psychicznego. Stał w milczeniu i podziwiał ubiór. W końcu, odezwał się.

– Jemi, idź do siebie. Przygotuję coś do jedzenia i opowiem ci o historii fuzji magii z technologią.

Usta przyjaciółki rozszerzyły się w uśmiechu:

– Pamiętasz, że lubiłam twoje opowieści.

– Pamiętam. Idź już. Widzimy się za godzinę.

– Pędzę!

Kobieta poszła do windy, zostawiając Kylvena samego ze swoimi prezentami. Faktycznie, wojownik umiał kiedyś opowiadać. Monologi, skecze, dowcipy. Zanim zostali mu odebrani rodzice, był towarzyski i lubił przebywać z ludźmi, zaskakując swoją pamięcią i wyobraźnią. Często spędzał wieczory z rodzicami, wraz z innymi żołnierzami Kościoła, na biesiadach i ucztach. Po oblężeniu Kirkhelm, zamknął się w sobie. Stronił od towarzystwa, pielęgnując wspomnienia i starając się przystosować do otoczenia, które sceptycznie podchodziło do jego niezwykłych zdolności. Przy Deli, znów się otworzył, ale tylko dla niej. U boku czarodziejki znowu potrafił się śmiać, rozmawiać godzinami i opowiadać historie. Kiedy Stormbringer go zostawiła, zupełnie odizolował się od społeczeństwa, z wyjątkiem najbliższych przyjaciół. Nie zawierał nowych znajomości, kobiety stały się dla niego przygodami. Bał się bliższych stosunków z kimkolwiek. Możliwość ponownego odrzucenia i braku akceptacji przerażała go tak bardzo, że zaczął sam odrzucać innych. Nie dopuszczał do siebie nikogo nowego. Dzisiaj jednak, życzliwość Jemiby, jej obecność, fakt, że nie patrzyła na niego jak na obrzydliwe monstrum, którym przecież był, ale jak na starego przyjaciela, napełniła go chęcią do snucia opowieści. Wszedł zatem do windy i wyjechał na powierzchnię. Przeszedł do swojej sypialni, gdzie zostawił kurtkę i miecze. Udał się następnie do kuchni, z zamiarem sporządzenia swojego popisowego dania – suszonych śliwek smażonych w bekonie.

Światła świec. Zapach smażonego bekonu i suszonych śliwek. Niedźwiedź grizzly, śpiący na posłaniu z kolorowych poduszek. Czarny gryf, wpatrzony bystrym wzrokiem w zachodzące w oddali słońce. I dwoje przepięknych, błękitnych, spragnionych słów oczu.

Magia istniała od zawsze. Przenikała cały świat, kierując potajemnie jego enigmatycznymi prawami. Potęga natury, na wyciągnięcie ręki. Pierwszy Przewodniczący Kościoła, Xern, zaczerpnął z tego źródła jako pierwszy. Otworzyła się przed nim wspaniała kraina niewyobrażalnych możliwości. I wielki arsenał. Xern podarował swoją wiedzę ludziom. Okazało się, że nie wszyscy potrafili połączyć się ze strumieniem mocy, który płynie przez planetę. Ci, którzy takie zdolności wykazywali, stworzyli pierwszą, czteroosobową Radę Kościoła, którą



często określa się jego Sercem. Wkrótce, zastępy Rąk podzieliły się na szermierzy i magów, a także wojowników posiłkujących się czarami. Ludzkość nareszcie miała realne szanse obrony przed potworami, które królowały na świecie. Byli jednak tacy, którzy zazdrościli umiejętności działania cudów. Pojawił się więc nowy odłam nauki, który chciał ujarzmić siły natury nie za pomocą czarów, lecz samej potęgi umysłu i rąk. W ten sposób, pojawił się załazek techniki. Magia i technologia rozwijały się osobno i równolegle, nie wchodząc sobie w drogę. Geometria, matematyka, fizyka i chemia, biologia oraz sztuki piękne. Z drugiej strony – alchemia, nekromancja, jasnowidzenie, sztuka przywoływania i iluzji. W pewnym momencie, jasnym stało się, że rozdzielenie tych dziedzin wiedzy znacznie ogranicza rozwój rodzaju ludzkiego. Jako pierwszy, doszedł do takiego wniosku Azeroth. Zgłębiał on tajniki nauk ścisłych, doskonalał się jednocześnie w arkanach magii. Dopiero on rozpoczął erę cudów. Zrozumiał prawa, stojące za zjawiskami magicznymi, opisał je w postaci wzorów i równań. Wtedy właśnie rozpoczął się rozkwit. Pola siłowe, pochodzące z kryształów zaklinanych przez magów, stabilizowały reakcje chemiczne i najróżniejsze procesy, które zaczęto wykorzystywać w życiu codziennym. Niebezpieczne zjawiska, mogły być obserwowane z bliska, niedostępne dla naukowców warunki fizyczne, okazały się nagle dostępne. Ta otwartość umysłów, konieczność współpracy i zjednoczenia ponad podziałami, wobec nieustannego zagrożenia ze strony również rozwijających się potworów, umocniła ludzkość. Wyścig zbrojeń wydawał się wygrany, ponieważ naturalne procesy rozwoju zostały prześcignięte przez geniusz człowieczego mózgu. Pojawiły się, oczywiście, skutki uboczne. Niektórzy czarodzieje zbuntowali się przeciwko uprzemysłowieniu i rozpowszechnieniu arkanów magii. Uważali, że to luksus i wyróżnienie, dostępne jedynie wybranym. Najwięksi ekstremiści zerwali wszelkie połączenia z człowieczeństwem i powierzyli się demonom, zostając Naznaczonymi. Chcąc w pełni poznać tajniki natury, nie brukając się jednocześnie naukami ścisłymi i w obawie przed klątką z równań i algorytmów, powierzyli swe usługi istotom ognia i ciemności, w zamian za oświecenie. Powszechna opinia jest taka, że była to niewielka cena za wszystkie korzyści fuzji magii z technologią. W ten sposób, od wieków, ramię w ramię idą te dziedziny

nauki, prowadząc ludzi w kierunku czasów, w których nie będzie już tragicznych śmierci z rąk bestii.

## *Rozdział 14*

Wątle światło samotnej żarówki ledwie oświecało pokrytą rdzawymi plamami podłogę z białych kafli. Powietrze w pomieszczeniu było ciężkie, śmierdziało gównem, krwią i potem. Rhaglion siedział przywiązany do metalowego krzesła. Był nagi. Jego wspaniałe, umięśnione ciało pokrywały okropne rany o poszarpanych brzegach i ślady poparzeń. W niektórych miejscach brakowało na nim skóry. Większość jego paznokci, leżała porzrucana dookoła. Wojownik miał zaciśnięte usta, z których zwisała nitka śliny pomieszanej z krwią. Mętne oczy wpatrywały się w posadzkę. Kat szarpnął go za włosy, odchylając mu głowę do tyłu.

– Jeszcze możesz to przerwać – syknął, zionąc wódką i smrodem zepsutych zębów. – Rany się zszyje, skórę przeszczepi, a paznokcie odrosną same. Nawet ząbki ci wstawią. Kolaius zawsze dotrzymuje słowa, przecież wiesz. Powiedz mi tylko, gdzie jest Kirkhammer? Gdzie może się ukrywać? Jakich ma jeszcze kolegów? Komu ufa? Dlaczego nie skontaktował się z tobą? Dlaczego wywalił na ciebie swoje przypalone jajca?

Rhaglion milczał. Nie obrażał już swojego oprawcy. Nie pluł mu w twarz. Nie miał sił. Pokiereszowane ciało, połamane kości, wybite zęby... Nie chciał nawet myśleć o swoich narządach wewnętrznych. Czuł, jakby zamiast nich miał w środku krwawy gulasz, który przelewał się boleśnie przy głębszym oddechu.

– On nadal jest Ostrzem – wyszeptał. – Nie macie prawa... On nic nie zrobił. Nie znacie go. Nie dostaniecie go. Nie ode mnie. Nigdy. – zakończył Dawnstar i ponownie zacisnął usta, utkwivszy swój wzrok w opatrzonym kratami, dźwiękoszczelnym okienku, przez które widział odległe iglice parlamentu w Aegilith.

– Nie podoba mi się to twoje pierdolenie, mały kurwiu – powiedział

kat, wycierając ręce w zakrwawiony fartuch. – Widzę, że zabawisz tutaj jeszcze trochę – po tych słowach, grubas chwycił grubą, drewnianą pałkę i zdruzgotał kolano Rhagliona. Pomieszczenie wypełniło westchnięcie. Odgłos ten był po stokroć, po tysiackroć gorszy od krzyku, który rozerwałby błony bębenkowe. To westchnienie, rozrywało bowiem serce.

Kylven zerwał się z łóżka z krzykiem.

– RHAGLION! – wrzasnął mężczyzna, po czym w pośpiechu ubrał się i przerzucił przez plecy pas z mieczami. Następnie pobiegł do komnaty Jemiby. Spotkał ją już w sali bankietowej.

– Co się stało?! – zapytała kompletnie już rozbudzona kobieta. Za nią człapał leniwie Miś.

– Rhaglion ma kłopoty. Śnił mi się.

– Kylv, to tylko sen... W nowym miejscu zdarzają się koszmary – próbowała uspokoić przyjaciela Jemiba.

– Nie! Już miałem takie wizje. Jest, lub był torturowany. Chcieli od niego informacji o mnie. Muszę mu pomóc! – Kylven gadał jak najęty, trzęsąc się.

– Uspokój się. Przecież nawet nie wiesz gdzie on jest. Co niby zrobisz?

– Wiem gdzie jest. Jest w jednostce wypadowej Kościoła, tej koło Aegilith. Jestem pewien. Muszę tam natychmiast się dostać.

– Rozumiem cię, naprawdę, ale masz zamiar przebić się przez całą uzbrojoną obsadę tej jednostki i zabrać Rhagliona? To bardzo nierozsądne, nawet jak na ciebie.

– Rhag zrobiłby dla mnie to samo. Jemi, proszę cię, przeteleportuj mnie nad ten budynek. Poradzę sobie. To jest jednocześnie ważny skarbiec Kościoła. Znajduje się tam wirtualne archiwum i spory skład artefaktów. Opłaci ci się to.

– Nie obrażaj mnie. Życie twojego najlepszego przyjaciela jest dla mnie ważniejsze od błyskotek. Dobrze, pomogę ci.

Kirkhammer kiwnął głową i oboje wyszli na zewnątrz. On, w pełnym rynsztunku, błyszcząc w ciemności ogniem run na swoim ciele. Ona, w piżamie, rozczochrana i ukrywająca bardzo dokładnie własny strach. Na tarasie, Jemiba wcisnęła Kylvenowi złapany po drodze niewielki przedmiot.

– Masz. To pendrive, bardzo pojemny. Zgraj na niego co będziesz mógł. Jeżeli będziesz mógł. Weź, co się da. Artefakty, klejnoty, amulety. Wszystko nam się przyda do leczenia Rhagliona, lub w przyszłości.

Mężczyzna kiwnął głową i podziękował. Przyjaciółka wykrzyczała zaklęcie i rozerwała dziurę w rzeczywistości.

– Pomyśl o tamtym miejscu – krzyknęła. – I nie daj się zabić – dodała tak, żeby nie słyszał. On jednak usłyszał bardzo wyraźnie. I wszedł do portalu.

Po drugiej stronie wrót Kylvena przywitało nocne niebo i wiatr huczący w uszach, kiedy zaczął spadać. Jednostka pod Aegilith otoczona była murem. Teren za nim został zaopatrzonej w czujniki temperatury i ruchu. Widzialny mur przedłużał się w kopułę, utworzoną z magicznych barier i pól siłowych. Mężczyzna musiał się dostać bezpośrednio do środka. Portal otworzył się wysoko, więc Kirkhammer oceniał odległość od budynku bardzo starannie. Około pięćdziesięciu metrów nad wieżą, która górowała nad kompleksem, błysnął. Pojawił się dziesięć metrów niżej. Udało się. Bariery nie zareagowały na chmurę piroklastyczną. Spadał teraz prosto na oszklony u szczytu, betonowy blok, służący za punkt obserwacyjny. Pikował. W ostatnim momencie obrócił się nogami ku ziemi. Przeleciał przez szkło, zasypując strażników gradem żądających odłamków. Lądując, zostawił labirynt pęknięć na podłodze. Czterech. Z karabinami. W kwestii obrony przed ludźmi, Kościół nie trzymał się swojej tradycji odnośnie broni białej. Miał po swojej stronie element zaskoczenia. Kylven powalił stojącego z prawej lewym sierpowym. Poszedł za ciosem, chwycił obracającego się w jego kierunku mężczyznę w granatowym mundurze za gardło i wyrznął nim o podłogę. Błyskawicznie zawirował, odbił się od konsoli, która otaczała pomieszczenie kwadratem lampek, przycisków i dźwigni, a lądując, uderzył ćwiekowaną rękawicą trzeciego wroga w czoło. Ostatni strażnik odbezpieczył broń drżącymi rękoma, patrząc jak czarno – czerwony demon eliminuje jego kolegów. Za wolno. Kiedy unosił karabin, były Czempion Ostrzy wytrącił mu go z dłoni kopnięciem. Zrobił piruet i zdzielił przerażonego mężczyznę łokciem w żuchwę. Nie pozwolił mu upaść. Chwycił jego prawe ramię pod pachę i zablokował je, złapał jego ubranie, po czym uniósł

strażnika, przerzucił nad sobą i wyrzucił nim o podłogę. Wszystko trwało zaledwie dziesięć sekund. Kirkhammer zamarł, upewniając się, że nie zaalarmował nikogo. Otworzył metalowe drzwi i zszedł schodami na dół. Betonowe korytarze były gołe i surowe. Błede świetlówki nadawały miejscu atmosferę starego bunkra. Mężczyzna pamiętał ułożenie pomieszczeń. Znajdował się w centrum kompleksu. Interesujący go pokój znajdował się w zachodnim skraju budynku. Po drodze chciał jeszcze wyświadczyć Jemibie przysługę, musiał więc skręcić w północny korytarz, zejść do archiwum i potem kontynuować drogę pod ziemią. Następnie skierować się znowu na zachód i schodami na górę. Na szczycie klatki schodowej była komora transformatora i generator zapasowy, a tuż obok sala tortur, którą nazywano Krainą Łaskotek. Kylven odepchnął od siebie wszystkie wspomnienia związane z tym miejscem i przyspieszył kroku. Skradał się aż do końca przejścia prowadzącego z wieży do głównego skrzyżowania korytarzy, które biegły w czterech kierunkach. Wyszedł tuż przy nim, pod koniec korytarza południowego. Wychylił się zza ściany. Nikogo nie było. Najwyraźniej Kościół był tak pewien swoich zabezpieczeń, że nie pokusił się o wystawienie straży. Ewentualnie, straż była pewna o sprawności systemów wczesnego wykrywania intruzów i udała się na drzemkę. – *Albo oglądają jak Klaun zamęcza Rhagliona.* – Wojownik zacisnął zęby i wszedł w korytarz północny. Po przejściu stu kroków, skręcił w prawo i zszedł po schodach do oświetlonego przedsionka, w którym przed drzwiami archiwum stało dwóch strażników. Jeden z nich przysypiał, a drugi wycierał swoją strzelbę naoliwioną szmatką. Kylvena dzieliła od nich roleta, której tytanowe kraty były grubości jego przedramienia. Mężczyzna błysnął, pojawiając się tuż przy zdezorientowanych żołnierzach. Złapał tego po swojej lewej za rękę, pociągnął i pchnął na jego towarzysza. Dwójka zaczęła się szamotać, próbując wycelować swoją broń, klnąc i krzycząc. Kirkhammer jednego łupnął twarzą o ścianę, a drugiego ogłuszył uderzeniem kolaniem. Następnie wyjął kartę dostępu z kieszeni jednej z ofiar i przesunął ją przez czytnik. Srebrzyste, okrągłe wrota o grubości metra, uchyliły się przed nim bez żadnego dźwięku potężnych zawiasów. Wojownik wszedł do pomieszczenia. Stały przed nim setki regałów, zastawione najróżniejszymi pudłami, pudełeczkami i

skrzynkami. Wszystkie pojemniki opatrzone były naklejkami z opisami. Zignorował je na moment i skierował się do stojącego w rogu komputera. Włączył go i zalogował się. Dostęp do archiwów był monitorowany, ale nie sprawdzano na bieżąco rejestrów. Kylven włożył pendrive do portu i zaczął kopiować dane. Zaznaczał foldery, aż nośnik pamięci zaprotestował, tłumacząc się limitem pojemności. Licznik wskazał, że proces zajmie trzy minuty. Mężczyzna wstał i podszedł do regału, na którym leżały mniejsze pudełka. Nie czytał naklejek, ponieważ większość nazw nic mu nie mówiła. Wiedział jednak, że przedmioty tutaj przechowywane muszą być wartościowe i użyteczne. Jego uwagę zwróciło jedynie pudełko, na którym mazakiem nabazgrany był napis „Oko Wolverberga”. Kirkhammer łąpczywie chwycił drewniany pojemnik i otworzył go. W środku znajdował się kamień, wielkości kurzego jajka. Przypominał rubin. Wrzucił go do torby przy pasku, razem z innymi przedmiotami. Wrzucił złote monety, kryształy, kamienie, kawałki metalu i skał, medaliony i pierścienie. W końcu przestrzeń w jego niewielkiej torebce skończyła się, więc wojownik bez żalu wrócił do komputera, wyjął pendrive, wylogował się i wyłączył urządzenie. Opuścił archiwum i ponownie przesunął kartę przez czytnik, zamykając wrota. Błysnął na drugą stronę krat i wrócił na schody. W połowie klatki schodowej wymacał niewielką dźwignię po prawej stronie i nacisnął ją. Fragment betonowej ściany przesunął się, wpuszczając zapach zatechłego, wilgotnego korytarza. Wojownik wszedł w ciemność. Liczył w myślach kroki, stąpając miękko i przesuwając dłońią po ścianie. Po osiemdziesięciu trzech krokach zatrzymał się i pchnął znajdujący się przed nim blok betonu. Przejście otworzyło się, podobnie jak przy wejściu, jednak po drugiej jego stronie podskoczył jak oparzony obudzony strażnik. Kylven skoczył na niego bez zastanowienia i kopnął w twarz. Głowa żołnierza odbiła się od przeciwległej ściany, zostawiając na niej małą, czerwoną plamkę. Kirkhammer skręcił w prawo i wszedł po schodach. Skierował się na lewo. Na końcu przejścia znajdował się pokój zasilania. Mężczyzna doszedł do jego drzwi i odwrócił. Miał przed sobą ciężkie, metalowe drzwi, dzielące go od Rhagliona. Zapukał. Mała zasuwka odsunęła się, ukazując świńskie oczka Klauna. Kat niczego nie zobaczył, ponieważ Kylven natychmiast błysnął. Podczas przelatywania przez szparę

wizjera, jako chmura rozgrzanych gazów i popiołu, poparzył twarz grubasa. Jego gałki oczne pękły, wylewając się spomiędzy palców krzyczącego mężczyzny. Kirkhammer jednak nie zwracał na niego uwagi. Podbiegł do metalowego krzesła, na którym spoczywał jego przyjaciel. Chwycił twarz Dawnstara w dłonie i uniósł ją. Spuchnięta maska prawie w ogóle nie przypominała jasnego i roześmianego oblicza, które pamiętał. Głowa Rhagliona wyglądała jak chory, przerośnięty pomidor, pęknięty w miejscu, w którym powinny być usta. Zamęczony kompan nie oddychał. Nie miał tętna. Obrażenia na ciele odpowiadały temu, co Kylven zobaczył we śnie. Wstał z klęczek. Nie widział już niczego. Cały jego świat zniszczony, spalony i podeptany, jego piekło utracone, koszmar, który je zastąpił, wszystko skupiło się w obmierzłym cielsku szlochającego Klauna. Kirkhammer złapał kata za ubranie i dźwignął na nogi.

– C–c–c–co... co ty robisz? – załkał ślepy grubas, sparaliżowany bólem i strachem.

– Zabijam potwory – powiedział Kylven, głosem jeszcze straszniejszym niż ten, który otrzymał po przemianie w swoją obecną postać. Następnie zatłukł Klauna, rozkoszując się każdym rozbryzgiem krwi i mózgu. Walił pięściami, aż czaszka kata stała się jedynie obrzydliwym wspomnieniem.

Ogarnięty furją demon, wszedł do pokoju zasilania i powyłaczał generatory, prądnice oraz całą rozdzielnię prądu. Kompleks pograżył się w ciemności. Łączność została zerwana. Budynek był odcięty od świata i zdany na łaskę potwora. Kirkhammer wyszedł za drzwi i wyciągnął Furię z pochwy.

– Nie zasługujecie, żeby żyć – mówił do siebie. – Nie wyjdę stąd, dopóki nie utopię was we własnej, cuchnącej krwi.

Zgodnie z jego oczekiwaniami na korytarze zaczęli wybiegać żołnierze z latarkami. Błędne światełka towarzyszyły przekleństwom i wydawanym sobie nawzajem komendom. Kylven stanął na skraju snopa światła, rzucanego przez jedną z latarek. Jasna struga zamarła. Po chwili dołączyły do niej kolejne. Kirkhammer usłyszał jak Ręce rzucają karabiny, pistolety i strzelby, przeświadczone o ich bezużyteczności. Zasyczały miecze. Młot uśmiechnął się i błysnął w sam środek stłoczonego tłumu. Poparzył i podpalił tego na czele. Ciął

kogoś przez brzuch. Ktoś krzyknął. Ktoś zginął starając się zatrzymać krwotok z poderżniętego gardła. Światła błyszcząły, ostrza żołnierzy uderzały w ściany i siebie nawzajem. Kylven nie pudłował. Czuł ich. Widział ociekające przerażeniem ciała, szamoczące się w brudnych mackach amoku. Zawirował, zamłynkował pozbawiając głowy kolejnego mężczyznę. Został tylko jeden. Nie uciekał. Stał spokojnie z szablą uniesioną nad barkiem. Ku zdziwieniu Kirkhammera, zaatakował pierwszy. Odważnie i heroicznie. Wojownik był jednak zbyt opętany szalem i krwią, aby docenić te szlachetne cechy. Pozwolił ukośnemu cięciu zsunąć się po ostrzu i nacierał dalej uderzając przeciwnika prawym łokciem w twarz. Nie zwalniał. Minał wroga, zrobił półpiruet i z impetem odrąbał nogę żołnierza, posyłając go jednocześnie w powietrze. Następnie, przerażał upadające ciało na pół, potężnym cięciem znad głowy. Kylven szedł dalej. Wszedł do północnego korytarza, który zaczął wypełniać się jasnością latarek. Był jak duch. Błyskał, pojawiał się, rąbał i ciął, ozdabiając ściany czerwonymi wzorami. Światła latarek, pomieszane z ognistymi wybuchami, kiedy się przemieszczał, ukazywały białka oczu strażników. Błysk. Rozwarte w niemym krzyku, bo już rozplątane, gardło. Błysk. Łzy strachu na czerwonych od alkoholu i krwi towarzyszy policzkach. Błysk. Ucięte kończyny, wyprute wnętrzności, spalone kawałki materiału. Kylven szedł. Skręcił we wschodni korytarz, jednak nie było już tam nikogo. Wszyscy umarli zalewając czerwienią podłogi miejsca, w którym zginął ich zwierzchnik. Zabili tego, który ich bronił, uczył i darzył zaufaniem. Demon już miał wrócić po ciało przyjaciela, kiedy poczuł obecność. To było jak wylane na niego wiadro pomyj. Skierował się w stronę źródła impulsu. Doszedł do wyjątkowych, drewnianych drzwi. Przyłożył do nich ucho. Za deskami Delissa właśnie udawała orgazm. Musiała udawać, ponieważ takiego szczytowania jeszcze u niej nie słyszał. Stękała, zamiast krzyczeć i szeptała imię Nerquera Blodlettera. Od tamtej chwili, Kylven nie miał kontroli nad swoimi poczynaniami. Wszystko zdawało się filmem, który ktoś wyświetlił mu na siatkówce. Obserwował, jak jego dłoń wędruje do klamki. Zdziwił się, że ustąpiła. Wślizgnął się do pokoju i zobaczył baraszkuje parę. Czarne loki podskakiwały na głowie łącznika, jego pośladki podrygiwały rytmicznie pomiędzy udami czarodziejki. Jego pleców nie znaczyły żadne zadrapania, chociaż



ciemność mogła oszukać ogarnięty mgłą nienawiści umysł Kirkhammera. Mężczyzna patrzył, jak jego własna ręka, a jakby zupełnie mu obca, chwyta za nóż z wyszczerbionym ostrzem, leżący na srebrnym talerzyku z serem. – *Rany nim zadane muszą boleć.* – pomyślał. Kochankowie byli tak sobą zajęci, że nie zwrócili uwagi na przytłumione krzyki i przerwę w dostawie prądu. Kylven tym bardziej nie zasłużył na ich uwagę. Wojownik bardzo się zdziwił, kiedy jego kierowane przez jakąś straszliwą moc członki, chwyciły włosy Nerker . Tym bardziej nie mógł otrząsnąć się z szoku, kiedy te same dłonie poderżnęły gardło Ostrza tak głęboko, że nóż zazgrzytał na kręgosłupie i przytrzymały jego głowę nad twarzą Delissy. Mężczyzna szarpał się tylko chwilę. Stormbringer, wręcz przeciwnie. Machała rękami, krzyczała i pluła krwią kochanka, która zalewała ją jasnoczerwonymi, rytmicznymi falami. W końcu, czarodziejka odzyskała rezon i wyemitowała falę kinetyczną, która posłała Młota i ciało Bloodlettera do tyłu z siłą tarana. Biedny Nerker, wylądował na ścianie, rozplaszczając się na niej i zostawiając odcisk, przypominający orła, którego robi się na śniegu. Kylven ujrzał w swojej ręce Furię. Delissa stała naga, ozdobiona jednolitą czerwienią, z wyrazem nienawiści, zgrozy i obrzydzenia. Nic nie powiedziała. Rozpętała piekło. Piorunom nie było końca. Kirkhammer nie mógł uwierzyć, że odbił je wszystkie, tym bardziej, że wcale nie chciał. Nie chciał tutaj wejść, nie chciał zabić łącznika. Chciał stąd jak najszybciej uciec, zapaść się pod ziemię i zniknąć. Tymczasem niwelował próby Stormbringer, skierowane na pozabawienie go fizycznej formy. W końcu jedna z błyskawic trafiła go w pierś. Poczul ból. Wszystkie jego mięśnie napięły się boleśnie rzucając go na kolana w spazmach i drgawkach. Delissa malowała przed sobą ogromną sferę plazmy, która mogłaby stopić jego i wszystko na swej drodze, w odległości bodajże stu metrów. Tak przynajmniej czarodziejka się kiedyś przed nim chwaliła. Musiał błysnąć. Tak też zrobił, jednak w niespodziewanym dla siebie kierunku. Pojawił się tuż przy niej, dzierżąc obie klingi, które wbił w brzuch ukochanej. Niszczycielskie zaklęcie zostało przerwane. Czerwień ust Delissy rozwarła się w westchnieniu, które rozerwało serce Kylvena. Uniósł ją na mieczach, które oparły się o żebra, tak jak kiedyś unosił w swoich ramionach. Kobieta chwyciła jego dłonie, zaciśnięte na rękojęściach i

spojrzała w szalejącą mgłę w czarnych oczach.

– Nigdy nie powinnam się do ciebie zbliżyć. Nie powinnam cię po tym wszystkim zostawić. Nie powinnam wezwać cię do siebie, na pewną śmierć. Co ja ci zrobiłam... – po tych wyszeptanych słowach, dotknęła miejsca, w którym powinien być policzek Kirkhammera i umarła. Siła, która kontrolowała wszystkie jego ruchy, pętając ciało potężnymi łańcuchami, nagle zniknęła. Wypuścił miecze, patrząc jak bezwładne ciało ukochanej opada na łóżko. Mężczyzna znalazł się w pustce. Patrzył na dzieło swoich rąk i nie mógł uwierzyć. Przez chwilę miał nadzieję, że jego sen jeszcze się nie skończył. Myślał, że zaraz obudzi się w pałacu, pod baldachimem i pójdzie przywitać Jemibę. Kylven Kirkhammer nie potrafił już płakać. Jego odmienione ciało nie było do tego zdolne. Upadł więc na kolana, przytulił mocno do siebie ciało martwej Delissy Stormbringer i zawył. Ten potępieńczy szloch wypełnił zbryzgane posoką korytarze, odnalazł nawet zwłoki Rhagliona. W ciemności niczego nie było widać. Kiedy Ręce opowiadały o masakrze pod Aegilith lubiły jednak dodawać, że na dźwięk tego wycia, martwe ciała zarżniętych przez demona żołnierzy, zdawały się uśmiechać blado i upiornie.

# *Część III*

## *Rozdział 1*

Jemiba siedziała na ergonomicznym, obrotowym fotelu w laboratorium, zajęta pracą przy skafandrze do nurkowania. Przeszarżały strój powinien wytrzymać ciśnienie wody na wielkich głębokościach, tym bardziej, że posiadał system jego wyrównywania. Dłubała właśnie przy wyrzutni harpunów. Miś leżał obok, roztaczając senną aurę spokoju. Na jednym z monitorów głównego komputera pojawiło się ostrzeżenie o nadchodzącej burzy. Kobieta miała nadzieję, że grobowiec wydrążony za pomocą czarów w zboczu góry jest dość szczelny. Przez chwilę, zbłądziła do wspomnień dwóch ciał, zawiniętych w najlepsze prześcieradła i złożonych na zimnych kamieniach. Prawie zobaczyła przed oczami wyryte na ścianie nad nimi imiona. Odpędziła od siebie w pośpiechu te myśli. Na sąsiednim monitorze wyświetlał się program stacji telewizyjnej. Od tygodnia głównym tematem była masakra pod Aegilith. Kościół wykorzystał okoliczności i oskarżył Kylvena o zabójstwo nie tylko całej załogi budynku, Delissy i Nerker, ale także Rhagliona. Kirkhammer stał się najbardziej poszukiwaną i znienawidzoną istotą na ziemi. Negatywne emocje były podsycane przez drastyczne zdjęcia zakrwawionych korytarzy i relacje rodzin ofiar. Oliwy do ognia dolewały także informacje o tym, że ciało Stormbringer i Dawnstara nie odnaleziono. Przejaskrawione spekulacje, opinie patologów i ekspertów kryminalistyki na temat obrażeń stwierdzonych u Rąk i Ostrza kreowały bardzo niekorzystny portret Zbuntowanego

Młota Kościoła. Jemiba widziała w swoim życiu naprawdę wiele scenerii po potyczkach, jednak musiała przyznać, że Kylven tamtej nocy przeszedł samego siebie. Skafander był skończony. Brakowało tylko kogoś, kto by go użył. Jemiba wstała i zabrała z biurka amulet. Piękny kamień w kolorze głębokiej czerwieni znaczyły skomplikowane runy i inskrypcje. Oprawiony został w srebrne obejmy, które otaczały klejnot niczym cztery chude palce i łączyły się z misternym łańcuszkiem. Czarodziejka pogłaskała Misia, który leniwie otworzył oko i polizał jej dłoń. Następnie podniósł się i posłusznie podreptał do windy. Wjechali na górę. Jemiba poszła do sypialni Kylvena, a niedźwiedź oddalił się do swoich niedźwiedzich spraw. Czuła się nieswojo przed tą rozmową. Nie było jednak czasu na dłuższą żalobę. Zapukała do drzwi. Odpowiedziała jej złowróźbna, ciężka i łamiąca serce cisza. Nacisnęła jednak klamkę i weszła do środka. Kylven leżał na łóżku, przecinając mętnym wzrokiem baldachim, sufit, a najprawdopodobniej również dach i pochmurne niebo nad nim. Pokój wyglądał, jakby nikt w nim nie mieszkał od jakiegoś czasu. Meble pokryły się cienką woalką kurzu, jakby chcąc ukryć się przed swoim lokatorem. Czarodziejka usiadła na skraju łóżka.

– Jak się czujesz? – zapytała. Znowu nie doczekała się odpowiedzi. – Siedzisz tutaj już cały tydzień. Patagon jest niespokojny. Nawet Miś jest jakiś taki nieswój – zrobiła krótką pauzę. – Martwię się, Tygrysie. To nie była twoja wina. To nie byłeś ty. Wiem o tym. Nigdy byś tego nie zrobił.

Kirkhammer odwrócił głowę w jej stronę. Przywykła do jego nieludzkiej, spalonej twarzy, ale tamtego dnia wyglądał wyjątkowo upiornie. Jedyne źródło emocji w tym obliczu – niesamowite oczy, ogarnięte szkarłatną mgłą, były jakby martwe.

– Nie mogłem nic zrobić. To było tak silne... Silniejsze od czegokolwiek, z czym się spotkałem. Nie mogłem tego zatrzymać... Zabiłem ją, Jemi. Nie zapobiegłem temu, więc jestem za to odpowiedzialny.

– Skoro nie mogłeś, to nie możesz siebie winić.

– Jemi, całe życie starałem się być silny. Dostałem tę moc i przyrzekłem sobie, że z jej pomocą nie dopuszczę, aby stała się jej krzywda. Umiem w mgnieniu oka zabić, przenieść się z miejsca na

miejsce, jednak nie potrafiłem obronić ani jej, ani jego.

Kobieta zauważyła, że przyjaciel nie potrafi wypowiedzieć imion Rhagliona i Delissy, a jego głos coraz bardziej drży.

– Kylv, znam cię. Wiem, że oddałbyś za nich życie. Nawet to zrobiłeś, dla niej. Wielka potęga nie przychodzi za darmo. Nauczysz się ją kontrolować. Pomogę ci. We wszystkim ci pomogę.

– Boję się, Jemi – mężczyzna odwrócił wzrok i wbił go w lustro na drzwiach szafy. – Boję się, że znowu nie będę mógł nad tym zapanować. Boję się, że zrobię ci krzywdę.

Jemiba położyła się obok i przytuliła do przyjaciela. Jak zwykle drgnął pod jej dotykiem.

– A ja wiem, że nic mi nie zrobisz. Nie pozwolisz sobie na to. Ja też na to nie pozwolę. Ja się nie kurwię na lewo i prawo, i nie tracę przy tym rozeznania w otaczającej sytuacji. Proszę cię, wyjdź na zewnątrz. Nie możesz już nic poradzić na to, co się stało – po tych słowach kobieta wstała, zostawiając na piersi Kylvena amulet i małą karteczkę.

– Musisz wziąć się w garść. Potrzebuję cię. Nie pozwól, żeby to wszystko, przez co już przeszedłeś, poszło na marne. Oni nie zginęli nadaremno.

Kiedy Kylv został w sypialni sam, wstał z łóżka i wziął do ręki amulet. Założył go na szyję, a następnie przeczytał instrukcje na kartce.

*„Obróć go w palcach, jak monetę. Następnie, powiedz zakłęcie. Pamiętaj, ja znam obie strony twojego medalu. Zawsze jednak pamiętam tylko tę lepszą.”*

Pod spodem, zapisane pochyłym pismem, było krótkie, składające się z trzech słów zakłęcie. Kirkhammer nie pamiętał jaki to język, ale wiedział jak je poprawnie wypowiedzieć. Stał przed lustrem, obrócił medalion między kciukiem i palcem wskazującym, po czym wyszeptał formułę. Kamień błysnął lekko, obraz w lustrze zafalował i rozmył się. Powłoka zewnętrzna mężczyzny zdawała się spływać z niego, niczym topiący się воск. Spod niego, wyłonił się człowiek. Kylven otworzył usta. Zobaczył swoje gołe od pasa w górę ciało. Pokryte skórą. Żarzące się symbole, które oplatały go przed chwilą od stóp do samej głowy, zniknęły. Pod palcami czuł wyraźnie zdrową tkankę. Odzyskał też twarz. Mógł zamrunąć, uśmiechnąć się. Iluzja była doskonała. Wyglądał dokładnie tak, jak podczas wizyty w domu rodzinnym Jemiby.

Nie dał się jednak ponieść euforii. Przekręcił amulet jeszcze raz. Dokładnie tak, jak przed momentem, jego skóra rozmyła się i spłynęła, ukazując potworne oblicze, do którego niemal już przywykł. Przemiana w tę stronę wyglądała dużo bardziej upiornie. – *Pamiętaj kim i czym jesteś* – nakazał sobie w myślach, po czym znowu stał się człowiekiem.

Kylven zastał Jemibę stojącą na tarasie. Zaczynało zmierzchać, a nadchodząca jesień dawała o sobie znać zimniejszym niż zwykle wiatrem. Mężczyzna podszedł od tyłu do kobiety wpatrzony w zmarszczoną taflę jeziora i bezkres lasu za nim, który zaczynał nieśmiało mienić się czerwienią i złotem. Okrył ją zabranym po drodze szlafrokiem. Czarodziejka poprawiła ułożenie materiału i odwróciła się. Zamarła. Najwyraźniej była pod wrażeniem własnej pracy, lub nie wierzyła w swoje umiejętności. Jej usta rozchyliły się lekko w niemym zdumieniu, a oczy zaiskrzyły i delikatnie się załzawiły, co pospiesznie ukryła. Niepewnie dotknęła policzka przyjaciela. Tym razem, Kirkhammer nie zadrżał. Kobieta przez chwilę przesuwiała drobną dłoń po iluzorycznej skórze, napawając się wrażeniem jej autentyczności.

– Witaj, przystojniaku – powiedziała głosem, którego ton brzmiał niczym trzepoczący w klatce koliberek.

– Witaj, Gwiazdooka – odrzekł z uśmiechem, pierwszym od bardzo dawna. Miał wrażenie, że nie uśmiechał się od tysiącleci.

Zachodzące powoli słońce rzucało dwa długie cienie tulących się do siebie postaci. Wiatr grał strunami balustrad i dachówek piosenkę o tęsknocie, rozstaniu i długo wyczekiwanym powrocie. Cały świat zatrzymał się na ułamek sekundy, wzruszony tą sceną. Przez moment, galaktyka osiągnęła temperaturę zera absolutnego i każdy atom, każda cząstka elementarna zaprzestała swojego wiecznego ruchu. Po chwili, jasnym stało się, że nie może to trwać, więc wszechświat otrząsnął się z zachwyty i podjął codzienny bieg. Tylko dwoje przyjaciół, stojących na tarasie pałacu, na szczycie Rysy na Lustrze, obejmowało się jeszcze. Kiedy w końcu udało im się oswobodzić ze swoich ramion, bez słowa przeszli do wnętrza pałacu i skierowali do windy. Patagon przyglądał się temu wszystkiemu, przycupnięty na dachu wieży zegarowej. Uznawszy, że dwójka oddaliła się dostatecznie daleko w głąb budynku, zaskrzeczał radośnie, a schowany za bramą trytona Miś, zawtórował mu przeciągłym rykiem.

Po zjechaniu do laboratorium Jemiba przeszła do głównego komputera. Na wszystkich monitorach pojawił się odczyt z wykrywacza tachionów oraz orientacyjna lokalizacja źródła.

– Kościół bardzo gorliwie teraz na ciebie poluje. Słyszałam pogłoski, że robią się brutalni w swoich metodach i powoli przestają się z tym kryć.

– Kolaius i ta przeklęta Rada to teraz główne cele. Nie pozwolę, żeby to, co zrobili Rhaglionowi uszło im na sucho – powiedział Kylven z wyraźnym gniewem na twarzy.

– W zupełności cię rozumiem. Myślę jednak, że wypowiedzenie otwartej wojny Kościołowi to głupie posunięcie. Są teraz wspierani przez służby mundurowe w każdym kraju.

– Co w takim razie proponujesz? Polować na te domniemane bestie, podczas gdy oni będą wyrzynać sobie drogę do informacji o mnie? – Kirkhammer chciał zachować spokój w głosie. Nie udało mu się to i wyraz twarzy Jemiby sprawił, że zrobiło mu się głupio.

– Pomyśl przez chwilę. Jeżeli te potwory faktycznie stoją za zastępami potworów, to zlikwidowanie ich pozbawi Kościół racji bytu. Instytucja stanie się zbędna. Stracą dofinansowanie i wsparcie, osłabną. Wtedy uderzysz w nich z pełną siłą.

Wojownikowi nie podobało się ukrywanie przed zwyrodnialcami stojącymi na czele Kościoła. Niechętnie musiał przyznać przyjaciółce rację.

– No dobrze. W takim razie, co zamierzasz? – zapytał, patrząc na monitory.

– Jak widzisz, jedno ze źródeł tachionów znajduje się na Mroźnym Morzu, trzysta kilometrów na północ od miasta Lulacile. Konkretnie, gdzieś przy jego dnie.

– Więc po to ten skafander... – skwitował Kylven. – Chcesz zatem popłynąć tam, wsadzić mnie do tej puszki i wypchnąć za burtę? – zapytał nieco tylko żartobliwie.

– Mniej więcej – zaśmiała się kobieta. – Skończyłam dzisiaj pracę nad nim. Jest w pełni gotowy. Zobacz – powiedziała, prowadząc mężczyznę do skafandra. – Jest w pełni szczelny, wytrzyma ciśnienie panujące na głębokości pięciuset metrów. Jak widzisz, na prawym nadgarstku zamontowałam wyrzutnię harpunów. Właściwie harpuna.

Zamontowany jest jeden. Jeżeli chodzi o poruszanie się, to przy każdej konieczności jest niewielki silniczek, dzięki którym można zwinnie manewrować. Możesz też wykorzystać je do wzmocnienia ataków. To z kolei – powiedziała dumnie Jemiba, pokazując dziwaczne urządzenie na lewym przedramieniu kostiumu – jest laser.

Kylven popatrzył na wzmocniony słoik, w którego wnętrzu zamocowany był niewielki kryształ, za serią soczewek. Z boku, urządzenie miało małą korbkę.

– Zamontowałaś laser... Na korbkę?

– Nie patrz tak! – zirytowała się czarodziejka, urażona uwagą na temat swojego popisowego dzieła. – To wyrafinowany laser argonowy. W środku jest kryształ energetyczny, który wzbudza atomy i...

– Wiem jak działa laser. Powiedz mi tylko, dlaczego na korbkę? Są inne sposoby na wymuszenie emisji.

– Nie ucz mnie konstrukcji laserów – powiedziała Jemiba, marszcząc czoło. – Kręcąc korbką, wytwarza się prąd, który wymusza emisję fotonów. Soczewki wzmacniają wiązkę. Jedynym problemem jest to, że wymianę kryształu można przeprowadzić tylko na powierzchni, więc jest... jakby to powiedzieć, jednorazowy.

– Rozumiem, że mam go zachować na sytuację kryzysową – podsumował Kylven. – No nie dąsaj się! – powiedział do przyjaciółki, która z założonymi rękoma patrzyła w sufit. – Naprawdę imponująca robota. Kiedy ruszamy?

– Jak najszybciej – rzekła, odrzucając niesforny kosmyk włosów. – Musimy znaleźć w porcie miejskim jakąś łódź, którą będziemy mogli wynająć.

– Twój majątek nie obejmuje jachtu? – zapytał kąśliwie Kirkhammer.

– Jak nie zginiesz na dnie tego cholernego morza, to ja cię w końcu zabiję – odparła kobieta, dając mężczyźnie kiksa pod żebra.

– Uwielbiam, kiedy się złościś – krzyknął za Jemibą, która wchodziła już do windy.

– Przenieś skafander na górę, proszę – fuknęła, nie odwracając się. Z tonu głosu Kylven wywnioskował jednak, że kobieta się uśmiecha.

– Nie możesz go po prostu przeteleportować?

– Kochany, mówiłam ci, że te skały nie przepuszczają żadnego promieniowania, zatem teleporty z ani do laboratorium nie działają.



Wojownik westchnął i przymierzył się do ciężaru. Skafander faktycznie był ciężki. Dokładnie tak ciężki, na jaki wyglądał. Na szczęście, pomimo odzyskanego dawnego wyglądu, Kylven nie był człowiekiem i przeniesienie stroju do windy nie sprawiło mu trudności większej, niż normalnemu mężczyźnie transport fotela.

## *Rozdział 2*

Różnica czasu sprawiła, że miasto Lulacile leniwie budziło się już do życia po pogodnej nocy. Jemiba przeteleportowała się sama, ponieważ Kylven był poszukiwany i mógłby zostać rozpoznany. Mieli się spotkać, kiedy kobieta załatwi łódź. Czarodziejka ubrana w swobodny lecz idealnie dopasowany strój, wyszła z wąskiej, bocznej uliczki wprost na deptak. Nikt jeszcze nie zmierzał do pracy. Odgłosy pracy dobiegały jedynie z piekarń oraz portu. Tam właśnie się kierowała. Jemiba lubiła Lulacile. Mieszkańcy każdego wieczoru dosłownie wybiegali ze swoich miejsc pracy i oblegali wszystkie możliwe restauracje, puby i kluby nocne. Do późnych godzin śmiali się, jedli owoce morza, pili wzmacniane bourbonem wino i tańczyli na ulicach. I ta architektura. Miasto położone było na nadmorskim wzgórzu, a poszczególne dzielnice układały się jedna nad drugą, na kształt ogromnych schodów. Bogato zdobione balkony, świątynie o złożonych iglicach, drewniane sklepiki, skwery pełne pomników i wspaniałe place. Wszystko to, dodatkowo ukwiecone i usiane parkami. Tak, Jemiba bardzo lubiła Lulacile. Szła brukowanym deptakiem, mając po obu stronach drogie sklepy miejscowych rzemieślników. Rozglądała się bardzo ochoczo, podziwiając wystawy i ekspozycje, jednak nie zatrzymywała się przy żadnej. Zmierzała do portu, a konkretnie do karczmy „Pod Rżniętym Łososiem”. Miejsce tak naprawdę nazywało się „Pod Łososiem”, ponieważ takie przydomkiem nosił właściciel. Dawno temu wyszło jednak na jaw, że ów jegomość niezmiernie lubi być ruchany w dupsko przez spragnionych czułości żeglarzy. Trzeba dodać, że kobiety w Lulacile nie mogły doświadczyć tylko najbardziej paskudne, największe, pryszczate

lub upośledzone wilki morskie, co nie poprawiło wizerunku Łososa. Tak czy inaczej, w karczmie tej lubili przesiadywać doświadczeni kapitanowie, którzy morzu oddali swe życie i nie odrzucał ich obrzydliwy zapach miejsca, bród oraz niewyszukane towarzystwo. Kogoś takiego Jemiba właśnie potrzebowała. Ciche ulice powoli wypełniały się zaspanymi ludźmi. Niektórzy z nich podnosili z ziemi ulotki lub czytali rozwieszane na słupach ogłoszenia. Wszędzie uwieczniona była twarz Kylvena, a także jego demoniczne alter ego. Większość krzywiła się na widok tych zdjęć, część szeptała ciche przekleństwa, inni po prostu zgniatali ze złością papier i pozbywali się ohydnych kulek przy najbliższym śmietniku. – *Oburzajcie się do woli.* – myślała zde gustowana Jemiba. – *On jest wart więcej niż wy wszyscy razem wzięci.* Kobieta ignorowała dalsze napotymane objawy wrogości i oburzenia. Nie przykuła także uwagi do wielkiego telebimu, który atakował jaskrawymi obrazami z informacją o nagrodzie dla każdego, kto przyczyni się do pojmania lub zabicia Byłego Czempiona Ostrzy. W jednej chwili miasto Lulacile jej obrzydło. Na szczęście wchodziła już do portu. Stożące przy kejach jachty żaglowe i motorowe kołysały się lekko na wodzie. Fały uderzały cicho o maszty, co w połączeniu z krzykiem mew i zapachem morza, poprawiło czarodziejce humor. Stała przed piętrowym budynkiem, pomalowanym dawno temu na brunatny kolor, który teraz przypominał dawno zaschnięte błoto pomieszanego z rzadkim gównem poważnie chorego człowieka. Dyskretnie rzuciła zakłęcie tłumiące zmysł powonienia i weszła do karczmy. Zza drzwi buchnął w nią obłok rozgrzanego powietrza, które osiadało na skórze jak lepka maź. Czas anosmii był najlepszym pomysłem, jaki dzisiaj przyszedł Jemibie do głowy. Podeszła do baru, za którym stał otyły Łosoś. Pomimo wysokich standardów higieny, ogólnie dostępnej wody i środków sanitarnych, ludzie nadal kompletnie o sobie nie dbali. Właściciel łysiał, jednak nie ogolił głowy, pozostawiając żałosne kępki włosów, porozrzucane po jego czasce niczym opuncje na stepie. Zębów miał niewiele, choć lepiej gdyby ich nie miał, ponieważ wszystkie pozostałe były zepsute. Ubrany w poplamioną koszulę, wycierał ładę. Czarodziejka zamówiła kufel piwa, którego i tak nie miała zamiaru wypić i usiadła w rogu, aby móc widzieć innych gości. Było ich niewielu. Dwóch zapijaczonych marynarzy,

leżących na stole. Trójka podejrzanych typów o śmiechu, od którego bolały zęby i jęczało w mękach szkło, bawili się w najlepsze, rzucając prostackie żarty. Najwyraźniej nie zauważyli, że noc już się skończyła. Na środku sali, siedział samotny mężczyzna, pociągając co chwila z wielkiego, glinianego kufła z metalową pokrywką. Na głowie miał czarną, wełnianą czapkę, ubrany był we flanelową koszulę. Jego twarz pokrywała gęsta, ruda broda. Osobnik wyglądał jak kapitan kutra rybackiego z jakiegoś starego, tandetnego filmu o morskiej katastrofie. Jemiba przysiadła się do niego. Mężczyzna podniósł na nią bystre, zielone oczy. Wzrok miał bystry, co w tym miejscu było towarem deficytowym.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – zapytał, zupełnie niewzruszony wdziękami kobiety.

– Bez przesady. Chcę porozmawiać o interesach. Wygląda pan na kogoś, kto mógłby wynająć mi łódź.

– Aż tak widać, że jestem żeglarzem? – mężczyzna z autentycznym zdziwieniem spojrzał po sobie.

– *Jednak nie odstaje od tej speluny tak bardzo* – pomyślała Jemiba.  
– Wygląda pan na doświadczonego kapitana.

– Nieważne jak wyglądam. Żeglowałem od Lulacile aż po krańce Mroźnego Morza, a nawet dalej, za Przylądek Wisielców. Dokąd chcesz płynąć?

– Na północ – powiedziała oszczędnie kobieta. – Potrzebny mi tylko statek na dwa lub trzy dni. Dobrze zapłacę.

Mężczyzna spojrzał na swoją rozmówczynię bardziej podejrzliwie.

– Mam oddać w twoje ręce moją Mokrą Wywłokę? Chyba się, panienko, z rozumem rozminęłaś.

– Z niczym się nie rozminęłam. Zależy mi na dyskrecji. Wie pan... – pochyliła się tajemniczo nad stołem, zmuszając żeglarza, aby zrobił to samo. – Jestem dosyć znana w moim kraju. Gram w filmach. Moi rodzice są bardzo ortodoksyjni.

– Ortodo... Co?

– Mają wielkiego, sztywnego kija w dupie – wyjaśniła Jemiba. – Wczoraj potajemnie wzięłam ślub z moim ukochanym. On jest z biednej rodziny. Rodzice oszaleją, gdy się dowiedzą. Chcemy spędzić chociaż kilka dni z dala od wielkich miast. Mam wielki sentyment do Mroźnego

Morza. Rozumie pan?

Wielki mężczyzna odchylił się na krześle i pogładził okazałą brodę.

– Rozumiem, panienko. Straszna sprawa. Moi rodzice też byli bardzo sztywni w tych sprawach, niech Pan Mórz ukoj ich wieczny, podmorski sen. Właściwie, to mógłbym pomóc, nie mam teraz rejsu w planach... Ale to będzie kosztować.

– Ile? – zapytała niecierpliwie czarodziejka.

– Przynajmniej tyle, żebym w razie czego mógł kupić nowy kuter – powiedział żeglarz, łypiąc chytrymi oczami.

– Ile? – powtórzyła.

– Dwadzieścia tysięcy escudo – rzucił żeglarz, starając się nadać pewności tonowi swojego głosu.

– Dam dwadzieścia pięć i proszę o dyskrecję – odparła Jemiba, ciesząc się w duchu, że marynarz nie miał wygórowanych wymagań odnośnie swoich kryp.

Wilk morski prawie podskoczył z radości. Zachował jednak pozory profesjonalizmu w negocjacjach i wyciągnął swoje popękane i suche jak wiór łapsko. Czarodziejka uściśnęła dłoń zdziwionego rozmówcy, uśmiechając się zwodniczo.

– Zapłacę, kiedy już będziemy z Dziubdziusiem na pańskiej łodzi.

– Na Mokrej Wywłóce – poprawił zawiedziony żeglarz. – No zgoda. Ja jestem człowiek uczciwy, ale mądrze ze strony panienki. Chuja warci teraz są ludzie, ot co.

– Zgadzam się. Czy możemy się zaokrętować dzisiaj wieczorem?

– Oczywiście. Wywłoka stoi przy najdalszej kei, idąc od strony tej karczmy. Numer miejsca to czternaście.

– Wspaniale. Zjawimy się około ósmej wieczorem. Dobrze się z panem prowadzi interesy. – zakończyła Jemiba i wstała od stołu.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Do zobaczenia, panienko. Ten twój kochaś to wielki szczęściarz.

– *Nawet on sam nie ma pojęcia, jaki* – pomyślała kobieta i roześmiała się w duchu.

Kylven i Jemiba stawili się przy Mokrej Wywłóce dokładnie za pięć ósma. Wojownik ukrywał twarz pod kapturem, jednak przechodnie i zajęci sobą marynarze nie zwracali uwagi na dwójkę trzymających się za ręce postaci. Poza tym, nie mieli do pokonania długiej drogi,

ponieważ Jemiba otworzyła portal na skraju portu, w zaułku za karczmą „Pod Rżniętym Łososiem”, do którego niewielu miało ochotę się zapuszczać. Łosoś miał w zwyczaju wylewać do tamtejszej kratki ściekowej wszelkie nieczystości, których nie dało się splukać w ubikacji, co zaowocowało pokaźną kolekcją oślizgłych grzybów. Podobno, niektóre z nich zaczynały już snuć plany przejścia władzy nad miastem i kolonizacji całego świata. Dyskretna dwójka postanowiła przeteleportować skafander bezpośrednio na łódź, kiedy już oddalą się od miasta, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Miecze Kylvena i kilka drobiazgów, mieli spakowane w dwóch walizkach. W końcu, oficjalnie, wybierali się w podróż poślubną. Kapitana zmęczonego służbą kutra rybackiego nie było na pokładzie. Wołanie ani pukanie w burtę nie pomogły. Czekali więc cierpliwie, oglądając swój nabytek. Łódź była dość duża, na oko miała trzydzieści trzy stopy. Zadarty dziób i wysokie burty były przystosowane do cięcia morskich fal. Miejsca pod pokładem powinno wystarczyć na cały sprzęt, który mieli zamiar ze sobą zabrać.

– Już ósma – powiedział zaniepokojony Kylven. – Czy ten facet cię nie wykiwał?

– Na pewno nie – odrzekła Jemiba. – Znam się na ludziach. Zaraz tu będzie.

– Skoro jesteś taka pewna jego dobrych intencji, to pewnie się nie obrazi, jeżeli wrzucimy graty na pokład?

– Myślę, że nie będzie miał z tym problemu.

Kirkhammer wszedł na łódź, która zakołysała się leciutko, zabierając ze sobą walizki. Jemiba podążyła za nim. Drzwiczki prowadzące pod pokład, były oczywiście zamknięte. Kylven rozglądał się po łajbie, kiedy przyjaciółka szarpnęła go za rękaw jego pięknej kurtki. Mężczyzna podniósł głowę, po czym natychmiast wyważył drzwi kopniakiem i wrzucił przez nie obie walizki, wyjąwszy wcześniej Łaskę z jednej z nich.

– Mam już dosyć bycia robionym w chuja – powiedział gniewnie.

– To nie on – skwitowała Jemiba, krzątając się przy cumach.

Nie mieli jednak szans, aby zdążyć. Wkrótce, szybkim krokiem do łodzi doszły dwa dwudziestopięcio osobowe oddziały Rąk, targając zgarbioną postać o rozczochranych włosach.

- Wybacz, panienko – wydusił z siebie z trudem kapitan.
- Było nie kłapać dziobem, stary pierdzielu! – nie powstrzymał się jeden z żołnierzy i walnął marynarza w brzuch, powalając go na kolana.
- Donosiciele w tym mieście są wyjątkowo lojalni.

Kylven stał z uniesionym mieczem, mając przed sobą dwudziestu łuczników, z cięciwami gotowymi do strzału. Reszta, była uzbrojona w miecze, topory i okazałe włócznie. Może miał z nimi szanse, może nie. Bardziej martwił się o Jemibę.

– Kylvenie Kirkhammer, jesteś aresztowany za dezercję i zdradę Wielkiego Kościoła oraz morderstwo trzech jego Ostrzy, z rozkazu Przewodniczącego Kolaiusa oraz Rady – odezwał się stojący na przedzie, postawny wojownik z kolczastym morgenszternem – Złóż broń. Albo nie. Nam wszystko jedno. Teraz nie jesteś w ciemnej bazie. Nie masz szans. Ty, z kolei – zwrócił się do czarodziejki – jesteś oskarżona o wspieranie tego skurwiela, tak że podzielisz jego los.

– Niedoczekanie wasze – powiedziała przez zaciśnięte zęby Jemiba. Jej oczy zapłonęły błękitnym ogniem i uniosła przed siebie dłoń we władczym geście.

Kirkhammer skoczył. Automatycznie, skupiając się tylko na strzałach lecących w stronę przyjaciółki. Trzy. Jedna w prawe oko, druga w serce, trzecia w wątrobę. Łucznicy Kościoła byli doskonale wyszkoleni. Strzelali w takich sytuacjach jednocześnie, bez chwili wahania. To ich uratowało. Kylven machnął mieczem, zataczając płytki łuk i odbił wszystkie pociski. Reszta, wycelowana w niego, chybiła, nie nadążając za jego ruchami. Druga salwa była już gotowa, piechota z kolei gramoliła się na burty. Kirkhammer stanął w gotowości, kiedy Jemiba wykrzyczała zakłęcie, zaciskając dłoń w pięść. Wojownik patrzył, jak pięćdziesiąt ludzkich ciał zostaje zgniecionych w ociekającą krwią kulę. Wrzaski wypełniły całą marinę. Czarodziejka zaczęła poruszać rękoma, niczym wprawny malarz. Wśród cichnących po kolei krzyków, spod jej niewidzialnych pędzli zaczął wyłaniać się okręt, malowany zwłokami Rąk. Ich kości splatały się w upiorną ramę łodzi, powleczoną wkrótce gorącym jeszcze mięsem. Na środku, stanął maszt z kręgosłupów, ozdobiony olinowaniem jelit i krwawymi, skórzanymi żaglami. Głowa żołnierza, który uderzył kapitana, zajęła miejsce na dziobie, a z jej rozdziawionych ust wyrósł wspaniały bukszpryt. Jemiba wściekle

kończyła swoje dzieło, jednak Kylven już nie patrzył. Przeciął cumy i włączył silnik, widząc tłum zbierający się na kei oraz migoczące coraz bliżej niebieskie światła, którym wtórowały niezliczone syreny. Wyglądało to prawie jak uroczysta parada służb mundurowych z okazji wielkiego święta. Kiedy wojownik odbił od pomostu, na ich miejscu stanął w wodzie koszmarny jacht z ciał nieszczęsnych Rąk. Kirkhammer nie oglądał się na rosnący wokół niego okrąg czerwonej wody. Ruszył pełną parą w kierunku otwartego morza. Kuter podskakiwał i kołysał się w pędzie, jednak ster był dobrze skalibrowany i mężczyzna nie miał problemu z prowadzeniem. Kiedy obejrzał się w stronę rufy, ujrzał Jemibę, która skandowała właśnie kolejne zaklęcie, wyciągnąwszy ku niebu szczupłe ramiona. Po chwili, niebo za nimi pociemniało, a następnie rozświetliło się od błyskawic. Burza zaczynała się tuż za łodzią, pozostawiając tafelę przed nimi niemal niewzruszoną przez wiatr. Kobieta podeszła do koła sterowego i położyła przyjacielowi dłoń na ramieniu.

– To ich spowolni. Zdamy się oddalić – powiedziała, głosem szalonym od emocji.

– Na pewno mają na podorędziu maga, który będzie w stanie uspokoić ten sztorm – zwątpił Kylven.

– Znam Orsnera. To miejscowy czarodziej, a przede wszystkim stary pijak. Na pewno już jest urżnięty i nie da rady złożyć najprostszego kontrzaklęcia.

– Kościół nie wyśle tak po prostu kolejnego oddziału. Jak ktokolwiek zobaczy twoje dzieło, zastanowi się siedemnaście razy, zanim z nami zadrze – próbował zażartować mężczyzna, jednak nie wyszło mu.

– Jak oni mogli skatować niewinnego człowieka? Wystarczyłaby łapówka, szantaż. Żeby od razu wybijać komuś mózg przez uszy, żeby dostać jakąś informację? – kobieta spojrzała na przyjaciela. – Z kim ty się zadawałeś? – dodała, po czym odwróciła wzrok w stronę oddalających się światel Lulacile i zaczęła drzeć.

– Dlatego nie miałem swojego oddziału Rąk – powiedział stanowczo Kylven, po czym objął Jemibę i przytulił do siebie. – Zasłużyli na to. Nie tylko tym, ale wieloma innymi podobnymi sytuacjami. Nie żałuj ich. Ja żałuję, że tacy jak oni, doprowadzają do agresji takie osoby, jak ty.

Czarodziejka uniosła głowę, odgarnęła swoje ciemne, pachnące

włosy z twarzy i pocałowała Kirkhammera. Krótko, delikatnie, ale bardzo słodko. Potem uwolniła się z jego objęć, co nie było trudne, ponieważ wojownik zupełnie zdębiał i tylko gapił się, jak kobieta schodzi pod pokład. Kylven nie otrząsnął się z szoku przez całą noc, podczas której płynął przez ciemność, wpatrzony w busolę oraz oświetlaną latarką mapę. Obrął wyznaczony w pałacu kurs i sterował pod rozgwieżdżonym niebem, uśmiechając się niczym idiota. Uśmiech ten zniknął, kiedy jego myśli nawiedziła rozmowa na temat przyjaźni, którą odbył z Jemibą. To nieprzyjemne wspomnienie przywołało z kolei całą kawalkadę duchów przeszłości, które krążyły nad nim aż do poranka, który jak na złość nie chciał nadejść.

### *Rozdział 3*

Nad ranem Jemiba wyszła na pokład, aby zmienić Kylvena za sterem. Mężczyzna zszedł po schodach i ułożył się na niewielkiej koi. Materac pachniał perfumami przyjaciółki. Od cudownego zapachu Kirkhammerowi kręciło się w głowie, co w połączeniu z kołysaniem łodzi szybko utuliło go do snu bez snów. Czarodziejka trzymała kurs, rozglądając się co jakiś czas. Na horyzoncie nie było śladów pościgu. Nie chciała jednak przekonać się czy Kościół rzeczywiście uznał, że musi lepiej przygotować się do starcia z zabójczym duetem. Jemiba nie myślała o zdarzeniach z poprzedniego wieczoru. Skupiła się na kierowaniu. Błogiej bezmyślności sprzyjało spokojne morze i bezkresny błękit wody, stykającej się w oddali z bezchmurnym niebem. Delikatny wiatr przypominał o chłodnym klimacie, przyprowadzając kobietę o gęsią skórkę, jednak nie zważała na to. Rześkość przepędzała sen z powiek. Po wielu godzinach pozbawionej rewelacji żeglugi, czarodziejka sprawdziła położenie Mokrej Wywłoki za pomocą GPS-u w telefonie i porównała je z danymi wykrywacza tachionów. Byli bardzo blisko miejsca docelowego. W przekonaniu tym, utwierdził kobietę Kylven, który wynurzył się spod pokładu. Pomimo przebudzenia przed momentem, nie było znaku senności w jego oczach. Jemiba złapała się



na tym, że patrzy w te okręgi o kolorze ciemnego bursztynu. Nie, to raczej barwa miodu gryczanego. Z zadumy, wyrwał ją głos przyjaciela.

– Jesteśmy, Jemi. Czuję go – powiedział z powagą Kirkhammer.

Kobieta skinęła głową, wrzuciła silnik na luz i ustawiła łódź w dryfie.

– Będę korygować dryf, żebyś mógł bez problemu wrócić. Wskakuj w kombinezon!

– To znaczy, że nie idziesz ze mną? – zdziwił się wojownik.

– Według danych, to morze ma do trzystu metrów głębokości, a jest tylko jeden skafander... – powiedziała Jemiba, wbijając wzrok w deski pokładu.

– Nie gadaj głupot. Nawet adepci magii potrafią wytworzyć dosyć silne pola siłowe. Nie rozumiem więc...

– Nie lubię wody, ok? – odburknęła kobieta, wstydząc się własnej słabości.

Kirkhammer w pierwszej chwili nie odpowiedział. Przyjaciółka nigdy nie wspominała mu o swojej niechęci do wody. Postanowił nie komentować i zszedł pod pokład. Skafander miał obły hełm, sprawiający wrażenie, jakby wyrastał z szerokich jego ramion. W pasie, były dodatkowe uszczelki, śruby i klamry, łączące górną i dolną część kombinezonu. Kylven odbezpieczył zamki i zaczął mozolnie gramolić się w spodnie połączone z ciężkimi butami. Skafander był od wewnątrz wyłożony miękką gąbką, a podwójne jej warstwy wyścielały ruchome łączenia przy stawach. Mimo tych udogodnień, cholerstwa nie można było nazwać wygodnym. Po założeniu części górnej kombinezonu i zapięciu klamer oraz dokręceniu śrub, mężczyzna wziął hełm i wyszedł na pokład. Wyszedł to za dużo powiedziane. Wytoczył się. Na powierzchni poruszanie się w metalowej puszcze było wyjątkowo trudne. Nie pomagał w tym również śmiech Jemiby, który starała się ukryć, jednak co chwila parskała nim, czerwieniąc się coraz bardziej.

– Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego wszędzie używasz lekkich materiałów, nowoczesnych technologii ochrony ciała, a mimo to stoję przed tobą w tym starożytnym stroju?

– Wszystko sam zrozumiesz, kiedy będziesz dźgany trójzębami trytonów oraz gryziony przez rekiny – uśmiechnęła się słodko kobieta.

Następnie, czarodziejka podeszła do wojownika i przypięła mu do pasa karabińczyk, który łączył się ze stalową liną na wyciągarce przy

prawej burcie. Wcisnęła mu jeszcze do ucha słuchawkę, połączoną z mikrofonem, który ustawiła przy ustach przyjaciela.

– Będziemy w kontakcie – powiedziała, nagle nabierając powagi. – Gdyby działo się coś złego, daj znać, to cię wyciągnę.

– Poradzę sobie – stwierdził Kylven, uśmiechając się rozbrajająco.

– Mam nadzieję. Dość razy ratowałam ci tyłek – Jemiba osłodziła kwaśny uśmiech towarzysza buziakiem w policzek.

Urażona duma Kirkhammera przestała się dąsać i mężczyzna założył hełm, dokręcając zabezpieczające go wkręty. Wizjer był dość szeroki, jednak owal i tak ograniczał widoczność. Do tego, konstrukcja uniemożliwiała obracanie głową. – *To będzie ciekawe* – pomyślał Kylven w czasie, kiedy Jemiba instalowała dwie butle z tlenem na jego plecach i wkładała kryształ energetyczny do zbrojonego złącza poniżej.

– Powinno ci wystarczyć energii na dwie godziny pracy silniczków. Pamiętaj, że laser jest jednorazowy. No i masz jeden harpun w wyrzutni, ale jest na lince. Kiedy zegniesz nadgarstki i zaciśniesz pięści, włączysz w silnikach ciąg do przodu. Jeżeli rozczapierzysz palce i odegniesz dłonie, włączy się ciąg wsteczny. Podobnie na nogach, kiedy wyprostujesz stopy, jakbyś chciał stanąć na palcach – ciąg do przodu. Jak wykonasz ruch, jakbyś chciał stanąć na piętach – ciąg wsteczny. Jasne?

– Jasne – zaskrzeczał głos Kylvena w słuchawce.

– Wspaniale – odparła Jemiba. – To powodzenia. I jak zawsze... – dodała czarodziejka wypychając przyjaciela za burtę – nie daj się zabić.

Kirkhammer wpadł do wody i zaczął tonać jak kamień. Już po chwili przestał widzieć nawet swoją wyciągniętą przed siebie dłoń, więc włączył dwie lampy umieszczone na kołnierzu hełmu. Źródła światła były mocne, jednak w ich bladych snopach, nie było nic widać. Mężczyzna wypróbował system silniczków. Działały zadziwiająco sprawnie. Niezgrabny i ciężki skafander zaczął się pod wpływem ich siły poruszać dość zwinnie. Wojownik mógł gwałtownie zmieniać kierunek i przemieszczać się sprawnie pod wodą. Sprawnie, to znaczy jak kulawy ent na grzęzawisku torfowym.

– Jak tam? – usłyszał Jemibę w uchu.

– W porządku. Czysto, przynajmniej na razie.

W zasięgu wzroku faktycznie nie było niczego, jednak już na

pokładzie kutra Kylven poczuł potężną obecność. Była bardzo podobna do świadomości Lavecila, otaczającej las Timlin. Ona również zdawała się penetrować morską toń w promieniu wielu kilometrów, jednak nie manifestowała się w postaci ogromnych macek. Różnica była również w tym, że aura potwora z lasu ociekała obrzydzeniem i odrazą do otaczającego świata. Obecność, która przenikała te wody, znakował strach. Piętno to było subtelne i skrzętnie skrywane, jednak bardzo wyraźne. Aura drżała i mąciła się pod podmuchami cichej obawy. Źródło tej energii musiało zorientować się o obecności intruza, bowiem z mroku czarnego morza, w dwóch samotnych strugach światła, zaczęły pojawiać się odblaski oczu. Kirkhammer rozpoznał ogony trytonów oraz trójzęby w ich zrosniętych błonami palcach. Towarzyszyły im syreny z harpunami oraz rekin brzytwopłetwy. W sumie, dziesięć sylwetek. Kylven nie czekał na atak. Opadał dalej, jednak wycelował harpun na nadgarstku w pierwszego trytona i strzelił. Stłumiony hełmem oraz hektolitrami wody krzyk i tak o mało nie doprowadził wojownika do szaleństwa. Mężczyzna włączył małą wyciągarkę i przyciągnął do siebie broczącego przeciwnika. Mgiełka krwi znaczyła drogę, jaka dzieliła wrogów. Kirkhammer chwycił gasnącego potwora za gardło i wyrwał mu ostrze z piersi, po czym ułożył je z powrotem w wyrzutni. Zabrał też swojej ofierze trójzab. Był w tym wszystkim za wolny, ponieważ rozjuszony rekin już rozwierał paszczę, płynąc na niego z lewej strony. Kylven włączył silniki i uciekł do tyłu. Uniknął monstrialnych zębisk, jednak ostra jak brzytwa płetwa zazgrzytała złowieszczo o jego pierś. Wojownik spodziewał się naporu milionów ton wody, jednak skafander wytrzymał. Mężczyzna zawirował, szukając pozostałych przeciwników. Nie ucieszył się, gdy znalazł ich, otaczających go. Osiem ogoniastych postaci, z bronią gotową do ataku. Pod sobą, spodziewał się zawracającego rekina, szykującego się do zamknięcia pułapki. Ruszył na syrenę z wyciągniętym trójzębem, korzystając z mocy wszystkich czterech silników. Zaskoczona prędkością przeciwnika, zasłoniła się harpunem, który odbił się od hełmu agresora i została nabita na trzy ostrza z zadziorami. Kylven rozerwał otaczający go okrąg i płynął jeszcze chwilę, po czym wyrwał broń z ciała syreny, zasłaniając jednocześnie jej usta dłonią. Krzyk i tak przyprawił go o mdłości. Odwrócił się w miejscu w samą porę, aby

zasłonić się przedramieniem przed kolejnym trójzębem. Manewrującego trytona złapał za ogon, po czym wbił mu broń w podgardle tak, że najdłuższy, środkowy kołec wy dostał się szczytem jego czaszki. Następnie tak przyrzadzony szaszłyk wsadził w paszczę pędzącego rekina, zmuszając go do wykonania kolejnego kółka. Pozostała szóstka zapomniała o wszelkich szykach i strategiach bitewnych. Oszołomieni krwią w wodzie, która płynęła teraz przez ich skrzela, rzucili się na Kirkhammera wszyscy razem. Wojownik ustrzelił następną syrenę, chwycił stalową linkę, zakręcił nią i pociągnął raptownie w dół. Uderzona dwójka po lewej zwolniła, dając mu czas na włączenie wyciągarki. Pozostała trójka pędziła jednak coraz szybciej, falując obłymi ciałami, których łuski mieniły się w świetle lamp. Kylven odgiął rozwarte dłonie i zgiął grzbietowo stopy. Runął w dół, w kierunku ciała przyciąganej syreny. Uderzył w nie stopami, wyrywając harpun. Trio zupełnie porzuciło synchronizację, wyjąc nad poległymi towarzyszami. Skafander został zalany gradem ciosów, które odbijały się od metalowych płyt, zostawiając niewielkie zadrapania. Kirkhammer uśmiechnął się chytrze i odwzajemnił się opancerzonymi pięściami. Jego siła, zredukowana przez opór wody, lecz wzmocniona przez silniki na przedramionach, druzgotała ciała przeciwników. Dwóch ostatnich trytonów umarło z rozłupanymi czaszkami, a odebrane im trójzęby zakończyły życia pozostałych syren. Został rekin, który właśnie pikował z góry na rozglądającego się wojownika. Kylven dzierżył harpun jednej z zabitych potworzyc. Kiedy w końcu odwrócił się we właściwą stronę, było za późno. Ogromna paszcza zamykała się właśnie na jego torsie. Zdażył jedynie zaprzeć się bokiem o żuchwę bestii, a prawą stopą i prawym ramieniem, o jej szczękę. W tej pozycji efektywnie mógł działać jedynie jeden silnik, przy prawej łydce. Jednak mięśnie Kirkhammera nim wspomagane nie mogły się równać z siłą rekina brzytwopłetwego. Powoli, ale nieuchronnie, jego paszcza zamykała się coraz bardziej. Metal zawodził w mękach, uginając się, a zamknięty w nim wojownik stękał coraz głośniejsze.

– Co tam się dzieje?! – krzyczała w słuchawce Jemiba – Kylven!

– Moment – wystękał mężczyzna.

Kirkhammer lekko zwolnił opór, po czym zaparł się z całych sił, katując samotny silniczek. Jednocześnie wy dostał prawe ramie, obrócił

w palcach trzymany przez nie harpun i zatopił go w oku rekina. Potwór zaszamotał się, zmniejszając nieco nacisk. Wojownik wykorzystał to natychmiast i wykonał najbardziej spektakularny przysiad w swoim życiu. Kucnął pomiędzy szczękami bestii i raptownie wyprostował się, wkładając w to wszystkie pozostałe siły i moc silników. Żuchwa rekina została zwichnięta i zaczęła bezwładnie dygotać pod naporem wody. Kylven wypadł z paszczy umykającego na głodową śmierć potwora i upadł na dno. W ferworze walki zupełnie nie zwracał uwagi na otoczenie, zdające się być bezkresem morza w każdym kierunku. Podniósł się jednak z białego piasku i ujrzał miasto. Stał teraz na środku czegoś w rodzaju rynku. Otaczały go budynki o zadziwiającej architekturze. Ułożone w misterne fasady kamienie zdawały się tworzyć jedno z porastającymi je koralowcami. – *Koralowce nie żyją na takiej głębokości* – pomyślał mężczyzna, jednak zorientował się, że widzi wszystko dookoła, chociaż jego lampy powinny oświetlić zaledwie ułamek przestrzeni przed nim. Spojrzał w górę i jego oczom ukazała się ogromna, jaśniejąca kula. Wydawała się miniaturową wersją słońca. Wyłaniające się z niej wiry i pasma światła falowały delikatnie w hipnotyzującym tańcu. Blask niesamowitej sfery odsłaniał z morskich ciemności niskie domki ze strzelistymi dachami, porośniętymi morskizytnem. Wyższe budynki imponowały zazielenionymi ścianami, drzwiami w kształtach różnych muszli i iglicami, które wyobrażały wirujące macki. Centrum uwagi stanowiła jednak potężna katedra. Kylven nigdy w życiu nie widział czegoś równie pięknego. Główny budynek górował nad resztą, zwieńczony zaokrągloną kopułą. Trzy piętra otaczających balkonów były strzeżone przez pomniki nienazwanych przez nikogo potworów. Poniżej znajdowała się ciągnąca się przez pięćdziesiąt metrów arkada, prowadząca do głównego wejścia. Ogromne drzwi były ozdobione portalem, przedstawiającym humanoidalne postaci w błagalnych pozycjach. Najbardziej dech zapierał jednak potężny, okrągły witraż na ścianie, przed którą stał Kirkhammer. Szkiełka w różnych odcieniach zieleni i błękitu wyobrażała muskularnego mężczyznę, siedzącego na ogromnej kałamarnicy. Wojownik miał wrażenie, że wielki mięczak jest gotów za chwilę ożyć. Tym większe było jego zdziwienie, kiedy zza katedry taki właśnie się wyłonił, wystrzelając w górę. Zaczął następnie opadać, rozciągając

ogromne macki i ukazując rozdziawiony dziób.

– Mam dość bycia uważanym za przystawkę! – krzyknął mężczyzna, kręcąc korbą lasera.

– Co ty tam mamrociesz? – zapytała w słuchawce Jemiba.

Kylven nie zwracał na nią uwagi. Przykuł ją do zbliżającego się monstrum, które wielkością mogło konkurować z jego mieszkaniem nad Turkusową Zatoką. Po czwartym obrocie korby szklany pojemnik rozjarzył się oślepiającym blaskiem. Kirkhammer wycelował broń nad górną krawędź płaszcza kałamarnicy i aktywował laser, po czym wykonał szybki ruch z góry na dół. O dziwo, laser na korbkę zadziałał. Gigantyczny potwór opadał teraz znacznie wolniej, przecięty równiuteńko na pół.

– Jemi, twoja zabawka zadziałała! – powiedział zadowolony wojownik.

– HA! Mówiłam ci! Jesteś mi winien dożywotnie masowanie stóp!

Kylven miał właśnie zakwestionować zachciankę przyjaciółki lub nawet podjąć próbę sprowadzenia tematu na bardziej erotyczny tor, jednak kątem oka dostrzegł ruch. Wspaniała witraż, który przed chwilą podziwiał, zafalował, a następnie przeleciała przez niego jakaś postać. Szkło pozostało nienaruszone. Musiał to być rodzaj magicznej bariery. Wojownik nie miał czasu na zastanowienie, ponieważ został uderzony z taką siłą, że zatrzymał się dopiero na ścianie przeciwległego domku. Kiedy w końcu wstał, miał przed sobą prawdziwie osobliwego przeciwnika. Czerwony ogon homara oraz część tułowia, opatrzona czterema parami odnóży kroczyńskich, wyginał się ku górze, przeistaczając w męski tors. Lewą część piersi pokrywały łuski, które ciągnęły się dalej wzdłuż ramienia, aż do upazurzonej łapy. Prawe ramię zastąpiły potężne szczypce, którymi, jak wnioskował Kirkhammer, został uderzony. Głowa potwora należała do mężczyzny z długą, potarganą brodą, w której wiły się małe węgorze. Lewa połowa twarzy, była zastąpiona przez koralowiec, który wgryzł się w czaszkę od ciemienia, aż po nos właściciela. Monstrum przekrzywiło swój łeb i popatrzyło na osobnika w skafandrze.

– Ta miernota zabiła mojego krakena? – zagrzemiał głosem stu podmorskich wulkanów. – Pupil wielkiego Tyreona, Słońca Głębin, zamordowany w sekundę przez coś, co nawet nie potrafi samodzielnie

sprzeciwić się woli morza?

Kylven wiedział, że nie ma szansy z tym potworem w wodzie. Nie zauważył nawet, jak się zbliża, a drugiego takiego uderzenia jego skafander nie przetrzyma. Musiał dostać się do wnętrza katedry. Ten witraż musiał stanowić barierę pomiędzy wodą i powietrzem. Wojownik odpiął karabińczyk z liną bezpieczeństwa i przymocował go do klamki drzwi za swoimi plecami.

– A myślałem, że to ja jestem brzydki! – zawołał najgłośniej jak umiał. Potwór usłyszał go, ponieważ zamilkł i znieruchomiał – Tak, do ciebie mówię, ty abortowana krewetko!

Kirkhammer zważył w słuszność swojego planu, widząc jak rozjuszony Tyreon zamiata segmentowanym ogonem, zbliżając się do niego w zastraszającym tempie. Wojownik uniósł lewe ramię, wyceLOWał harpun i wystrzelił. Zgodnie z przewidywaniami, narośl ograniczała wzrok bestii. Pocisk odłupał kawał koralowca z głowy przeciwnika, który gwałtownie zahamował i złapał się za twarz. Następnie złapał z nienawiścią przedmiot, który zadał mu tak dotkliwy ból i szarpnął linę łączącą go ze skafandrem. Kylven poleciał do przodu, a potem do góry, ciśnięty przez przeciwnika ze straszliwą siłą. Dokładnie o to mu chodziło. Odpalił silniki, kierując się w stronę witraża. Nie zważał na prędkość uderzenia, musiał uciec przez władcę Mroźnego Morza, który gonił go w furii. Zdażył. Witraż zafalował delikatnie, przepuszczając Kirkhammera do środka. Wojownik wyrznął boleśnie o kamienną posadzkę. Otaczały go teraz liczne kolumny, zdobione chropowatymi zdobieniami. Podtrzymywały wspaniały strop, pokryty malunkami w znajomych, morskich barwach. Kontrastowało z nimi złoto, które dosłownie zalewało podłogę. Wszędzie pełno było drogocennych kielichów, lichtarzy, monet i biżuterii. Talerze, korony, bransolety i lite sztaby. Wszystko w ciepłym, złotym kolorze, od którego odbite światło tańczyło na wymalowanych ścianach. Na środku tego bogactwa stał złoty tron, monstrualnych rozmiarów. Kylven nie miał czasu na podziwianie tego wszystkiego. Obolały, miotał się na posadzce, starając wyswobodzić z wnętrza skafandra. Nie zawracał sobie głowy hełmem. Odbezpieczył klamry i śruby przy pasie, kiedy do budynku wpadł Tyreon, rozrzucając kosztowności szerokimi strumieniami monet. Broczył zgniłozielonym płynem z rany na twarzy.

Ruszył w stronę Kirkhammera. Poruszał się tutaj rozczarowująco sprawnie. W momencie pokonał dzielące ich kilkanaście metrów i zamachnął szczypcami. Kylven z całych sił odbił się od ziemi i zasłonił, krzyżując przedramiona na piersi. Uderzenie posłało go w powietrze, wyrywając z ciężkich spodni. Wirując, wypadł także z górnej części skafandra, łapiąc jednocześnie pas z mieczami, który cały ten czas uwierał go w plecy i pośladki. Wojownik zawirował w salcie, lądując na ścianie, od której się odbił i wylądował, tonąc po kostki w złocie. Zapiął pas na piersi i wydobył Łaskę. Jego przeciwnik wił się pomiędzy kolumnami niczym wąż, przebierając szeregami odnóży, brzęcząc przy tym rozrzuconym metalem. Kylven uniósł miecz sztychem do potwora i zakołysał biodrami. Druzgocącego ciosu szczypcami uniknął, odskakując w prawo. Chciał wytrącić bestię z równowagi, uderzając w jego opancerzone ramię, jednak cios nie zrobił na niej żadnej uwagi. Ledwo uchylił się przed ripostą, upadając w tył i przetaczając się szybko. Tyreon bowiem zaatakował całą serią pionowych uderzeń kleszczami, niszcząc posadzkę swojego domu. Kirkhammer toczył się po bezcennym skarbie, aż nagle odwrócił kierunek, znajdując się pomiędzy potworem, a jego szczypcami, które wbiły się w kamień tuż za jego plecami. Kylven dźgnął bestię poziomym sztychem w brzuch, chwycił odwrotnie rękojeść, oparł na niej i podniósł, natychmiast obrócił, wyrywając ostrze lewą ręką. Trzymając miecz nadal odwrotnie, łupnął kleszcze w miejscu łączenia się płyt, zatoczył Łaskę okrąg nad głową, chwytając ją obiema dłońmi i poprawił cięciem przez plecy. Jego ciosy nie odniosły zamierzonego efektu, ponieważ zanim zdążył odskoczyć, Tyreon uderzył go opancerzonym ramieniem na odlew w pierś. Wojownik usłyszał chrupot swoich łamanych żeber. Poleciał do tyłu, ryjąc w złocie. Wokół upadły odłamki jego amuletu. Iluzja prysła, wprawiając władcę morza w osłupienie. Kylven podniósł się na łokciach, ale opadł na kolana. Każdy oddech sprawiał mu ból. Nie miał siły wstać. Złowił jeszcze mętnym wzrokiem swoje zwęglone ręce. Mężczyzna zaczął gorączkowo macać łańcuszek i puste srebrne obejmy. Kiedy jego zdeformowane palce napotkały jedynie pustkę, a po zbadaniu twarzy, nie spotkały warg ani powiek, wojownikowi pociemniało w oczach. Było to uczucie podobne do tego, którego doświadczył pod Aegilith. Tym razem jednak zawył, kiedy lepkie,



odrażające macki chwyciły jego pogruchotane kości i ustawiły w odpowiednim położeniu. Ból nie minął, ale nie krępował już ruchów. Kirkhammer zerwał się na nogi, warcząc i plując płomieniami. Uniósł miecz i błysnął. Zdezorientowany potwór próbował uderzyć pędzącą, czarną chmurę, jednak napotkał jedynie ból i okropne gorąco. Wojownik pojawił się przy lewym biodrze Tyreona, tnąc głęboko, obracany siłą odśrodkową, tors. Po ukończonym cięciu, pochylił bark i uniósł nogi, przetaczając się plecami po ogonie bestii. Dostrzegł jednocześnie, że potwór między łopatkami ma grube, kościane pokrywy skrzelowe. Kylven zanurkował pod szczypcami, które wierzgały, niczym dłonie osoby opędzającej się od much. Zawirował przed piersią bestii, tnąc błyskawicznie. Zrobił piruet, puszczając opatrzone łuskami ramię po pochylonym ostrzu. Następnie skoczył na ogon miotającego się Tyreona i zbalansował ciałem. Już miał chwycić pokrywę skrzelową, kiedy przed oczami ukazał mu się Świetlisty Wojownik. Nie miał hełmu. Jego białe jak śnieg włosy pokrywały twarz, ukazując jedynie równie białe gałki oczne.

– Nie masz pojęcia co robisz – powiedział starzec. – Odejdź. Nie możesz nikogo uratować, a jedynie wyzwolić wielkie zło. Szale równowagi są delikatne. Nie wtrącaj się w nie!

Kirkhammer zamarł, zjawa jednak zniknęła, kiedy Tyreon gwałtownie podwinął ogon podrzucając wojownika, a za plecy sięgnęły po niego ogromne kleszcze. Kylven odzyskał rezon w momencie, kiedy już miał zostać zmiażdżony. Błysnął nad głowę potwora i spadł z przerażającym ciosem, który przygwoździł ją do ziemi. Cięcie powinno przerażać ten rybi łeb na pół, jednak bestia musiała mieć wyjątkowo solidny kościec. Kirkhammer skoczył więc z powrotem na plecy monstrum i wbił miecz tuż pod karkiem. Następnie złapał obie pokrywy skrzelowe i z ogłuszającym krzykiem odchylił je. Potem demon pochylił się nad czerwonymi blaszkami i zionął na nie ogniem. Wrzask Tyreona był bardziej przenikliwy i nieznośny niż jakikolwiek dźwięk znany mężczyźnie. Przestał słyszeć cokolwiek, jednak nie przestał palić. Zamknął usta dopiero, kiedy poczwara przestała wierzgać. Kylven wyciągnął miecz z poparzonego ciała króla Mroźnego Morza i schował go do pochwy. W tym samym momencie, z ciała bestii uleciał maleńki, niebieski ognik i zatoczył koło po wspianiałej katedrze. Zdawał się

żegnać ze zbiorem kosztowności, jednak na dłużej zatrzymał się tylko przed malunkiem nad głównymi drzwiami. Przedstawiał on skrzydlatą kobietę o zniewalającej urodzie. Malowidło było wyjątkowe, ponieważ wszystkie inne obrazy przedstawiały stworzenia morskie. Wątle światelko drgało chwilę przed kobietą ze skrzydłami, po czym z ogromną prędkością wyleciało przez okrągły witraż. W tym samym momencie Słońce Głębin zgasło, pogrążając podwodne miasto w ciemnościach.

Kylven czuł na sobie nienawistne spojrzenia podmorskich stworzeń, kiedy szedł w skafandrze do miejsca, w którym przyczepił linę bezpieczeństwa. Wrócił potworny ból klatki piersiowej. Przerazeni i pochłonięci gniewem mieszkańcy mrocznego miasta otaczali swojego oprawcę wołą tak silną, że Kirkhammer miał wrażenie, że za chwilę uduszą go samymi myślami. Nikt jednak nie stanął na jego drodze. Nikt nie rzucił się z bronią, kiedy ponura postać przyczepiła do pasa karabińczyk i szarpnęła dwa razy za stalową linę. Nikt nie starał się zatrzymać zabójcy ich króla. Wojownik i tak nie zważał na swoje otoczenie. Poczł szarpnięcie i zaczął unosić się ku powierzchni. Jego umysł zajmowało pytanie, jak pokaże się Jemibie? Co jej powie? Stracił najcenniejszy podarunek, szansę na wspólne życie oraz wygląd, który nie przyprawia o dreszcze trwogi na plecach. W tym właśnie momencie, ogarnięty mrokiem głębin, Kylven zrozumiał, że los tego właśnie pragnął. Oczywiście mogli zająć się żmudnymi poszukiwaniami kolejnego Oka Wolverberga, jednak było to ryzykowne. Poza tym, czy miało to jakikolwiek sens? Kirkhammer pragnął Jemiby bardziej niż kogokolwiek lub czegokolwiek innego na tym przeklętym świecie. Gdyby miał poświęcić dla niej całą ludzkość lub własne życie, zrobiłby to bez wahania. Wiedział jednak, że to bezcelowe. Przeznaczenie nie chciało od niego żadnej ofiary. Wojownik nie miał do zaoferowania losowi nic bardziej cennego i dającego większą rozkosz, niż widok jego własnego cierpienia. Unosił się, ciągnięty na linie, do świata, do którego wcale nie chciał wracać.

– Nareszcie jesteś! Co się stało z twoją słuchawką? Wiesz jak się martwiłam?! Nic ci nie jest? – Jemiba zasypała przyjaciela gradem pytań, kiedy ten stanął, chwiejąc się, na pokładzie.

– Nic mi nie jest – powiedział Kirkhammer. – Podmorski król nie żyje

– dodał, po czym minął przyjaciółkę i zszedł pod pokład.

Kobieta stała zdezorientowana do momentu, kiedy mężczyzna wrócił do niej. Podeszła do zdeformowanej postaci i położyła jej dłoń na piersi.

– Gdzie jest amulet? – zapytała, chociaż znała odpowiedź.

– Zniszczył go – odparł grobowym tonem Kylven.

– To nic – powiedziała gorączkowo czarodziejka. – Są inne kamienie. Znajdziemy następny i...

Kirkhammer złapał jej dłoń.

– Nie, Jemi. To nie ma sensu. Nie mamy czasu. Szukają nas. Poza tym, to zbyt ryzykowne. Myślę... – głos mu się załamał i potrzebował chwili, by odzyskać mowę – Myślę, że to znak. Miałaś rację. Nie możemy tego spieprzyć. Nie mogę pozwolić, żeby emocje zniszczyły to, co jest między nami. W równaniu życia, nasza dwójka nie jest rozwiązaniem w zbiorze liczb rzeczywistych – próbował zakończyć żartobliwie Kylven, ale zupełnie mu nie wyszło, bo jego podwójny głos zabrzmiał wyjątkowo żałośnie.

Jemiba odsunęła się od niego bardzo gwałtownie, a w jej oczach zagościły błękitne ognie.

– Dlaczego taki jesteś? – zapytała na skraju płaczu, który skutecznie tłumila złością. – Dlaczego całe życie toczysz bitwy o wartości, o których nie masz pojęcia, i które w ogóle cię nie obchodzą, a kiedy musisz zawalczyć o coś, na czym ci naprawdę zależy, poddajesz się?

Nie odpowiedział. Nie musiał. Jego nieobecne oczy i przygasające runy na ciele mówiły za niego.

– Przecież wiem, co do mnie czujesz. Nie oszukasz mnie. Twoja skorupa, ta cholerna maska apatii nie ukryje przede mną niczego. Ty naprawdę nic nie rozumiesz? Ten amulet nie działał!

Kirkhammer otworzył usta w zdziwieniu, a krwawa mgła w jego oczach zawirowała w tornadzie niedowierzania.

– Tak, jestem nieprzeciętnie inteligentna i uzdolniona. Oko Wolverberga, to jednak dla mnie za dużo. – kobieta na moment wbiła wzrok w deski pokładu, jednak momentalnie go podniosła. – To była iluzja wysokiego stopnia, mamiąca twój wzrok i twój zmysł dotyku.

– To znaczy, że...

– Tak. Całując cię, nie czułam twoich warg, tylko gołe zęby.

Dotykałam twojej spalonej skóry. I wiesz co? Mam to gdzieś. Zrobiłabym to znowu. Dla mnie naprawdę nie liczy się, jak wyglądasz. Za długo cię znam. Zbyt dobrze cię znam. I to nie w tej twojej wyjętej z pisma dla nastolatków powłóce się zakochałam! – kobieta zaczęła krzyczeć. – Tylko tobie przeszkadza ta twarz, to zrobiłam ten amulet, żebyś poczuł się lepiej. Żebyś mógł się do mnie zbliżyć. I przestał się bać.

– Jemi... – zaczął Kylven, robiąc krok.

– Nie! Nie podchodź! Nie masz po co się do mnie zbliżać, dopóki nie przestaniesz się mazać. Wygląd to nie wszystko. Co się stało, stało się. Pogódź się z tym.

Jemiba minęła wstrząśniętego przyjaciela, zeszła po schodach i rozerwała portal do pałacu. Kirkhammer stał przez długą chwilę z otwartymi ustami. Miał w głowie taką płataninę myśli, że na żadnej z nich nie mógł się skupić. W końcu zdołał poruszyć swoje obolałe, zdrętwiałe ciało i podążył za kobietą swojego życia.

## *Rozdział 4*

Kylvena obudził dźwięk SMS-a. Czerwona mgła leniwie zasnęła jego czarne oczy, ukazując baldachim na łóżkiem. Jemiba zamruczała przez sen i ułożyła się wygodniej na jego piersi. Gdzieś pośród pomiętej pościeli i wytarmoszonej kołdry, wałała się butelka po szampanie. Kirkhammer nie czuł smaków, jednak przekonał się, że aby cieszyć się posiłkiem, wystarczy ukochana osoba obok. Mężczyzna powoli i bardzo delikatnie wydobyl ramię spod ciała czarodziejki i wymknął się z łóżka. Wziął telefon i odczytał wiadomość. „Mam towar.” – napisał Derix. Wojownik uśmiechnął się w duchu i na palcach podszedł do drzwi. Spojrzał jeszcze raz na śpiącą kobietę. Burza najbardziej miękkich włosów szalała na poduszkach. Pod cienką kołdrą zaznaczała się smukła sylwetka, niczym linijki miłosnego poematu. W całym pokoju unosił się zapach jej ciała i perfum. Kylven wyszedł cicho i zamknął za sobą drzwi. Idąc do kuchni, pogłaskał drzemiącego w sali bankietowej

Misia. Zwierz chrapnął i otworzył jedno oko, po czym przeciągnął się i podreptał za mężczyzną do kuchni. Kirkhammer wszedł do dużego pomieszczenia. Patelnie i wianuszki czosnku wisały pod szafkami. Na parapecie wielkiego okna stały zioła w filigranowych doniczkach, roztaczając swój świeży zapach. Wojownik wyjął z lodówki baranią kość i rzucił niedźwiedziowi, którą ten zaczął wesoło gryźć. Następnie Kylven zabrał się za robienie naleśników. Słońce za oknem zwiastowało piękny dzień, a mieniący się bursztynem las w oddali napawał spokojem i ciepłem. Mężczyzna, roztrzepując jajka z mlekiem w misce, czuł ból pleców. Żebra zagoiły się szybko, jak przystało na jego tempo regeneracji, jednak ślady paznokci były odnawiane każdej nocy i piekły przyjemnie. Kiedy na rozgrzanej patelni lądowała kolejna porcja ciasta skwiercząc radośnie, do kuchni weszła Jemiba.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała słodko. Była owinięta jedynie kocem.

– Hej, śpioszku – odpowiedział jej. Normalnie w takiej sytuacji, mrugnąłby, jednak brak powiek utrudniał to zadanie. Zresztą i tak nie musiał tego robić. Czarodziejka знаła jego intencje. Podeszła do mężczyzny i objęła go od tyłu, przywierając twarzą mocno do jego pleców.

– Pachnie wspaniale – szepnęła. – Chyba ubiorę się na tę ucztę.

– Nie trzeba. Możesz nawet zrobić dokładnie odwrotnie.

Jemiba zaśmiała się i wyszła. Kirkhammer dokończył smażenie naleśników, przygotował krem czekoladowy, dżem truskawkowy i konfiturę z wiśni. Zaparzył też dwa kubki kawy. Wszystko ułożył na tacy i przystroił różą, uciętą z krzaka pod tarasem. Dumny z siebie zabrał śniadanie i poszedł z nim do mniejszej jadalni, tej z okrągłym oknem.

Para zajadała się, rozmawiając o niczym. Przez ostatni tydzień wcale nie przejmowali się Kościołem, potworami i wrogością całego świata. Byli tutaj, ze sobą i dla siebie. Kiedy ostatni naleśnik zniknął w ich ustach, Kylven wstał i lekko spoważniał.

– Przeteleportowałabyś mnie do Derixa? – zapytał.

– Pewnie. Po co? – zaciekawiała się czarodziejka.

– Chcę zobaczyć jak sobie radzi. W końcu on też podpadł Kościołowi. Może dowiem się czegoś interesującego.

Jemiba westchnęła.

- Prawie zapomniałam, że mamy ważną misję i mnóstwo problemów. Kirkhammer przytulił ją i wplótł palce w jej włosy.
- Nic, z czym nie możemy sobie poradzić razem.
- Mój romantyk – powiedziała i cmoknęła go w policzek.
- Idę się ubrać. I wezmę jakąś butelkę, żeby nie iść z gołą ręką.
- Tylko nie upij się za mocno – powiedziała pół żartem – pół serio kobieta i puściła mu oko.
- Kocham cię.
- Ja ciebie też.

Kylven ubrał się w swój czarno-czerwony uniform i wybrał z barku butelkę pierwszorzędnego bimbrow z zarodków entów. Płyn miał zielonkawą barwę i był prawdziwym rarytasem. Po krótkim namyśle, przewiesił również pas z mieczami przez plecy. Kiedy wyszedł na balkon, Jemiba uniosła oczy znad książki i obejrzała go.

- Idziesz na spotkanie z kolegą czy zrobić rzeź?
- Umiem rzeź. Czuję się pewniej, mając je ze sobą.
- Rozumiem. Gotowy? – zapytała czarodziejka, wstając z leżaka.
- Gotowy.
- Pomyśl o tym miejscu i włącz – odparła Jemiba, rozrywając dziurę w rzeczywistości, jakby rozchyłała kotarę w teatrze.
- Niedługo wracam – powiedział Kylven i wszedł w portal.

Derix urządził swoje najtajniejsze schronienie tuż obok miasta Y'sgenwerd. Podziemna Metropolia mieściła się pod Górami Mglistymi. Kiedy na powierzchni szalały potężne wichury śnieżne lub niemilosierne słońce prażyło nieliczne, zamieszkałe tam ohydne stworzenia, pod nią tętniło życie. Skąła została wydrążona bardzo głęboko, aż do korzeni Gór. Kryła pod sobą wartką, podziemną rzekę, która żywiła miasto Y'sgenwerd. Światła zasilane energią nuklearną, ukazywały wykute w kamieniu domy, budynki przemysłowe i sklepiki. Wszystkie surowe, zdobione jedynie oszczędnymi napisami informacyjnymi, ustępowały wspaniałym gmachom ratusza, sądu i licznych urzędów. Najlepsi kamieniarze trudnili się przez lata, aby stworzyć spiralne kolumny, kopulaste sklepienia, misterne dachy imitujące dachówki i wszechobecne gargulce. Według legend, miały one stanowić ostatnią linię obrony, w przypadku oblężenia miasta. Nikt jednak nie wiedział czy faktycznie mogą one wstać ze swoich gzymsów, ponieważ Podziemna

Metropolia nigdy nie została zaatakowana. Jednym z powodów był brak bezpośrednich sąsiadów. Klimat był nieprzyjazny, teren kamienisty, bez śladu roślinności, a potwory, które przystawały do surowych warunków – cóż, zaiste potworne. Drugim powodem było, paradoksalnie, bogactwo miasta. Y'sgenwerd szczyliło się największym wydobyciem kamieni szlachetnych oraz kryształów, przesyconych energią strumienia mocy planety. Burmistrz szeroko rozpowiadał, że w razie ataku na miasto, zostaną odpalone ładunki wybuchowe, które zasypią kopalnie oraz zniszczą sprzęty wydobywcze. Oblężenie mogłoby zatem sparaliżować światowy handel, więc nikt go nie próbował. W tej właśnie spokojnej okolicy mieszkał Derix. Z pomocą swojej magii wykuł swój dom w górskim zboczu w taki sposób, że od najbliższych korytarzy i jaskiń Podziemnej Metropolii dzieliło go przynajmniej sto metrów litej skały. Nikt nie wiedział o jego kryjówce, z wyjątkiem najbliższych przyjaciół. Kylven wyszedł z portalu na stromy stok, pokryty żwirem i bezustannie przemieszczającymi się kamieniami. Wędrówka w górę po tym podłożu była niemożliwa. Zsunął się kilka metrów w dół, napotykając ledwie widoczną półkę skalną. Oparł się na niej i przylgnął do zbocza. Mężczyzna zaczął przesuwając się powoli w prawą stronę, smagany podmuchami mroźnego wiatru. Wkrótce stromy stok zmienił się w gładką ścianę. Kirkhammer stąpał pewnie, jak wiele razy wcześniej, aż odnalazł wzrokiem niewielką rysę na powierzchni kamienia. Zapukał o skałę trzy razy szybko, dwa wolno i znów cztery szybko. W oczekiwaniu na gospodarza, obejrzał się przez ramię. Pod jego stopami rozciągała się przepaść, której dno usiane było ostrymi głazami, pomiędzy którymi mieszkały szkielety. Stare wyverny, górskie trolle i inne monstra udawały się tam na ostatni spoczynek, kiedy minione lata odbierały im sprawność. Po dłuższej chwili iluzja zniknęła i przed Kylvenem pojawiły się duże, kamienne drzwi. Uchyliły się bezgłośnie, a zza nich wyłonił się, uśmiechnięty jak zwykle, Derix.

– Nie stój tak, jeszcze spadniesz, Piękny Kaskaderze! – przywitał go radośnie mag.

– Też miło mi cię widzieć, Szalony Przyjacielu – odpowiedział wojownik, ściskając dłoń gospodarza.

– Wchodź śmiało!

Kirkhammer zawsze lubił to miejsce. Skalne korytarze mieszkania były liczne i niespodziewanie szerokie, a każdy z nich kończył się rozległym pokojem. Mężczyzna chyba jeszcze nie był w każdym z nich, choć gościł tutaj wielokrotnie. Przeszli do jednego z pomieszczeń gościnnych – obszernej jaskini, w której ulokowano dużą, wygodną kanapę ze skórzanym obiciem, trzy fotele i niski stół. Ściany dekorowały dziwaczne laleczki z trawy, koralików i kości, przeróżne maski i amulety. Spod sufitu, na którym wymalowano mapę nieba i gwiazdozbiory według licznych koncepcji astrologicznych, zwisały wisiorki, łańcuszki, medaliony i rzemyki. Pokój oświetlały cztery duże lampy, ustawione w każdym z czterech narożników.

– Siadaj sobie, a ja przyniosę precjoza – zarządził Derix.

Kylven posłusznie zatopił się w objęciach kanapy, podziwiając po raz kolejny wystrój domu. Jego uwagę przykuwały amulety z maleńkich czaszek osobliwych zwierząt i potworków, naszyjniki z kłów oraz pazurów. Po chwili, czarodziej wrócił z małym pudełeczkiem w rękach. Przedmiot był ledwie widoczny spod obszernych rękawów luźnej szaty maga. Derix usiadł w fotelu, naprzeciwko przyjaciela.

– No to opowiadaj! Jak się trzymasz? W wiadomościach cały czas głośno o tobie i twojej koleżance. Niezłą łajbę wydziergała, naprawdę szanuję. No i ten twój popis pod Aegilith! Naprawdę dawno się tak nie ubawiłem. Kościół dostał ostro po tej swojej pompatycznej dupie.

Czarodziej wyrzucał z siebie słowa niczym policyjny karabin, nie zważając nawet na piorunujące spojrzenie Kylvena, przy wzmiance o Aegilith.

– Radzę sobie jakoś – powiedział Kirkhammer, odpędzając od siebie ponure myśli. – Ostatnio nawet jest spokojnie. Zaszłyłem się w bezpiecznym miejscu i staram nie wychylać.

– Bardzo mądrze. Chociaż jak już się wychylisz, to ja pierdolę! Zawsze z pompą, nigdy się nie ograniczałeś.

– Jebać i się nie bać! – krzyknęli zgodnie przyjaciele.

– Wiesz jak jest, Derix. Zresztą, nie bądź hipokrytą. Ciebie nie szukali po tej akcji ze smokiem?

– Aaa, muszę ci powiedzieć, że szukali – odparł z dumą czarodziej. – To jedno z moich popisowych zaklęć, także Kościół trochę się zirytował. Z tą rozkładającą się w tej chwili Stormbringer na czele. Z



tego też powodu, siedzę sobie tutaj, w moim sanktuarium.

– Nadal gorąco? – zapytał z troską Kylven.

– Właściwie już nie. Głównie szukają ciebie. Wkładają w to tyle trudu, że nawet na potwory brakuje im czasu. Jaze chwalił się ostatnio, że dawno nie był tak odjebany walutą – mag zaśmiał się szczerze.

– U niego w porządku?

– Pewnie. Nikt nie przejął się łysiejącym facetem w szaliku. Ten to ma zawsze szczęście. Nie dość, że uszedł z życiem, to nikt go nie szuka i może sobie w spokoju pracować.

Kirkhammer postanowił, że Jaze'a również wkrótce odwiedzi.

– No dobrze, do rzeczy.

– Naturalnie! – ucieszył się Derix, po czym ujął pudełko i otworzył je.

Uchylone wieczko ukazało małą poduszeczkę z aksamitu. Czarodziej teatralnym gestem, przy pomocy telekinezy, rozwinął aksamit, ukazując dwa niewielkie wisiorki na platynowych łańcuszkach. Jeden z oprawionych kamieni był ogniście czerwony, a drugi błękitny niczym czysta bryła lodu. Oba w subtelnych kształtach kropel wody.

– To najpiękniejsze Syjamskie Łzy, jakie kiedykolwiek widziałem – powiedział bez wyolbrzymiania Kylven.

– Wiem. W końcu je zdobyłem – Derix uniósł głowę w dumnym geście.

Kirkhammer wydobyl portfel z kieszonki przy pasie, lecz czarodziej gwałtownym ruchem schował go z powrotem zaklęciem.

– Nie obrażaj mnie! – powiedział, poważniejąc nagle. – Jesteśmy przyjaciółmi. Dzięki tobie mogłem zaprezentować światu swoje popisowe zaklęcie. Poza tym, widziałem w telewizji, co zrobili z twoim domem. Na pewno nie przelewa ci się. Mnie za to, a i owszem. Tak że schowaj to.

– Dziękuję. To może chociaż to? – zapytał wojownik, wydobywając butelkę.

Derix przyciągnął gestem do swoich rąk flaszkę, która pomknęła nad stołem. Odkorkował ją, powąchał i uśmiechnął się szeroko, ukazując równe rzędy białych zębów.

– Bimberek z enciątek! Toż to skarb! Ileż ja się tego naszukałem! Kylvuś, to aż zbyt wiele za te drobiazgi!

– Bez przesady. I tak czuję się dłużny.

– Ależ nie powinieneś! To wspaniały prezent! To co? Po małym? – zapytał Derix, nie czekając na odpowiedź. Wstał i sięgnął dwa kryształowe kubki z fikuśnej szafki, w kształcie wyszczerzonego kota.

– Nie, dzięki. Wiesz, ja nie czuję smaku... Szkoda tego na mnie.

Czarodziej zawahał się, po czym na jego twarzy zagościł wyraz tak głębokiego współczucia, że Kirkhammerowi zrobiło się bardzo głupio.

– Rozumiem. Teraz rozumiem jakie nieszczęście cię spotkało. Zaprawdę, wielka siła musi być okupiona ogromnym poświęceniem.

– Przywykłem już. Wiesz, chciałbym posiedzieć i pogadać, ale nie mogę się doczekać, żeby wręczyć tę Łzę i...

– Wszystko rozumiem, oczywiście, chcesz pędzić do damy swego serca, niezwłocznie dać namacalny dowód swoich płonących gorąco uczuć. W pełni logiczne i przepysznie romantyczne. Otworzę ci portal.

– Wpadnę jeszcze, niedługo. I jeszcze raz dziękuję ci – powiedział Kylven, idąc do wyjścia.

– Nie ma o czym mówić. Też byś mi pomógł w potrzebie, jak już to zrobiłeś nie raz.

Przyjaciele uścisnęli sobie dłonie, po czym Derix otworzył portal.

– Do zobaczenia! – powiedział Kirkhammer.

– Oby rychło! – odpowiedział czarodziej.

## *Rozdział 5*

W ciemności sypialni jaśniały jedynie gorejące wzory na ciele Kylvena. Ich blask odbijał się w dwóch małych kamieniach w kształcie łoż. Łańcuszki, na których były zawieszane, splotły się ze sobą niczym sylwetki ich właścicieli, leżących na łóżku.

– Więc nieważne gdzie będziesz, i tak zawsze będę cię miała na wyciągnięcie ręki.

– Dokładnie tak. Zawsze będę obok. Na twoje wezwanie.

– To najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam... – głos Jemiby drgnął.

– Najwspanialszy, oprócz? – zmartwił się Kirkhammer, obejmując ją

mocniej.

– Najwspanialszy dostałam od losu. Dostałam ciebie.

Kylven obudził się w środku nocy. Jego ręka szukała Jemiby, jednak spotkała tylko poduszki i kołdrę. Powinien był obrócić się na drugi bok i zasnąć. Mężczyzna wstał jednak, kierowany złym przeczuciem. Aura kobiety, normalnie spokojna, wypełniająca pałac spokojem i gościnnością, teraz niespokojnie drżała, jakby w obawie przed jej odkryciem. Kirkhammer wstał i wyszedł z sypialni. W sali bankietowej usłyszał głos czarodziejki. Dobiegał on z jej komnaty. Drzwi do pokoju były uchylone, a ze środka sączyła się smuga światła. Kylven nie chciał podsłuchiwać i nie powinien tego robić, jednak stanął i nadstawił uszu.

– ...oczywiście, że o tobie pamiętam, kochany. Musimy jak najszybciej się zobaczyć. Ja też tęsknię, ale miałam dużo spraw, których nie mogłam odłożyć na później. Mhm, oczywiście, że włożę na siebie coś ładnego. Muszę pięknie wyglądać dla mojego ulubionego mężczyzny...

Kylven nie słuchał dalej. Poszedł szybko do sypialni, żeby się ubrać i spakować swoje rzeczy. Do torby podróżnej wrzucił ubrania, których nie było dużo, głównie zapasowy komplet jego uniformu, a także szczoteczkę do zębów, której z jakichś powodów nadal używał. Pospiesznie włożył na siebie ubranie, zacisnął pas z mieczami i wyszedł z sypialni. Poszedł dłuższą drogą, żeby ominąć salę bankietową. Przeskoczył przez barierkę na placyk z windą do laboratorium i pomknął stamtąd na główny taras.

– Patagon! – krzyknął wojownik.

Gryf nie spał. Musiał wyczuć gniew swojego kompana. Skrzydlata postać wynurzyła się z bramy Trytona, stąpając ostrożnie. Kirkhammer złapał leżące pod ścianą siodło i zaczął je mocować na grzbiecie gryfa, kiedy przez drzwi od kuchni wyszła Jemiba.

– Można wiedzieć dokąd się wybierasz o tej porze? – zapytała.

Kylven nie odpowiedział. Mocował się dalej z paskami oraz przymocowywaniem torby do siodła.

– Powiesz mi o co chodzi? Dokąd idziesz?

– Jak najdalej od ciebie.

Kobieta cofnęła się o krok, jakby została spoliczkowana.

– Słucham?

– Nie obchodzi mnie z kim przed chwilą rozmawiałaś. Gdybym się dowiedział, musiałbym go zabić, a mam dosyć krwi na rękach. Odchodzę.

Jemiba zamrugwała kilkakrotnie i potrząsnęła głową.

– Podśluchiwałaś mnie? – rzeczy oczywistych nie trzeba mówić. – Myślałam, że mi ufasz.

– Ufałem. To był mój błąd.

– Nie chcesz nawet wyjaśnień? Tak po prostu odleciez na tym swoim gryfie jak jakiś cholerny bohater z taniego komiksu?

– Nie ma tu czego wyjaśniać. Ja odlatuję, twój ulubiony mężczyzna może przylecieć.

Policzek został wymierzony dokładnie, solidnie i poparty ogromną dawką gniewu.

– Muszę sobie radzić w tym biurokratycznym gównie. Bycie biznesmenką nie jest proste. Nie masz o tym pojęcia. Zawsze było trudno, a po ostatnim wyczynie w Lulacile, zniszczyli mój rodowy dom, zamknęli wszystkie konta i skonfiskowali wszystko, co się dało. Rozumiesz mnie? Byłam zabezpieczona na taką okoliczność i większość środków ruchomych została przelana na moje najtajniejsze z tajnych kont, na fałszywą tożsamość, przez wielu pośredników. Ślady zostały zatarte, ale i tak nie jest kolorowo. Bankierzy to obleśne, paskudne świnię. Wszyscy pomagają mi wyłącznie ze względu na mój tyłek. Żaden z nich mnie nigdy nie dotknął, żeby było jasne. Uśmiecham się, odpowiadam na upośledzone komplementy i staram się przy tym wszystkim nie porzygać. Staram się to wszystko utrzymać w całości. Rozumiesz mnie?

Kylven zamocował siodło oraz torbę. Stał przez chwilę, oparty i umięśniony grzbiet Patagona, po czym odwrócił się do swojej ukochanej. Mężczyzna spojrzał w jej cudowne oczy, wypełnione teraz niepewnością.

– Jesteś dokładnie taka sama jak ja – powiedział. – Zależy ci tylko na wygrywaniu. Podbiłaś moje serce i od razu przestałaś się nim interesować. Nie oszukasz mnie. Nie pozwolę znowu się komuś uwieść. Nie pozwolę sobie na kolejne szaleństwo tylko po to, żebyś mogła się dobrze bawić, pociągając za moje sznurki. Jestem ci potrzebny tylko po to, żeby wypełnić tę niedorzeczną misję, którą wymyśliłaś, żeby

nadać sens pustemu życiu bogatego dziecka. Żegnaj.

Po tych słowach Kirkhammer dosiadł gryfa i krzykiem zmusił go do lotu. Popędzał Patagona jeszcze długo, aby uciec od płaczu Jemiby. Nie oglądał się za siebie, ponieważ pękłoby mu serce. Mężczyzna nie mógł powiedzieć swojej ukochanej, że kontekst tego telefonu nie miał żadnego znaczenia. Nie mógł wyznać, że coś, co było w nim bardzo głęboko, potrzebowało bardzo błahego pretekstu, aby ją zabić. Nie potrafił powiedzieć Jemibie, że gdyby został w pałacu choćby chwilę dłużej, drzemiący w nim demon mógł odebrać mu kontrolę i zarznąć ją jak tuczną świnie. Kylven nie umiał przyznać się do słabości swoich uczuć, wobec potęgi tego zła. Patagon leciał szybko, aby huczący wiatr zagłuszył szloch swojego towarzysza. Gryf bardzo dobrze wyczuwał toczącą się w nim walkę. Równie dobrze wiedział, że tej nocy miłość pokonała nieskazitelną agresję i nienawiść. Dokonała tego jednak kosztem cierpienia. Było ono tak wielkie, że Patagon ledwo mógł udźwignąć je na swoich skrzydłach.

## *Rozdział 6*

Patagon leciał długo i wytrwale ponad rozległym lasem otaczającym Senne Jezioro. W końcu gęstwina drzew przerzedziła się i gryf wylądował na łące, usianej malutkimi, młodymi dębami, o złotych listkach. Kirkhammer zsiadł z grzbietu towarzysza i pogłaskał go po dziobie. Patagon wpatrywał się mądrymi oczami w istotę, którą wybrał jako najbardziej potrzebującą jego pomocy. Teraz dopiero zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo jego decyzja była słuszna. Miał przed sobą obraz absolutnej rozpacz. Kylven gapił się w horyzont, gładząc machinalnie gryfa, nie mogąc wyrazić swojego bólu w inny sposób jak cichym wzdychaniem. Przy każdym z nich jego żuchwa opadała lekko, uwalniając strużkę dymu. Nie miał pomysłu na następny krok. Ucieczka była konieczna, ale co teraz? I czy ma to jakikolwiek sens? Wojownik jeszcze długo ubolewał nad swoim losem, obserwowany przez ciekawskie gwiazdy. *Ma* – pomyślał. Mężczyzna sięgnął po komórkę i

wysłał krótkiego SMS-a. Po chwili, razem z Patagonem, przeszli przez otwarty portal.

Ranek wstawał już nad górami, zamieniając spowijającą ich szczyty mgłę w różowo – pomarańczowe kłęby dymu, płynącego z ogromnego kadzidła, którym było wczesne słońce. Patagon otrzymał swój własny pokój w kryjówce Derixa. Był to właściwie wybieg ze słomianym posłaniem, łączący się z siecią korytarzy domu oraz światem zewnętrznym przez szeroki szyb. Gryfowi nie było potrzeba wiele do szczęścia, a po szaleńczym locie ułożył się wygodnie, owijając się skrzydłami i zasnął niemal natychmiast. Kylven w tym czasie siedział wraz z Jazem w pokoju gościnnym. Derix krzątał się w kuchni, przygotowując przekąski do alkoholu. Owszem, był wczesny ranek, jednak okoliczności, które sprowadziły Kirkhammera oraz Wojownika w Szalu, wymagały napicia się. Magowi pora spożywania wódki nie czyniła żadnej różnicy. Przyjaciele siedzieli w milczeniu, ponurzy, na wygodnej sofie. Jaze bawił się frędzlami szalika, wyłożywszy nogi na stół. Obserwował czubki swoich brązowych butów z żelaznymi noskami, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Kylven, jak zwykle, analizował cały szmelc, który był podwieszony pod sufitem pokoju. Wtem do środka wparował Derix niosąc tacę, którą postawił na stole, przeganiając stopy Jaze'a jak natrętną muchę.

– Czym chata bogata! – powiedział radośnie. Czarodziejowi humor, o dziwo, dopisywał.

Na tacy znajdował się słoik kiszonych ogórków z chilli, miseczka z marynowanymi grzybami o jaskrawych kolorach oraz ząbki czosnku, zawinięte w cieniutkie plasterki słoniny. Honorowe miejsce zajmowała jednak butelka zielonkawego trunku, którą mag otrzymał od Kylvena.

– Zanim zaczniemy, przypominam, że nie mam kubków smakowych. Nie wiem nawet czy mogę się, kurwa, upić. Masz może spirytus?

– Kylv, czy w morzu jest woda? – odpowiedział dosyć mało błyskotliwie czarodziej. – Oczywiście, zaraz przyniosę.

Trzy szklanki zostały napełnione, wzniesli toast i wypili do dna. Jaze i Derix uśmiechnęli się, rozkoszując smakiem bimbru z encich zarodków. Kiedy Kylven wlał swoją kolejkę do gardła, alkohol oczywiście zapalił się niebieskimi płomieniami. Poczuł pieczenie w nozdrzach i znajomy zapach, co dało mu nadzieję, że opary alkoholu dotrą do jego

zmęczonego mózgu.

– No to opowiadaj, skwareczku, dlaczego nie jesteś teraz ze swoją lubą, tylko walisz spirytus? – zapytał ciekawie mag, ładując sobie pokaźnego grzyba, w kolorze przywodzącym na myśl krew karłacza, do ust.

– Właściwie, to chciałem się najpierw dowiedzieć, dlaczego Jaze tu jest – powiedział Kirkhammer. – Też jesteś poszukiwany?

– A czy ja nie mogę czasami odwiedzić mojego szalonego przyjaciela Derixa? – obruszył się sianowłosa wojownik. – Tak naprawdę, to owszem. Usłyszałem od kilku życzliwych osób, że Kościół chce dobrać mi się do dupy, więc umknąłem do najbezpieczniejszego miejsca, jakie znam.

– Nie chciałem narobić wam kłopotów – zasępił się Kylven.

– Daj spokój. Posiedzę tutaj, popiję trochę, porozkoszuję się widokami i powrócę do życia społecznego, kiedy sytuacja się uspokoi.

– Tak prędko może się nie uspokoić – rzekł Derix. – Kolaius bardzo się przejął swoimi ostatnimi niepowodzeniami. Podobno jest tak bardzo zdenerwowany, że przymyka oczy na przewinienia swoich podwładnych.

– Jakie przewinienia? – zapytał były Młot Kościoła.

– Różne. Rabunki, ciche morderstwa nieprzychylnych osób, personalne vendetty... Ostatnio słyszałem nawet o zbiorowym gwałcie w wykonaniu oddziału Rąk.

– Skurwysyny! – powiedzieli zgodnie goście.

– Zgadzam się. Proponuję zatem, żebyśmy wypili za to, żeby im te wszędobylskie kutasy owrzodziły i poodpadały!

Przyjaciele zgodnie wychylili po kolejnej szklance alkoholu. Kirkhammer bardzo ucieszył się, kiedy zaczęło mu delikatnie szumieć w głowie. Od dawna nie czuł tego kojącego stanu.

– Martwi mnie ta obecna sytuacja geopolityczna – mruknął Jaze, plując kawałkami ogórka.

– Co masz na myśli? – zapytał Kylven.

– Mam na myśli to, że Kościół traci zaufanie społeczeństwa. Nie udało im się ciebie znaleźć. To znaczy, raz się udało, ale twoja koleżanka wymownie dała do zrozumienia, że to zły pomysł. No a wcześniej, to ty ich znalazłeś...

- Nie mówmy o tym.
  - Oczywiście nie wierzę w tę propagandę Rady i Kolaiusa, ale rozumiem, nie mówmy. Wracając, Kościół traci zaufanie, a bardzo mu się to nie podoba. Będzie chciał utrzymać swoje wpływy i autonomię. Obawiam się, że będą mogli chcieć zrobić to siłą.
  - Daj spokój – zachnął się Kirkhammer. – Kościół nie ma tyle sił, żeby sprzeciwić się połączonej armii Zjednoczonych Państw.
  - Nie byłbym tego taki pewien. Ręce są szkolone w posługiwaniu się bronią palną. I potrafią używać magii. Nie wspominając o całej armii czarodziejek i magów. Naukowcy w tej instytucji też należą do elit. A to tylko ujawnione informacje. Kto wie, co ukrywają.
  - Z tą magiczną armią bym nie przesadzał – zachichotał Derix. – Widzieliście jak się posrali, kiedy zobaczyli mojego smoka.
  - Nie każdy mag poza Kościołem ma takie zdolności jak ty. Obawiam się, że równie utalentowanych jest niezmiernie mało – oponował Jaze.
  - Tak czy inaczej, – wtrącił Kirkhammer – sprzeciwienie się wszystkim zleceniodawcom, płatnikom i sponsorom, byłoby zwyczajnie głupie.
  - Pamiętaj, że Kościół finansują także prywatni biznesmeni, nie tylko rządy Zjednoczonych Państw. Ich może kusić podbicie rynku światowego przy pomocy własnej armii elitarnych zabójców.
  - Jeżeli faktycznie będą mieć takie zapędy, zabijemy ich – podsumował spokojnie Kylven.
- Mijały godziny przepelnione mniej i bardziej poważnymi tematami, pysznymi przekąskami oraz, głównie, alkoholem. Wkrótce przyjaciele zaczęli zamęczać Kylvena pytaniami o powód jego ucieczki od Jemiby. Mężczyzna nie miał zamiaru wdawać się w szczegóły. Nie chciał także zmartwić ich swoją sadystyczną naturą. Sam dobrze wiedział, że chociaż Jaze i Derix byli mu bliscy niemal jak bracia, nie mogli swoim zachowaniem sprowokować drzemiącego w nim demona. Powiedział zatem krótko, że ten związek nie miał prawa doczekać się szczęśliwego zakończenia. Temat jednak pozostał przy kobietach, jak to zwykle bywa przy męskich popijawach. I nie zmienił się już.
- Ale przecież dałeś jej Syjamskie Łzy! – bełkotał czarodziej – SYJAMSKIE ŁZY! Czy ona sobie zdaje sprawę jakie to rzadkie cacko?
  - Zdaje – odparł z trudem Kirkhammer, pólżąc na kanapie i



koncentrując się na tym, aby nie umrzeć. Spirytus był głupim pomysłem i wspaniałym, zarazem. – Jest mądrzejsza od nas wszystkich.

– Poddaję to twierdzenie w wątpliwość! – wrzasnął Jaze, podnosząc się spod stołu. – Przecież Syjamskie Łzy są ostatecznym i najdoskonalszym symbolem wiecznej miłości! Zaraz obok buziaka po spuście do ust, oczywiście – zakończył, po czym szybko pochłonał trzy kawałki słoniny, żeby stawić opór fali mdłości.

– Dlaczego zakładacie, że to z jej winy wszystko się posypało? – zapytał Kylven, starając się zmienić pozycję. Bezowocnie.

Derix odchylił się na swoim fotelu i dumnie uniósł głowę.

– Jaze, czy mógłbyś mi przypomnieć jak brzmiała nasza maksyma? Ta, nad którą pracowaliśmy tak długo, wspólnie we czwórkę, jeszcze ze świętej pamięci Nayelem Kamykiem, niech ziemia na wieki pochłonie jego zdradzieckie ścierwo?

– Kurwy szmaty – wyrecytował dumnie Jaze.

– Dokładnie! – zaaprobował czarodziej – Kurwy szmaty! Czyżbyś, drogi skwarku, zapomniał skąd się wzięła ta maksyma?

– Nie, nie zapomniałem – odpowiedział Kirkhammer, chociaż już prawie nie rozumiał wypowiedzianych do niego słów.

– Mam co do tego wątpliwości, więc pozwól, że ci przypomnę – rzekł czarodziej, po czym teatralnie odchrząknął.

– Bedzie dobre! – zaskrzeczał Jaze i podciągnął Kylvena na siedzeniu, prostując nieco jego myśli i zmysły.

– W ciągu całego trwania naszej wspaniałej, ludzkiej cywilizacji, kobiety nie osiągnęły absolutnie niczego.

– A w sumie to gównu prawda, bo jednak czytałem gdzieś o kobiecie, która miała wkład w osiągnięcia nowoczesnej chemii i fizyki – bąknął Jaze, opierając podbródek na dłoni, po części aby wyglądać mądrzej, a po części w celu utrzymania głowy w pionie.

– Największym jej osiągnięciem było to, że jej mąż rzucił się pod samochód, bo była szpetna jak czarna, jesienna noc gradowa! – Derix aż się opluł.

– To był wypadek – powiedział Kirkhammer.

– I wy w to wierzycie?! Wierzycie, że facet, który całe życie poświęcił nauce mógł tak po prostu wpaść pod samochód, jak kompletny idiota? Nie, to było umyślne samobójstwo z premedytacją. Kontynuując,

kobiety niczego nigdy nie osiągnęły, bo nie musiały. Od dawien dawna, czasów najdawniejszych i wcześniejszych jeszcze, to mężczyźni harowali, umysłowo lub fizycznie. Wszystko po to, aby móc daną kobietę, tę swoją wymarzoną wybrankę, zaliczyć. W skrócie, kobiety zawsze stanowiły źródło motywacji dla mężczyzn, tak zostały zaprojektowane przez naturę i do tego służą. Mają być i ładnie wyglądać. I faceci tyrają dniami i nocami, aby te swoje fiutki ogrzać. Efektem ubocznym jest rozwój naszej cywilizacji, co właściwie jest również najcenniejszym owocem tego procesu. Idąc dalej, kobiety mają być trudne do zdobycia, aby napędzać postęp. Są one powodem, dla którego nie siedzimy już w jaskiniach. Aczkolwiek, dobrze wiemy, że zdarzają się kobiety, które szastają swoim sromem na lewo i prawo, jak pierdoloną chorągiewką na pochodzie. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, takie piździska przebrzydłe są szczególnie częste. Z racji tego, że kurwią się równie często, co ochoczo, panowie nie muszą się o nie starać. Skutkuje to zahamowaniem rozwoju społeczeństwa. I właśnie dlatego uważam, że puszczalstwo w wykonaniu kobiet, powinno być karalne prawnie i ścigane z urzędu. Bo widzicie, bycie kurwą jest proste. Wystarczy rozłożyć nogi. Bycie natomiast facetem powszechnie przez panie pożądanym, jest okrutnie trudne. To jest ta różnica.

– Ale w takim razie, co z tymi brzydkimi babami? – zamyślił się Jaze.

– I tak nikt ich nie chce. Tylko najbardziej zdesperowane chamy, które i tak nie zasługują na przekazanie swoich genów. To są błędy w systemie, które zaczynają rosnąć na dużą skalę, bo nie ma już selekcji naturalnej. No, ale nie o tym. Paskudne maskary mogą się puszczać z desperacji, albo próbować swych sił na innych polach. W ten sposób, powstają kobiety – naukowcy. Co absolutnie ich sytuacji nie zmienia, bo i tak nikt ich chciał nie będzie.

– Kurwy szmaty – zakończył ceremonialnie, niczym modlitwę, Jaze.

– Kurwy szmaty – zawtórował mu Derix.

Kirkhammer nie poszedł w ślady przyjaciół. Nie, żeby się nie zgadzał z tymi wywodami. Jednak myślał wyłącznie o Jemibie. Jej obecność wśród szkalowanej tego wieczoru płci, nie pozwoliła mu na wykrztuszenie z siebie tych dwóch słów. Wkrótce cała trójka wypłała po ostatniej szklance i zgodnie zasnęła, nie ruszając się z zajętych miejsc.

Słońce natomiast, zaczynało powoli zachodzić za horyzont, planując jakie przynieść sny zasypiającemu światu.

## *Rozdział 7*

Następnego ranka Kylven obudził się bez kaca. *Bycie dziwadłem ma swoje plusy* – pomyślał, patrząc na śpiących towarzyszy. Derix pólleżał na fotelu, ściskając pustą butelkę, niczym ukochane dziecko. Jaze chrapał pod stołem w pozycji embrionalnej. Przypominał nieco człowieka, kryjącego się przed trzęsieniem ziemi. Odgłosy, które z siebie wydawał przywodziły nawet na myśl jakiś kataklizm. Mężczyzna przeciągnął się i poszedł wypuścić Patagona. Droga przez długi i kręty korytarz nie była nudna. Szalony czarodziej ozdobił ściany iluzjami, przedstawiającymi krajobraz na zewnątrz, w czasie rzeczywistym. Wojownik przyglądał się ochoczo zamglonym szczytom gór, czarnym smużkom wydobywającym się z sięgających aż do Podziemnej Metropolii kominów, oraz mistycznemu światłu wschodzącego słońca, które nadawało widokowi jakąś tajemnicę. Kirkhammer wszedł do pokoju, w którym nocował gryf. Patagon podniósł łeb ze swoich łap. Od dawna nie spał.

– Hej, przyjacielu! – powitał go Kylven, drapiąc za jednym z czubów, które zdobiły skronie gryfa. – Już ci otwieram. Pewnie strasznie się nudziłeś. Wybacz, ale musiałem uporządkować myśli. Właściwie, pozbyć się ich, chociaż na chwilę.

W oczach Patagona nie było wyrzutu, ale nie było w nim też współczucia. Wojownik wzdrygnął się pod tym penetrującym wzrokiem. Gryf prychnął i trącił ogromnym dziobem jedną z kieszonek przy pasie Kirkhammera. Mężczyzna sięgnął do niej i wyciągnął małą karteczkę. Były na niej nabazgrane współrzędne geograficzne, które Kylven przepisał z raportów wykrywacza tachionów.

– Masz rację – powiedział cicho. – Wóda nie jest rozwiązaniem. Poza tym, odszedłem od niej, by ją chronić, a nie zawieść.

Gryf przechylił nieco głowę, wyraźnie bardziej zainteresowany.

Wojownik uśmiechnął się i odezwał dużo głośniej i bardziej stanowczo.

– No, wstawaj! Wypuszczę cię na rozgrzewkę. Obudzę Derixa, otworzy nam portal.

Patagon zerwał się na równe łapy, wzbijając skrzydłami kłęby kurzu i zamieniając swoje słomiane posłanie w wytwór umysłu artysty nowoczesnego. Następnie odwrócił się w stronę szybu prowadzącego na zewnątrz i popędził nim.

– Obudź się ty zapijaczona świni! Magiku zasrany! Zadufany w sobie prestidigitatorze! – Kylven długo jeszcze potrząsał Derixem, trzymając go za przepastne szaty. Zaczął zastanawiać się, gdzie czarodziej trzyma odczynniki chemiczne i czy przypadkiem nie ma wśród nich czegoś na otrzeźwienie. Po chwili jednak mag rozchylił powieki, ukazując przekrwione oczy.

– Tylko nie prestidigitatorze. Chuju...

– Dobra, zamknij się, potrzebuję...

– Zwykły...

– Portalu do konkretnych...

– Do szczania.

– Derix! Cholera jasna, gdzie masz ten patent, co to otrzeźwiał w sekundę?

– Jest w szafce, za tobą. To logiczne chyba, że trzymam koło wódki – czarodziej zaczynał składać poprawne zdania, jednak oprócz języka, jego ciało było kompletnie bezwładne.

Kirkhammer puścił kapotę przyjaciela, który w rezultacie upadł z łoskotem na podłogę.

– Ała – wymamrotał.

Wojownik otworzył barenkę maga zawierającą chyba wszystkie możliwe alkohole świata. Szafka była niezwykle zmyślna. Z zewnątrz wyglądała jak zwykły mebel, jednak w środku, mieściły się całe przesuwane regały z butelkami, ciągnące się w promieniu wielu metrów, w każdym kierunku za otwartymi drzwiczkami. Kylven chciał już przywlec Derixa do barku i kazać mu szukać mikstury trzeźwiącej, jednak i tym razem czarodziej okazał się przezorny. Mała buteleczka z ciemnego szkła leżała tuż za drzwiczkami. Razem z paczuszką płynu wysokoelektrolitowego i całym zestawem potrzebnym do podłączenia kroplówki. Mężczyzna ucałował wszystkie przedmioty i wrócił do

przyjaciela. Kirkhammer wkłuł mu kaniulę do żyły tuż przed zgięciem łokciowym, następnie strzykawką podał nieco fioletowego płynu z buteleczki. Na koniec podłączył kroplówkę. Dosłownie dziesięć sekund później Derix zerwał się z podłogi.

– Dzie jestem?! – krzyknął – Czemu mje boli... Czemu wszystko mje boli? Dlaczego nie zostałem lekarzem?!

– Jesteś u siebie. Zachłateś. Jak my wszyscy, zresztą. Lekarzem nie zostałeś pewnie dlatego, że zamienianie różnych przedmiotów w twory kutanoidalne jest dużo zabawniejsze.

– A... No tak – zgodził się mag. Po kilku minutach umysł Derixa przestał pędzić na najwyższych obrotach. – Widzę, że podałeś mi Kacminatora. Dziękuję, jednak wiesz, że to ostateczność. Zawsze uważałem, że kac jest nieodzowną częścią dobrej imprezy.

– Zdaję sobie sprawę – powiedział Kylven. – Potrzebny mi jest portal. Właściwie, to dla mnie i Patagona, do konkretnych współrzędnych.

– Żeby tak z rana się teleportować... Nie no, żaden problem w sumie, tylko właściwie, to dokąd ty się wybierasz o tej porze i w takim pośpiechu? – spytał podejrzliwie przyjaciel.

– Sam nie wiem, gdzie to jest. W każdym razie, mam tam coś do załatwienia. Opowiem ci, jak wrócę. Będę dzwonił.

– No tak, jak zawsze tajemniczy – zirytował się Derix. – Owszem, działa to na laski, ale wobec przyjaciół mógłbyś być szczerzy. Zwłaszcza, że ukrywam cię i w ogóle.

– Wiem, jestem szczerzy. Przepraszam, ale naprawdę nie wiem co mnie tam czeka. Tak czy inaczej, muszę się dostać w to miejsce. Wszystko ci zrelacjonuję po powrocie.

– W porządku – czarodziej wiedział, że nie skłoni Kylva do ujawnienia bardziej dokładnych informacji, więc odpuścił. – Bierz swojego kanarka i zaraz otworzę portal.

Po drugiej stronie portalu, osobliwe duo znalazło się na ogarniętym chmurami płaskowyżu. W każdym kierunku rozciągała się płaska skała. Kirkhammer pomyślał nawet, że trzeźwiąca mikstura nie zadziałała do końca i Derix wysłał ich na jakieś kompletne, losowe wypizdowo. Wątpliwości te rozwiało znajome już poczucie potężnej, obcej świadomości. Była ona jednak znacznie odmienna od dwóch wcześniejszych. Nie była przepętniona wrogością i negatywnymi

emocjami, lecz zdawała się biernie sączyć i rozlewać dookoła, niczym ta mgła na płaskowyżu. Kylven namierzył źródło tej woli. Było gdzieś daleko ponad nim, wśród mlecznobiałych chmur.

– Będziesz miał szansę się wykazać – powiedział wojownik do gryfa.

Mężczyzna poprawił ułożenie mieczy na plecach i dosiadł Patagona. Gryf ochoczo rozpostarł skrzydła i zerwał się do biegu. Wkrótce, czarna smuga poderwała się do lotu. Kylven trzymał się mocno siodła. Wiatr rozwiewał mu włosy i szumiał w uszach. Chmury były tak gęste, że z trudnością dostrzegał czubek dzioba Patagona. Lecieli dłuższą chwilę bez widoczności, zanim wspięli się ponad poziom obłoków.

– No nieźle – powiedział Kirkhammer. – Naprawdę nieźle.

Gryf zgodził się, w swoim własnym języku. Nad białą taflą lewitował cały archipelag. Latające wyspy, w postaci ogromnych głazów, postrzępionych skał i monolitów, wydawały się siłą wyrwane z morskiego dna i wyrzucone w przestworza. Był to widok, który przyćmiewał nawet podwodne miasto Tyreona. W miarę zbliżania się do niezwykłego miejsca, Kylven zaczął dostrzegać jego szczegóły. Poszczególne wyspy były połączone mostkami linowymi. Niektóre z nich były krótkie jak kładki, innych zaś nie powstydziliby się ogromne, ziemskie miasto. W każdej skale wykute zostały domostwa. Nie były to jednak prymitywne jamy i jaskinie. Powierzchnia kamieni została uformowana w misterne fasady, kształty mieszkań i portali. W połączeniu z ciemnoróżową barwą, dawały przyjemny, niemal swojski nastrój. Patagon wlatywał właśnie pomiędzy pierwsze wyspy. Kirkhammer dostrzegł ciekawskie i niezbyt przyjazne spojrzenia, atakujące ich z głębi skalnych domów. Krwawym oczom towarzyszyły gdzieśgdzie wyszczerzone paszcze, zbrojne w szeregi lśniących kłów.

– Te harpie nie wyglądają na zadowolone – stwierdził. – Wyverny pewnie też tu są. Czujni jak ważki! Mimo palącego wzroku mieszkańców, dwójka nie została zaatakowana. Patagon wytrwale leciał, posłusznie podążając za instrukcjami Kylvena, który kierował go do źródła obcej świadomości. Przelecieli pod ogromną arkadą łączącą dwie sąsiednie skały i skręcili w prawo. Mieli teraz przed sobą największą spośród wysp archipelagu. Jej powierzchnia została ukształtowana w fundament i masyw strzelistej świątyni. Budowla ponadto, została także wzniesiona z białego marmuru, wysoko ponad

utrzymującą ją skałę, co było tutaj wyjątkiem. U podnóża budynku, płynął szeroki strumień, który rozlewał się na krawędzi wyspy w wodospad. Jego strumienie znikły w przepaści poniżej, zamieniając się w ledwo dostrzegalną mgiełkę. Najwyższa iglica świątyni rozszerzała się u swego szczytu. Przypominała pękatą beczkę, całą oszkloną i skrzącą się w świetle słońca. Kirkhammer tam właśnie skierował swojego towarzysza. Gryf wznosił się coraz wyżej. Kiedy znajdowali się na poziomie obserwatorium, Kylven stanął w siodle, po czym wybił się mocno i błysnął. Przeleciał przez szkło, które pękło z głośnym brzękiem, sypiąc się dookoła. Patagon wzleciał do czubka wieży i przycupnął na samym szczycie, niczym kot. Mężczyzna zmaterializował się i rozejrzał. Pokój, w którym się znalazł miał wspaniałą, mozaikową podłogę, na której dominował fiolet i złoto. Kolory układały się w fantastyczne okręgi, łagodne elipsy i kształty przypominające gwiazdy. Sufit natomiast, zdawał się nie istnieć. Zastępowała go bezładna masa, lśniąca feerią barw, które przechodziły w siebie nawzajem i pulsowały delikatnie. Kolory zdawały się nie być położone na powierzchni, ale przypominały widok otwartego portalu teleportacyjnego. Oprócz wojownika w pokoju znajdowała się także mała postać. Owinięta w białą szatę, siedziała w bujanym fotelu, ustawionym przy przeciwległym oknie, kiwając się leniwie. Kirkhammer był nieco zdezorientowany, mając na uwadze swoje poprzednie przygody. Nie wiedząc co zrobić, stał w miejscu, pośród kawałków rozbitego szkła.

– Witaj, kochanieńki – usłyszał szorstki, ale bardzo łagodny głos. – Czekałam na ciebie.

Postać wstała i odrzuciła z głowy kaptur. Kylven miał przed sobą staruszkę o bardzo przyjaznej twarzy, pooranej głębokimi zmarszczkami. Babuleńka miała także bardzo pokaźny garb.

– Miałem już do czynienia z potworami ukrywającymi się w niewinnych ciałach. Nie dam się tak łatwo oszukać.

– Oh, ależ wcale nie myślę, że mogłabym cię oszukać. Jednak pokonałeś Lavecila i Tyreona. Nie dokonałby tego byle głupiec. Domyślam się, że mnie też chcesz zabić.

– Zgadza się – przyznał Kirkhammer, sięgając po miecz.

– Wiesz chociaż, dlaczego masz zamiar to zrobić? I czy w ogóle

chcesz to zrobić?

– Podobno jesteście swego rodzaju źródłami innych potworów. Z tego, co widziałem, jest w tym dużo racji. Wasze siedliska to prawdziwe wylęgarnie bestii. Zabiję ciebie i tego ostatniego dowódcę. Położę w ten sposób kres zagrożeniu, którym jesteście wobec ludzi – powiedział Kylven, postępując krok w stronę staruszki.

– Jejku jej... Ty naprawdę nic nie wiesz. Zrobisz, co będziesz chciał. Nie mam zamiaru błagać cię o litość, serdeńko. Wyjaśnię ci jednak, kim jesteśmy, kim był tak zwany przez ciebie Strażnik, który swoją drogą, stoi obok ciebie. Powiem ci wszystko, a może uświadomisz sobie, dlaczego twoje czyny mogą doprowadzić jedynie do zagłady ludzkości.

Wojownik zwątpił. Żaden potwór nie zwracał się do niego wcześniej w ten sposób. Kirkhammer opuścił dłonie i pozornie się rozluźnił. Rozejrzał się jeszcze, jednak nie dostrzegł Świetlistego Wojownika. Był w stanie uwierzyć w jego obecność, ponieważ jego wizje nie mogły być przypadkiem. Stał jednak w pozycji, z której mógł w momencie zaatakować, wykonać unik, lub uciec przez okno. Miał też świadomość, że Patagon czeka tylko na sygnał do ataku lub odwrotu.

– Może jednak nie jesteś takim barbarzyńcą – ucieszyła się babcinka, po czym odwróciła swój fotel w stronę rozmówcy i wdrapała się na niego. – Zatem posłuchaj. Nie wiem, dlaczego, ani jak, świat powstał. Możecie mieć swoje śmieszne teorie o wielkim wybuchu i różnych bogach. Prawda jednak jest taka, że wziął się z przypadku. Nie może być innego wytłumaczenia dla tak wyrafinowanej, a zarazem chaotycznej konstrukcji. Świat powstał, a z nim planety, gwiazdy i cała gama ciał niebieskich, o których nie chce mi się opowiadać. W każdym razie, ta planeta ma swoją energię, która trzyma ją przy życiu i to życie daje. Szczególnie silnie, energia ta manifestowała się w wyjątkowym miejscu, w którym mogła swobodnie uchodzić na zewnątrz. Miejsce to, to Kolebka. Stamtąd pochodzę. Cała nasza czwórka stamtąd pochodzi. Pierwszym, który się z niej wyłonił, był Angharm. Potem narodziłam się ja, Nibella. Następnie Lavecil i Tyreon. Nazwaliśmy siebie Opiekunami. Każde z nas, przejęło pewien obszar planety, o który mieliśmy dbać. Z mocą otrzymaną z Kolebki, stworzyliśmy nasze dzieci, które wy nazywacie potworami. Żyliśmy w harmonii, opiekując się licznym potomstwem. Nie było wojen. Nasze dzieci nie mieszały się do swoich



wzajemnych żyć, ponieważ były od siebie tak odmienne, że nawet komunikacja była trudna. Nie czuły zresztą nawet potrzeby opuszczania znanych sobie kręgów. Tak minęły miliony lat. Nasze narodziny odcięły Kolebkę od strumienia energii planety. Nie narodził się już żaden Opiekun. Z resztek energii zgromadzonych i uśpionych w kamieniu Kolebki, powstałi ludzie. Nawet nie pierwszy człowiek, ale całe wasze stado. Jacy byliście żałośni... – Nibella zrobiła krótką pauzę, podczas której tęsknym wzrokiem obserwowała archipelag niezwykłych wysp na morzu chmur. – Ledwie trzymaliście się na nogach. Cierpieliście głód i zimno. Powstało pytanie, cóż z wami uczynić? Lavecil uznał ludzi za plugawe wynaturzenia. Jakże on się wami brzydził. Chociaż sam nie był najpiękniejszy. Tyreon, z jakiegoś powodu, przeląkł się. Być może przewidział dzień, w którym został zabity... Tak czy inaczej, uznał was za zagrożenie. Angharm natomiast, najstarszy z nas, stwierdził, że nie ma miejsca dla was na świecie. Spuścił ze smyczy swoje demony. Tyreon i Lavecil poszli w jego ślady. Ukrywaliście się, próbowaliście bronić, ale byliście słabi. Tacy bezbronni... Jak dzieci.

Kirkhammer, słysząc nostalgię w głosie staruszki, zaczął domyślać się ciągu dalszego opowieści.

– Zesłałam do was z chmur, z mojego podniebnego królestwa. Pośród pożogi, pośród śmierci i krwi, znalazłam go. Znalazłam Yorwena. Był najpiękniejszą istotą, jaka chodziła po tym świecie. Błagał mnie o litość, chociaż nie byłam mu wroga. Chciałam dać szansę waszemu rodzajowi. Chciałam dać wam obrońcę. Kogoś równego nam. Opiekuna. Kogoś, obdarzonego mocą Kolebki. Dałam więc Yorwenowi syna. W ten sposób, narodził się pierwszy Strażnik, jak go nazwałeś. Daliśmy mu imię Nibelwen. Mało oryginalnie, wiem, ale brzmi ładnie, prawda?

– Ładnie – przytaknął Kylven, chłonąc każde słowo.

– Nibelwen okazał się potężny. Miał moc światła, które rozpraszało mrok. Był ostrzem w ciemności. Bronił ludzi wytrwale i długo, aż w końcu zaczęliście się rozmnażać i rozwijać. Oczywiście, moi bracia domyślili się pochodzenia Strażnika. Zostałam wyklęta i wygnana. Dla Angharma było to jednak za mało. Przybył tutaj ze swoimi dziećmi ognia i nocy. Nibelwen obronił mnie przed nim. Zabił Pierwszego Opiekuna. Okazało się jednak, że Opiekun nie może po prostu umrzeć.

Nasze ciała mogą się rozpaść, jednak fragment mocy Kolebki, z której powstaliśmy, jest nieśmiertelny. Jedyнным sposobem, aby zniszczyć tę energię, jest uwolnienie wszystkich tych fragmentów z ciał i złożenie w miejscu, z którego przyszliśmy. W ten sposób można zwrócić moc planecie i zakończyć nasz żywot. Ludzkość mogłaby wtedy rozkwitnąć, nieograniczona agresją ze strony potworów. Nibelwen, oprócz mojej mocy, odziedziczył także rozum. Zrozumiał, że bez zewnętrznego zagrożenia, ludzkość pochłonałaby bratobójcze walki. Mój syn znał wasze wady, bo sam je posiadał. Wiedział, że bez czynnika solidaryzującego, ogarnie was chciwość, wzajemny wyzysk, żądze i prymitywne pobudki. Zdał sobie sprawę z Prawa Równowagi, które tym światem rządzi. Wiedział jednak również, że Angharm powróci. Ludzie wzniesli więc katedrę na jego polecenie, z czarnego kamienia. Tam, w ogromnym sarkofagu, który osobiście opatrzył zaklęciami, uwięził esencję życia Pierwszego Opiekuna. Potem, wszystko potoczyło się w dużo gorszym kierunku. Nibelwen uznał, że ludzkość nie może znać prawdy. Był przekonany, że zostanie zlinczowany za to, że nie chce zniszczyć źródła ludzkich cierpień. Zabił więc Yorwena. Zamordował własnego ojca, każdego, kto pracował przy budowie grobowca i więzienia Angharma. Wyeliminował świadków. Następnie za swój obowiązek uznał utrzymanie równowagi, aby ludzkość znajdowała się w stanie ciągłego zagrożenia. Dał wam jednak możliwość obrony. Tak, dobrze myślisz. Nibelwen założył twój Kościół. On podarował ludziom wiedzę o magii. Był źródłem całej religijnej propagandy, według której początkiem organizacji byli Czterej Władcy. Prawdziwa ironia... Największe stowarzyszenie zabójców potworów, czci swoich największych wrogów.

Kylvenowi kręciło się w głowie od wszystkich tych informacji. Staruszka nie zwalniała.

– Mijały lata i stawało się coraz gorzej. Angharm w swoim więzieniu rósł w siłę. Regenerował się. Nibelwen wyczuwał nadchodzące niebezpieczeństwo. Założył więc rodzinę. Swojego syna wychował na następcę. Nauczył go wszystkiego o świecie, równowadze oraz przekazał dokładnie umiejętności. Kiedy nadszedł czas, Nibelwen umarł w katedrze Angharma, a jego moc została uwolniona i wzmocniła zaklęcia pętające Pierwszego Opiekuna. Od tamtej pory, ród

Strażników działał tak samo. Przez dziesięciolecia kolejni z nich przekazywali wiedzę potomkom, a następnie umierali, dalej pełniąc swoją wieczną służbę przy sarkofagu. Aż do tamtego dnia. Jeden się zbuntował. Odmówił przyjęcia obowiązków Strażnika. Syn stanął przeciwko ojcu i pokonał go. Odizolował siebie i swoją rodzinę od tradycji, od tej klątwy, która ciążyła nad rodem. Jego ojciec wybrał więc innego następcę, spoza rodu. Jego krew nie miała w sobie mojej mocy, więc Strażnik musiał podzielić swój dar. Dar podarowany, nie znajdujący się we krwi, nie mógł być dziedziczony. Wtedy właśnie rozpoczął się czas słabnięcia. Kolejni Opiekunowie ludzi, wybierają swoich następców, szkolą ich i przekazują część swojej mocy. Coraz mniej sił mają umarli, trzymający w zamknięciu Angharma. Coraz mniej sił mają kolejni Strażnicy. Ród zdrajców i tchórz, nadal jednak żyje.

– Czyli jeżeli znajdę dziedzica Nibelwena, jego krew pozwoli mi zniszczyć wszystkie fragmenty energii Kalebki? – zapytał Kirkhammer, kiedy połączył kropki.

– Tak. Musisz zrozumieć, mój drogi, że jesteś wyjątkowy. Wymknąłeś się prawom, które rządzą wszechświatem. Nie jesteś człowiekiem, ani demonem. Masz w sobie elementy dwóch, zupełnie odmiennych, światów. Tylko dzięki temu, miałeś szansę przeciwko ostatniemu Strażnikowi oraz moim braciom. Jesteś szansą dla ludzkości. Możesz wyrównać szale równowagi. Musisz tylko przyjąć rolę kolejnego Strażnika. Twoja siła, w połączeniu z darem mojego syna, pozwolą zatrzymać Angharma w jego śnie, a świat w równowadze. Rozumiesz już teraz? – Nibella pochyliła się do przodu w fotelu, patrząc oczami, w których były całe galaktyki.

Kylven powoli, ale stanowczo wyciągnął Łaskę z pochwy, przez co oczy staruszki nieco przygasały.

– Ten zdrajca i tchórz miał rację. Zezwolenie na życie ludzi w strachu, uczynienie z siebie jedyne ramienia naturalnej selekcji, to poczucie wyższości i cholerna apatia – to jest nieludzkie. To właśnie odróżnia was od nas. Nie przyłożę ręki do tego bestialstwa. Dziękuję za wykład. Wierzę ci. Jednak nadal uważam, że zniszczenie Władców to najlepsza opcja.

Nibella zsunęła się z fotela i pochyliła głowę.

– Widzę, że ponadludzki rozum był największym moim darem dla

Nibelwena. No cóż, miałeś szansę. Teraz umrzesz.

Po tych słowach, garb staruszki pękł, tryskając krwią. Spod skóry wyłoniły się białe skrzydła, zabrudzone czerwienią. Nibella zaczęła rosnać. Jej powykręcane ciało zwiększało rozmiary, aż kobieta osiągnęła dwa metry wzrostu. Jej bezzębne, skurczone usta pękły, rozciągając się teraz od ucha do ucha, najeżoną zębiskami paszczą. Kruche paznokcie również się wydłużyły, osiągając po stopie długości i przekształcając się w szpony.

– Stoisz przed Córką Wiatru, odmieńcze! – krzyknęła harpia – Dzięki mnie, twój rodzaj żyje! Przetrwaliście dzięki mnie!

– I przez ciebie cierpimy – odparł Kylven, sięgając po Łaskę.

Nibella wyciągnęła nad siebie dłoń, a z niezwykłego krajobrazu nad nimi, spłynęła do niej długa włócznia o złotym kolorze. Nie wahała się. Była bardzo pewna swojej siły. Kirkhammer nie omieszkał tego wykorzystać. Harpia pchnęła potężnie ostrzem. Kylven sparował uderzenie i zrobił piruet wzdłuż drzewca tak, że po chwili złapał je lewą ręką, a prawą uderzył sztychem. Ostrze zagłębiło się w ciele potworzycy, przy akompaniamencie rozrywającego wrzasku. Mężczyzna uniknął wielkich szponów, wirując do tyłu. Umieścił miecz pod ostrzem włóczni i przerzucił je nad sobą, zachodząc wroga od flanki. Schylił się pod lecącym na niego skrzydłem, jednak dostał kopniaka ogromną łapą. Kylven poleciał do tyłu, zrobił salto i wylądował. Obcasy poszorowały po posadzce, zanim wojownik się zatrzymał, jednak musiał natychmiast błysnąć, ponieważ Nibella spadała na niego z ogromną prędkością, po niesamowitym skoku. Chciał zmaterializować się za plecami harpii, ale ta zamachała skrzydłami, a podmuch wiatru posłał piroklastyczną chmurę w przeciwny kraniec pomieszczenia. Kirkhammer wyleciał przez oszkloną ścianę.

– Patagon! – krzyknął po odzyskaniu zwykłej postaci.

Gryf pikował na niego i chwycił ramię towarzysza przednią łapą, po czym wypoziomował lot. Patagon zrobił kółko i cisnął wojownika z powrotem na pole bitwy. Kylven rozbił kolejną szybę, przeokoziłkował i odskoczył przed miażdżącym ciosem. Nibella dyszała ciężko ogarnięta szalem. Kropelki krwi spadały na kolorową posadzkę. Potworzyca zasłaniała się teraz skrzydłami, wystawiając przed siebie grot włóczni.

Wojownik nie mógł błyskać. Musiał inaczej rozpracować przeciwniczkę. Czekał więc na atak. Sparował poziomy cios, odskoczył przed skrzydłem i spróbował skrócić dystans. Parada odbiła kolejne pchnięcie, jednak szpony harpii przecięły powietrze tuż nad głową wojownika, a przed drugim skrzydłem zasłonił się obiema rękoma. Ledwie stawiał opór potężnej kończynie. Raptownie odpuścił, kucnął pod pędzącymi piórami i złożył się do cięcia, kiedy trzonek włóczni rąbnął go w skroń. Kirkhammer błysnął do tyłu. Czuł rosnący krwiak z boku głowy oraz własną wściekłość. Nibella zaśmiała się, co brzmiało jak torturowane kociątko. Harpia machnęła skrzydłami i pochyliła włócznię. W efekcie wystrzeliła jak z procy. Kylven wziął zamach i ciął mocno, zbijając grot, następnie poziomym uderzeniem odtrącił skrzydło, którym chciała zasłonić się przeciwniczka. Posłał rękę z pędem ciosu, wykręcając ją na plecy i jednocześnie uchylając się przed pazurami, które pędziły w stronę jego oczu. Poczł uderzenie za sobą. Wyswobodził dłoń zza pleców, drugą chwytając włócznię. Zakręcił się niczym węgorz, schylając pod drzewcem, tnąc jednocześnie biodro Nibelli i wykręcając boleśnie jej ramię, zaciśnięte na broni. Głowicą miecza uderzył dłoń potworzycy i wyrwał jej włócznię. Natychmiast skoczył w górę, unikając uderzenia skrzydłem. W locie zawirował, kręcąc swoim nowym nabytkiem i opadł, wbijając jego ostrze w plecy harpii. Skoczył ponownie, odwracając się i celując w łeb bestii. Córka Wiatru włożyła resztki sił w zamach skrzydeł, który wzbudził tak silny wiatr, że Kirkhammer po raz kolejny leciał w stronę okna. *Mam dość latania* – pomyślał, wbijając włócznię w posadzkę niczym kotwicę i hamując gwałtownie. Nibella tymczasem podniosła się i biegła w stronę wybitej szyby.

– Patagon! – wrzasnął Kylven.

Gryf był zajęty swoją walką. Liczne mniejsze harpie zaatakowały go. Stwór był dużo szybszy i silniejszy, jednak zajęty rozszarpywaniem wrogów, nie mógł wesprzeć towarzysza. Wojownik wycelował więc i cisnął z mocą włócznią. Córka Wiatru zawirowała w korkociągu i odbiła ostrze, jednak musiała w tym celu zwolnić. Kirkhammer wykorzystał to. Błysnął. Chmura, w którą się zamienił, przybrała kształt wielkiej czaszki, za którą ciągnął się długi warkocz dymu. Koszmarny twór rozwarł szczęki, ukazując istne piekło w swoim wnętrzu, a następnie

zamknął je na nodze Nibelli. Kylven zmaterializował się, trzymając jedną dłońią harpię za kostkę, a drugą za ramę oszklonego okna. Ból szarpał jego mięśnie, zmuszane do niewyobrażalnego wysiłku. Uciekinierka szarpała się i wierzgała rozwścieczona, gdyż była już na zewnątrz i niemal czuła smak kolejnego dnia życia. Machnęła mocniej skrzydłami i wtedy stawy barkowe Kirkhammera poległy. Mężczyzna krzyknął, jednak nie zwolnił uścisku. Poczł znajome mrowienie i fale bólu, kiedy lepkie, czarne macki chwyciły zwichnięte kości i przytrzymały je, a następnie utworzyły nowe torebki stawowe. Napędzany bólem i furją, Kylven zaczął wciągać Nibellę do środka. Powoli, ale nieuchronnie. Wrzeszczał przy tym jak opętany, wzbudzając swoim podwójnym głosem strach wśród mieszkańców podniebnego królestwa. Ział przy tym ogniem, który zaczął topić kamienie na podłodze. W końcu demon szarpnął mocniej, wytrącając harpię z rytmu ruchu skrzydeł, chwycił jej nogę obiema dłońmi, zaparł nogami i cisnął ją z powrotem do pomieszczenia. Nie czekał, aż się podniesie. Błysnął w stronę włóczni. Chwycił ją i znowu błysnął. Pchnął, celując w pierś Nibelli, jednak ta odepchnęła ostrze łapą. Wojownik wykorzystał impet i walnął ją w twarz trzonkiem. Poszedł za ciosem, zataczając łuk tęnym końcem broni i mierząc grotem w gardło bestii. Tym razem Córka Wiatru złamała broń w żelaznym uścisku. Kirkhammer na to właśnie czekał. Odwrócony bokiem, w momencie ciosu wyciągnął Łaskę z pochwy, której sztych zatopił się teraz tuż przy mostku potworzycy. Wojownik natychmiast cofnął się w piruecie, nabierając jednocześnie pędu i ciął skośnie od lewej. Łeb Nibelli podskoczył, ciągnąc za sobą całe ciało w górę. Kiedy głowa Opiekunki padła na jej pierś, z jej żuchwy nie zostało prawie nic, podobnie jak z lewej części twarzy. Prawe oko wyrażało niedowierzanie, żal i przerażenie. Oraz, nie wiedząc czemu, współczucie. Nibella, Córka Wiatru padła martwa, na posadzkę, a jej ciało rozpadło się na migoczący w świetle proch. Następnie maleńka, złota kulka wyłoniła się z niego i uleciała przez okno z ogromną prędkością. Jednocześnie na zewnątrz rozległ się potworny lament setek osieroconych harpii. Patagon wleciał do pomieszczenia przez rozbite okno i stanął koło Kylvena.

– Nic ci nie jest? – zapytał gryfa. Nie widział żadnych ran, a jego dziób pokrywała śmierdząca charakterystycznie krew wyverny. –

Brawo! – powiedział ze sztuczną radością wojownik.

Kątem oka dostrzegł znajomą postać o śnieżnych włosach i mlecznych oczach.

– Nic cię nie powstrzyma, prawda? – usłyszał wojownik.

– Nic – odpowiedział Kirkhammer, dosiadając Patagona.

## *Rozdział 8*

Kylven złamał swoją obietnicę i nie przybliżył wydarzeń na lewitujących wyspach Derixowi. Zrobił to, ponieważ sam musiał poukładać w głowie wszystko, co usłyszał od Nibelli. Myślał bardzo długo, rozważając każde słowo, analizując poszczególne zdania i podważając przedstawioną wersję historii. Niestety, jakkolwiek by nie rozkładał nakreślonego obrazu na czynniki pierwsze, całość bardzo mocno trzymała się sensu logicznego. Mężczyzna nie mógł znaleźć luki w swoim rozumowaniu. Ostatecznie przyjął zasłyszaną opowieść, aczkolwiek postanowił zachować pewien dystans. Nie zaszkodziło jednak poszukać dowodów, choćby rejestrów tego wyjątkowego rodu Strażników. W końcu dziedzic tej rodziny był aktualnie kluczem do spełnienia misji, którą przyjął na swoje barki. Wojownik opróżnił cały dzbanek kawy, spędzając noc na szperaniu w Internecie, poszukując danych. Analizował drzewa genealogiczne, spisy ludności, strony wypełnione teoriami spiskowymi, a nawet podrzędne fora. Bezowocnie. Rankiem uciął sobie dwugodzinną drzemkę, po czym przytaszczył do niewielkiej sypialni, którą Derix oddał mu do użytkowania, opasłe tomy traktujące o historii najbardziej znaczących rodów rodzaju ludzkiego. Kirkhammer godzinami przedzierał się przez linijki tekstu mówiące o wojnach Berengurinów przeciwko górskim trollom i ekspedycjach fundowanych przez Nakturlów, mających na celu odkrycie wskazówek, odnośnie dziejów starożytnych. Zwłaszcza te przedsięwzięcia archeologiczne były interesujące, ponieważ dostarczyły wiedzy o powolnym rozwoju techniki, używanej przez ludzi. Nigdzie nie było jednak ani jednej wzmianki o linii krwi, która sięgałaby wystarczająco

daleko wstecz, aby można było połączyć ją z Córką Wiatru i Nibelwenem. W akcie desperacji sięgnął po książkę opisującą dzieje Kościoła. Edukacja z tego zakresu była ważną częścią szkolenia w szeregach organizacji, jednak mężczyzna liczył na to, że jego pamięci coś umknęło. Niestety, znalazł jedynie potwierdzenie słów Nibelli, mówiących, że Nibelwen dopieścił wszystkie elementy swojej propagandy. Biografie pierwszych Przewodniczących nie zawierały wzmianki o spotkaniu z jakąś potężną istotą, która powierzyła im tajemnice sztuki magicznej. Kylven postanowił zrobić sobie przerwę i wyjść z naukowej jaskini. Skierował się do pokoju gościnnego, w poszukiwaniu towarzystwa, którego zaczynało mu brakować. Chciał też podzielić się swoimi rozterkami z przyjaciółmi. Żywił cichą nadzieję, że oni posiadają jakąś wiedzę w interesujących go kwestiach. Wojownik skręcił w korytarz, prowadzący do pokoju gościnnego, z którego w tym samym momencie wypadł Derix. Był ubrany w swój strój bitewny, składający się z typowych, luźnych szat oraz ochraniaczy z połyskującego zielono, ciemnego metalu. Mag był blady.

– Właśnie miałem biec po ciebie. Jest problem – powiedział nerwowo czarodziej.

– O co chodzi? – zapytał skonsternowany Kirkhammer.

– Coś jebło. I to potężnie. Ogromny impuls energii oraz masywne zakłócenia aury magicznej.

– No i? Być może Kościół walczy z jakimś żywiołakiem. Jest też setka innych możliwych przyczyn – odparł Kylven, chociaż nie był zbyt pewien swoich słów. Derix potrafił różnicować anomalie magiczne.

– Wiem! Masz mnie za idiotę? Chodzi o to, że źródło tych ekscesów jest w pobliżu Sennego Jeziora.

Kirkhammer nie odpowiedział. Popędził z powrotem do swojej sypialni. Po chwili, był już ubrany, z mieczami na plecach i ogniem w oczach. Biegł do pokoju gościnnego, przeklinając w myślach moment, w którym postanowił uciec od Jemiby.

Jemiba siedziała w swojej komnacie, czytając książkę i głaszcząc Misia po kosmatym łbie. Niedźwiedź chrapał cicho, przyciskając się przez sen do kochanej dłoni. Kobieta po raz ósmy czytała ten sam akapit, za każdym razem gubiąc się we własnych myślach i zapominając, co właśnie stało się na białych kartkach. *Cholerny,*



*arogancki, niewdzięczny, bezczelny, narwany ćmok! Nie ma go, a i tak miesza mi w głowie.* Frustracja kobiety była tym większa, że rozpamiętywanie nocy nagłego odlotu Kylvena nie pozwalało jej pracować ani nawet spać. Wielokrotnie powtarzała sobie, że nie zrobiła nic złego i w istocie, takiego była zdania. Wmawiała sobie także, że wszyscy mężczyźni są tacy sami. Myślą, że są najważniejsi na świecie i wszystko wiedzą najlepiej. Domagają się uwagi i uczuć, chociaż sami nie potrafią ich okazać, a kiedy przychodzi moment, w którym trzeba wykazać się odwagą i stanowczością, uciekają w popłochu przed wszelką odpowiedzialnością. Zabiegi te nie pomagały. Czarodziejka co chwila łapała się na tym, że patrzy na puste krzesło obok swojego, zbyt długo zatrzymuje się w sypialni Kirkhammera lub wpatruje się w horyzont licząc, że zobaczy gdzieś w oddali miraż czarnych skrzydeł. Jemiba rzuciła książkę i postanowiła zrobić sobie drinka, aby ukoić nerwy. Jej samopoczuciu nie pomagał fakt, że od czasu rozstania z wojownikiem, czuła się dużo mniej bezpieczna w swoim pałacu. Nie mogła uwolnić się od wrażenia, że Kościół jest coraz bliżej odkrycia jej pieczołowicie wybranej kryjówki. W akcie paranoi, otoczyła całą Rysę na Lustrze barierą ochronną. Uspokoilo ją to tylko na krótki czas. Czarodziejka zeszła do kuchni w towarzystwie Misia, który był niczym jej cień. Rzuciła pupilowi soczysty kawałek wołowej polędwicy, którą ten zaczął namiętnie pałaszować. Jemiba wyciągnęła z lodówki butelkę białego rumu oraz limonkę. Wypełniła kieliszek trunkiem i przystroiła go zieloną, aromatyczną skórką cytrusa. Rozkoszowała się właśnie pierwszymi łykami, które rozgrzewały już jej przełyk, patrząc przez oszklone drzwi pomieszczenia, kiedy Miś zawarczał. Zwierzę utkwilo wzrok w jakimś punkcie za oknami i obnażyło białe zębiska.

– Co się dzieje, głuptasie? – zapytała pieszczotliwie.

Wtedy właśnie bariera, którą otoczone było wzgórze, zatrzęsła się raz, potem drugi, aż w końcu pękła. Niewidzialna kopuła przybrała pomarańczową barwę, pokryła rysami, a następnie jej fragmenty zaczęły spadać i palić się jasnym ogniem. Jemiba upuściła kieliszek, który spadł na podłogę i stłukł się z brzękiem. Kobieta wbiegła po schodach, a następnie puściła się pędem w kierunku windy do laboratorium. Już przy donicy kryjącej dźwig, otworzyła maleńki panel

przy samej nodze naczynia i wpisała kod. Szyfr składał się z dwudziestu znaków, w tym liter zaczerpniętych z różnych alfabetów oraz cyfr. Czarodziejka stuknęła drżącymi rękoma, posyłając wszystkie swoje osiągnięcia w niebyt. Po wpisaniu kodu, zamknęła panel i przekręciła jedną ze zdobionych donicę muszelek. Po chwili usłyszała stłumione wybuchy, dochodzące z głębi wzgórza. Zdążyła. W ostatnim momencie.

– Witaj – usłyszała za swoimi plecami.

Jemiba wstała i odwróciła się powoli. Miała przed sobą wysokiego mężczyznę o lekko oszronionych, czarnych włosach. Postać ubrana była w białą – złotą zbroję oraz białą pelerynę. Jego oczy były szare i zimne.

– Pan Przewodniczący, jak się domyślam – powiedziała kobieta starając się, aby jej głos brzmiał pewnie. – Czemu zawdzięczam tę wizytę?

– Tak się składa, że pod pani domem znaleźliśmy pewien odizolowany pokój. W środku, znajdowały się bardzo ciekawe informacje, które nakłoniły mnie do tych odwiedzin, panno Tempestkin.

Jemiba zamarła. Z jakiegoś powodu Kolaius zwrócił się do niej, używając jej nazwiska rodowego. Rodzina kobiety bardzo dawno zmieniła je i nikt nie używał tytułu Tempestkin od pokoleń. Poza tym Czarodziejka uświadomiła sobie, że jej pałac wypełnił się żołnierzami Kościoła. Nad jej głową unosił się cały oddział magów, a z balkonów powyżej wyglądali łucznicy. Wkrótce również placyk, na którym stała, został otoczony przez Ręce z najróżniejszymi rodzajami broni. Kobieta wyciągnęła dłoń w kierunku niebieskiego naszyjnika.

– Nie radziłbym – powiedział chłodno Przewodniczący. – Centymetr dalej, a zostanie pani zabita.

Jemiba cofnęła rękę.

– Nie rozumiem dlaczego interesuje pana moje drzewo genealogiczne. Jeżeli sprawa tyczy się Kylvena, nie ma go tu. I nie wiem, gdzie się znajduje.

– Tym dezertorem zajmiemy się później. Pani okazała się najważniejsza w tej układance. Poproszę, aby poszła pani ze mną. Radzę nie stawiać oporu, a uniknie pani wielu nieprzyjemności – mężczyzna wyciągnął dłoń w złotej rękawicy.

– Nie jest to najlepszy sposób, aby wyciągnąć mnie na randkę, jednak może okazać się skuteczny. Mogłabym jednak wiedzieć, dokąd mnie pan zaprasza?

Przewodniczący nie zdążył wyjaśnić, ponieważ przerwały mu krzyki, dobiegające z tarasu. *Tylko nie Miś...* – pomyślała zrozpaczona czarodziejka.

Kylven, Derix i Jaze wyskoczyli z portalu, prosto na taras pałacu. Tuż za nimi wyleciał Patagon. Zdezorientowani żołnierze umarli w mgnieniu oka rozszarpani, z pociętymi tętnicami, lub zdeintegrowani.

– Za mną! – ryknął Kirkhammer, biegnąc do kuchni.

Przyjaciele pobiegli za nim, natomiast Patagon wystrzelił w powietrze, skąd spadał na osamotnione Ręce, patrolujące drogę do budynku oraz balkony dookoła murów. Kylven kopniakiem otworzył szklane drzwi. W środku, znajdowało się czterech żołnierzy z mieczami oraz dwóch łuczników na schodach. Strzelcy nie zdążyli napiąć cięciw, gdyż Derix cisnął w ich kierunku wyczarowany granat kwasowy, który rozpuścił ich ciała na lepłą, czerwoną maź. Kirkhammer sparował cios szarżującego przeciwnika, który poleciał dalej, niesiony pędem i został przebity przez Jaze'a. Ogarnięty bitewnym szaleństwem blondyn, uniósł swoją ofiarę i przerzucił nad sobą niczym szmacianą lalkę, po czym wyrwał ostrze broni, rozplątując przy tym nieszczęśnika. Kylven tymczasem, stał się z kolejnym miecznikiem. Miecz wroga ześlizgnął się po jego paradzie. Wojownik następnie rąbnął żołnierza głowicą miecza, którą potem zahaczył o jego szyję i pociągnął w prawo, zasłaniając się przed uderzeniem kolejnego agresora. Trzecia Ręka zamachnęła się na demoniczny kształt, jednak Kirkhammer zrobił błyskawiczny piruet w prawo, unikając uderzenia i jednocześnie układając się do kopnięcia z obrotu. Potężny kopniak zgwał przeciwnika w pół. Kylven zamknął piruet, chwycił szyję przeciwnika pod pachę i szarpnął, łamiąc mu kark. W tym czasie Jaze zajął się żołnierzem, który wydobył miecz z ciała swojego kolegi. Przyjął uderzenie szerokim ostrzem swojej naginaty i obrócił ją w dłoniach, wymierzając uderzenie trzonkiem w twarz wroga. Następny obrót broni zaowocował otwarciem klatki piersiowej Ręki od barku, aż do łuku żebrowego.

– I to są ci elitarni zabójcy potworów? – krzyknął Jaze. – Toż to jakieś pedały!

Kirkhammer nie zważał na jego słowa. Biegł już po schodach, w kierunku odgłosów walki. W sali bankietowej zobaczył Misia, który z toporem w grzbiecie, desperacko bronił się łapą przed napastnikiem z włócznią. Nieopodal leżały rozszarpane ciała trzech żołnierzy. Kylven błysnął, lecz niedźwiedź zdążył chwycić drzewce w paszczę i przyciągnąć agresora na odległość pazurów. Rozległ się krzyk. Wojownik powinien domyślić się, że Miś nie jest zwykłym zwierzęciem. Na widok mężczyzn niedźwiedź zaryczał i popędził w stronę serii pokoi, prowadzących na placyk z windą. Przyjaciele ruszyli za nim. W połowie pokoju eksplozja wybiła wszystkie szyby, a wdzierający się przez okna ogień podpalił palmy, meble, a nawet żyrandole sali. Kirkhammera ogień się nie miał, a Derix wytworzył tarczę ochronną dla siebie i Jaze'a. Nie sięgnął jednak Misia. Nieszczęsny zwierzak został rozerwany siłą wybuchu na kawałki, zamieniając się w porozrzucane fragmenty mięsa, kości i futra. Czarodziej, uświadamiając sobie swoje niedopatrzenie, zawył wściekle i zdjął zakłęcie ochronne. Kylven pobiegł dalej, mając za sobą Jaze'a. Derix natomiast, stanął naprzeciw czterem lewitującym kobietom o rozwianych włosach.

– Kurwy szmaty! – wypluł z siebie, po czym również uniósł się nad podłogę. – Przemoc wobec zwierząt to coś, czego nie daruję nikomu.

Po tych słowach z oczu maga wystrzeliły dwie lodowe włócznie, każda długości trzech metrów. Czarodziejki z łatwością powstrzymały pociski, topiąc je, lub odbijając. Pozostałe dwie, kontynuowały natarcie, ciskając piorunami. Derix złapał błyskawice, które ogarnęły na chwilę jego ciało, przeskakując pomiędzy kończynami. Następnie mag wzmacnił ładunki i uwolnił istną burzę, śmiejąc się przy tym psychopatycznie. Śmiech ten upewnił Kirkhammera, że może biec dalej. Pędzili we dwójkę, otwierając w pędzie kolejne drzwi. Dotarli w końcu do krużganka na piętrze, którego balkony roiły się od łuczników. Kylven utkwiał jednak wzrok w postaciach poniżej. Obok donicy w centrum stał Przewodniczący Kolaius, trzymając na ramieniu nieprzytomną Jemibę. Wojownik błysnął w górę, zmaterializował się i spadł na Głowę Kościoła. Mężczyzna zdążył jednak zniknąć wśród huku otwartego portalu. Kirkhammer wylądował, wbijając ostrze w kamień pod sobą. Był tak zaskoczony, że niemal zapomniał o celujących w niego łucznikach. Z pomocą przyszedł jednak Jaze. Wojownik o

potężnych zakolach, przesunął dłonią po szerokim ostrzu naginaty, które rozjarzyło się bielą, uwalniając jeszcze potężniejszą magię. Mężczyzna machnął poziomo bronią, a łuk cięcia wydłużył się jasną smugą, która przecięła łuczników, kolumny podtrzymujące dach nad kwadratowym krużgankiem oraz część ścian. Strumienie krwi zaczęły spływać po podłodze do rynien, a następnie poprzez otwarte usta rzygaczy, wprost do donicy poniżej. Jaze następnie przesadził barierkę, a upadając piętro niżej, uderzył naginatą o ziemię, wywołując falę uderzeniową, która rozrzuciła obecne tam Ręce, niczym kukły. Rozległ się chrzęst i chrupot, a potem zapadła cisza. Skulonych przyjaciół okrył cień, a nad ich głowami rozległ się krzyk.

– Nie tak prędko, chuju! – darł się Derix, ciskając w miejsce, w którym zamknął się portal, małym przedmiotem.

Kamień zatrzymał się półtora metra nad ziemią, drgnął i pękł. Runa namierzająca widmo teleportu nie zadziałała jednak, jak powinna. Kolaius musiał zabezpieczyć się na taką ewentualność, ponieważ Derix po chwili spadł na posadzkę placyku, zwijając się z bólu, trafiony kontrzaklęciem. Przyjaciele natychmiast zareagowali, przytrzymując jego wijące się w drgawkach ciało. Jaze wydobyl niewielką ampułkostrzykawkę i wstrzyknął jej zawartość w serce kompana. Czarodziej przestał się miotać, jednak stracił przytomność.

– Uciekli – stwierdził fakt Jaze.

Kylven nie odpowiedział. Zaczął ciągnąć ciało maga do któregoś z małych pokoi, otaczających placyk. Odgłosy walki ucichły. Tylko gdzieś w oddali słyhać było jeszcze trzask łamanych kości ostatniej Ręki, którą Patagon zrzucił z wysokości.

## *Rozdział 9*

Jemiba ocknęła się, kiedy Kolaius upuścił ją na zimny kamień podłogi. Kobieta jęknęła, czując w ustach krew oraz ból twarzy, która puchła bardzo szybko. Rozejrzała się. Była w gargantuicznym pomieszczeniu czegoś, co przypominało katedrę. Szkarłatna farba ścian odłaziła

płatami. Sufit pokrywała sadza. Kamień ścian kruszył się, odpadając wielkimi kawałkami. Budynek wyglądał jak po pożarze, nadając wewnątrz wygląd, jakby zostało wykonane z wosku, który topił się w upale. Budowla nie posiadała okien. Nie było także mebli. Jedynym przedmiotem był duży sarkofag, znajdujący się naprzeciwko zadziwiająco małych drzwi wejściowych. Jemiba leżała na stopniu, tuż przy sarkofagu. Kamień był pokryty runami napisami w języku, którego czarodziejka nigdy nie widziała oraz wzorami, przywołującymi na myśl bazgraninę schizofrenika. Rysunki skrzyły się lekko i pulsowały rytmicznie.

– No dobrze, dostajesz punkt za oryginalność lokalu i dużego minusa za traktowanie kobiety – powiedziała Jemiba, wypluwając krew.

– Proszę o wybaczenie – rzekł Kolaius. – Nie chciałem, aby ten spalony głupiec nam przeszkodził. Porozmawiaj teraz, proszę, ze swoimi przodkami i poproś, aby zdjęli zaklęcie, którym zapieczętowany jest sarkofag.

– O czym ty... – zaczęła skonfundowana czarodziejka, lecz w tym samym momencie, ujrzała dookoła siebie setki postaci.

Śnieżnobiałe, półprzezroczyste zjawy wypełniały całą katedrę, każda ubrana w różne wersje tego samego, białego munduru. Wszyscy mieli także na głowach hełmy ze szklanymi wizjerami w kształcie krzyży. Przewodniczący nie widział pokoleń Strażników stojących dookoła, jednak widok Jemiby, która rozglądała się z szeroko otwartymi oczami, bardzo go ucieszył.

– Co jest w środku? – zapytała czarodziejka.

W jej głowie, wybuchł chór nakładających się na siebie głosów. Szepty i krzyki zlewały się w jedno słowo: „Śmierć”.

– W środku jest klucz do uwolnienia planety od zła – powiedział Kolaius.

– Oni nie podzielają twojego zdania – jęknęła Jemiba.

– Cóż, to nie mój problem. Każ im zdjąć zaklęcie albo cię zabiję.

Zjawy milczały. Nawet nie drgnęły na dźwięk tej groźby.

– Chyba mnie z kimś pomyliłeś – powiedziała czarodziejka. – Wydają się mało przejęci moim losem.

– Cóż, może uda mi się ich przekonać.

Kolaius wymierzył kopniaka opancerzonym butem prosto w brzuch

Jemiby. Kobieta upadła na posadzkę, czując jak powietrze ucieka ze świstem z jej płuc. Przewodniczący chwycił ją za włosy i pociągnął w górę, po czym uderzył pięścią raz, drugi i trzeci. Czarodziejce pociemniało w oczach, ból wypełnił jej umysł i zajął ciało. Wszystko to pośród setek obojętnych cieni, które rzekomo miały być jej pradiadami. Głowa Kościoła chwyciła w końcu Jemibę za gardło i uniosła nad ziemię.

– Chyba faktycznie się pomyliłem – wycedził mężczyzna. – Tym bardziej jesteś zbędna. Jakieś ostatnie słowa? – zapytał, biorąc zamach.

– Tak. – wyszeptała – Kylven... Pomóż mi.

Syjamska Łza rozjarzyła się błękitnym światłem i wybuchła w szalejących płomieniach ognia tej samej barwy. Kolaius krzyknął, chwytając się za twarz. Mężczyzna cofnął się i padł na ziemię, tarzając szaleńczo, próbując ugasić palącą się odzież. Przed leżącą na ziemi Jemibą stał teraz Kirkhammer, dzierżący Furię. Spojrzał na ukochaną i upewnił się, że żyje, po czym ruszył na Przewodniczącego. Kolaius był na klęczkach i jęczał cicho, trzymając się za głowę. Kylven złapał za pokryty sadzą pancerz na jego plecach i cisnął mężczyznę o ścianę. Ciało Głowy Kościoła nie zderzyło się jednak z murem, lecz rozpląnęło w czarnym obłoku, który spłynął z powrotem na podłogę. Kiedy opar zmaterializował się, demonicznemu wojownikowi stanął przed oczami obraz dzieciństwa. Oto dziesięć metrów od niego, stał Naznaczony. Był to ten sam, który zabił jego rodziców i próbował zamienić go w potwora. Biała maska w kształcie czaszki niemal świeciła na tle czarnego ciała.

– Jak? – zapytał słabym głosem.

– Niełatwo jest zabić jednego z nas, będąc zwykłym ścierwem, jak Kolaius. Zadał mi jednak poważne rany, więc potrzebowałem sił życiowych jego ciała, aby przetrwać.

Kirkhammer usłyszał ostatnio wiele szokujących informacji, ale tego było już za dużo.

– Widzę, że mój kamuflaż był udany – zaśmiał się potwór. – Musisz wiedzieć, że noszenie tego plugawego kostiumu, wcielanie się w człowieka i zarządzanie tym śmiesznym kościółkiem, było prawdziwą udręką.

– Dlaczego mnie nie zabiłeś? Dlaczego tak długo odgrywałeś tę szaradę? – zapytał wściekły Kylven.

– Widziałem w tobie szansę na zabicie Strażnika. Stałeś się wyjątkową jednostką o niezbadanej mocy. I nie pomyliłem się w swoich kalkulacjach. Nie tylko pozbyłeś się Opiekuna Ludzi, ale zamordowałeś trójkę Władców. Teraz Angharm może się obudzić, zebrać fragmenty ich mocy w Kolebce i pochłonać. Potem odbierze należną mu władzę nad tą planetą.

Kirkhammerowi nie było potrzeba więcej informacji. Jemiba okazała się dziedziczką Nibelwena. Mężczyzna mógł jedynie winić siebie za brak przenikliwości. W końcu jej ród był bardzo stary. Teraz, miał jeszcze jeden powód, aby walczyć za nią do kresu sił. Rzucił się na Naznaczonego, błyskając. Potwór również rozplątał się i wewnątrz katedry wypełniły ścierające się ze sobą obłoki. Jemiba w tym czasie leżała na podłodze, a jej głowę znowu wypełniły głosy.

- Jest potężny.
- Jest inny.
- Może na niego czekaliśmy.
- Może on ma szansę.
- Nie ma.
- Ale to może być jedyna szansa.
- Na równowagę.

Czarodziejka usłyszała dźwięk, jakby westchnięcie i cichy szum. Potem, rozległy się trzy uderzenia, dobiegające z wnętrza sarkofagu i zgrzyt odsuwanej kamiennej pokrywy.

Kirkhammer ciął wielokrotnie mieczem ciało Naznaczonego, które rozpryskiwało się czarnymi fontannami smolistej cieczy i natychmiast formowało z powrotem. Wił się w unikach, skakał i parował uderzenia szponów, cofał i nacierał ponownie. Wtem usłyszał za swoimi plecami ryk. Przeciwnik zamarł i padł na kolana w głębokim ukłonie. Kylven bez zastanowienia zdekapitował maskarę. Głowa potwora potoczyła się po posadzce i rozlała w kałużę czarnego płynu. Wojownik odwrócił się, unosząc miecz i także zastygł. Z sarkofagu wyłoniła się wielka bestia. Potwór przypominał ogromnego gluta, zmieniającego gwałtownie kształty. Stałe były jedynie długie do ziemi ręce i dwie chude nogi, podtrzymujące rozlazłą masę. Ciało Angharma pokrywały tysiące



bezzębnych paszcz, które otwierały się i zamykały, jakby łapiąc powietrze. Jakby z wnętrza tego cielska, dobiegł głos.

– Wolny... Wolny! I mam przed sobą dziedziczkę Nibelwena! Chodź ze mną, śmiertelniczko. Z twoją pomocą oczyszczę ten świat z ludzkiego ścierwa.

– Nigdzie nie pójdziesz – krzyknął Kirkhammer.

Poczwarą zwróciła się w stronę wojownika.

– Cóż to? Czuję w tobie swoje dziecko. Za ledwie zarodek. I coś jeszcze. Ten charakterystyczny, ludzki smród. Hmm. Prawdziwa osobliwość!

– Nazywaj mnie jak chcesz. Poślę cię z powrotem do tej trumny, a potem razem z tą kobietą zniszczę wszystkie ślady Kolebki.

– Czyżby? Byłbyś w stanie zabić ją, aby zniszczyć Opiekunów na wieki?

Kylven zamarł. Nibella wspominała tylko o krwi, nie o życiu dziedzica. Angharm zaśmiał się gromko, bulgocząc obrzydliwie.

– Tak też myślałem. Ja natomiast, nie mam takich oporów.

– Nie oddam ci jej – wojownik zacisnął zęby i dłonie na rękoności.

– Głupcze! Moje dziecię trzyma cię przy życiu. Spełniłeś swoją rolę. Nie widzę powodu, abyś dalej żył.

Po tych słowach Pierwszy Opiekun wyciągnął paskudną dłoń w stronę Kylvena i rozczapierzył leżące się palce. Kirkhammer poczuł zimno. Upadł na ziemię, czując jak opuszczają go siły, a płonący w nim ogień gaśnie. Jego spalone narządy, pozbawione demonicznej energii, przestały pracować. Mężczyzna nie mógł się poruszyć. Ściany katedry zaczęły topić się i zalewać sparaliżowanego wojownika. Ból nie przyszedł. Zapadła tylko ciemność.

Jemiba nie mogła nawet krzyknąć. W jednej chwili Kylven stał, gotów do walki, a w drugim leżał już na zimnej posadzce, jak zabawka, z której ktoś wyjął baterie. Monstrum, które stało za nią, wyciągnęło po nią swoją obrzydliwą łapę. Macki wystrzeliły z tej wielkiej dłoni, oplotły ją i podniosły. Czarodziejka nadal wpatrywała się w ciało ukochanego, które rozmyło się we łzach. Angharm niósł swoją zdobycz, schodząc po długich schodach. Prowadziły one bardzo głęboko, do wnętrza planety. Korytarz w końcu urwał się gwałtownie, otwierając się w mrok. Ledwie Pierwszy Opiekun przekroczył próg jaskini, jej wnętrze rozświetlił blask,

pochodzący ze sfery, unoszącej się pod sklepieniem. Jemiba ujrzała rozległą, pustą jamę. Na jej środku znajdował się głaz, przypominający karłowaty pień. Poskręcany kamień rozszerzał się u szczytu. Konary jakby ucięte i zarośnięte w tępe kikuty, podtrzymywały twór, przywodzący na myśl duże, kamienne gniazdo.

– Wróciłem – powiedział potwór, po czym ułożył Jemibę w Kolebce.

Natychmiast jej kostki i nadgarstki oplotły czarne macki, przytwierdzone do kamiennego podestu. Kobieta nie mogła się poruszyć nawet o milimetr.

– Nie rozpaczaj – rzekł Angharm. – Twojego mężczyznę mógł spotkać dużo gorszy los. Wiedz, że dzięki tobie, plaga ludzkości zostanie uleczona. Moje dzieci powrócą na ziemię, pozbawione strachu. Poprowadzę je do rodzinnego domu. Przywrócę porządek świata. Wszystko znowu będzie dobrze.

Czarodziejka poddała się. Strażnicy się mylili. Kylven się mylił. Ona się myliła. Tego zła nie można było pokonać. Dobro zawsze było łatwowiernością. Było zaufaniem, nadzieją i litością. Dobro oznaczało miłość, współczucie i walkę przeciwko niepokonanym. Te słabości nie mogły się równać z zimnym, wyrachowanym, perfekcyjnym uosobieniem nienawiści. Nie było takiej budowli miłości, której nie mógłby zniszczyć i pochłonąć. Kobieta zamknęła oczy i pozwoliła swoim bezsilnym łzom płynąć.

– Miał w sobie za dużo zła.

– Tak, ale musieliśmy spróbować.

– Nadal możemy mu pomóc.

– Jest zbyt niestabilny.

– Jest nieprzewidywalny.

– Jest sprawiedliwy.

– Jest arogancki.

– Jest porywczy.

– Jest ostatnią nadzieją.

– Damy mu siłę.

– Damy mu nasze światło.

– Damy mu nasz ogień.

– Damy mu naszą wiedzę.

– Żeby zrozumiał.

– Żeby postąpił właściwie.

Kirkhammer otworzył oczy. Poczuł, jak jego ciało znów się rozpala, jak wypełnia go moc. Wzory na jego ciele rozgorzały na nowo, ze zdwojoną siłą. Jego umysł wypełniła połączona świadomość setek pokoleń Strażników. Ujrzał świat takim, jakim był. Zrozumiał rządzące nim zasady. Zrozumiał, co musi zrobić. Błysnął przez katedrę do sarkofagu. Tuż za nim znajdowały się szerokie schody prowadzące w ciemność. Popędził nimi na złamanie karku, na zmianę biegnąc po schodach, błyskając i człapiąc po ścianach niczym koszmar, którym się stał. Podczas szaleńczego pędu z jego gardła zaczął wyrwać się warkot, który przerodził się w ryk, a następnie wrzask.

– ANGHARM!

Kylven wpadł do jaskini. Widząc Opiekuna, stojącego nad leżącą na Kolebce Jemibą, błysnął. Angharm wyciągnął przed siebie dłoń zdezorientowany, jednak nie mógł zatrzymać przeciwnika. Chmura piroklastyczna runęła na potwora, powalając go na ziemię. Kirkhammer przetoczył się i stanął za Opiekunem z mieczami nad głową. Angharm podniósł się i zaatakował, rozciągając ramię do niewyobrażalnych rozmiarów. Kylven przeskoczył nad macką i ruszył na wroga. Z ciała potwora wystrzeliły dziesiątki mniejszych odnóży pokrytych kolcami, które smagały wściekle dookoła. Wojownik zatańczył pomiędzy nimi, tnąc szaleńczo. Ostrza Łaski i Furi i błyszcząły oślepiającym światłem, któremu gęsta, czarna masa nie mogła się oprzeć. Opiekun eksplodował, zanim Kirkhammer dosięgnął jego cielska. Z wielkich kropli smolistej cieczy podniosły się mniejsze wersje Angharma, które natychmiast rzuciły się na napastnika. Kylven kopnął pierwszego z mocą, rozpryskując rozlaną twarz. Następnego nadział na miecz, uniósł i rąbnął o ziemię. Błysnął, paląc kolejnych wrogów, wzleciał w górę i spadł wywołując wybuch gorąca, przed którym ciemne postacie umykały w popłochu. Gluty zbiegły się z powrotem, reformując cielsko Angharma, które pękło na środku, ukazując buchające wewnątrz płomienie. Z tej groteskowej paszczy wyłoniło się dziesięć rąk, każde grube niczym bal. Ramiona wystrzeliły w Kirkhamera, wydłużając się i puchnąc do jeszcze większych rozmiarów, spowite płomieniami. Wojownik ciął mieczem w prawej dłoni, obrócił się, ciął drugim ostrzem i pchnął poprzednim. Kolejne ramie odrąbał, tnąc od dołu, jednocześnie

wybił się i poleciał z uderzeniem, unikając pięści, która zdruzgotała miejsce, w którym stał przed chwilą. Łądując, machnął oboma brzeszczotami, zasłaniając się przed ciosami i błysnął pomiędzy pozostałymi ramionami. Zmaterializował się pomiędzy nimi, wirując niczym wiatrak, poziomo do podłoża. Pozbył się w ten sposób reszty rąk. Angharm znieruchomiał.

– To światło... Ty...

Pierwszy Opiekun nie zdążył dokończyć swojego ostatniego zdania, ponieważ wzory, wypalone w ciele Kirkhammera rozpały się białym ogniem, trzymane przez niego miecze poszły w ich ślady i wojownik zniknął w smudze światła. Promienie zaczęły otaczać potwora. Kylven był w każdym z nich, pędząc tuż przy ciele Angharma, pojawiając się na ułamek sekundy i tnąc głęboko. Znowu zniknął, zamieniając się w snop jasności i pojawiając w innym miejscu. Opiekun wrzeszczał, machając bezradnie rękoma, strzelając mackami i ziejąc ogniem. Nadaremnie. Wkrótce zamienił się w postrzępiony owal, przypominający nieudolnie pokrojony tort. Kylven zatrzymał się przed nim szorując obcasami po ziemi, po czym wyskoczył w górę w fantastycznym skoku. Spadł z ogromną prędkością, prowadząc cios zza głowy. Ostrza zaświeciły gniewem, rozjarzyły się tak, że pojaśniała cała jaskinia. Potem Angharm zniknął, pozostawiając po sobie tylko ciemną kulę wątego żaru, która uleciała szybko.

## *Rozdział 10*

Kirkhammer z trudem wydobył miecze z popękanej skały. Ślady cięcia ciągnęły się z krateru, w którym stał, przez ściany jaskini, aż po sam sufit. Wojownik odwrócił się w stronę Kolebki i podszedł do niej. Jemiba leżała, nadal skrępowana, wpatrzona swymi przepięknymi oczami w jego twarz. Jej opuchniętą twarz zdobił jedyny uśmiech, który liczył się dla niego w tym życiu.

– Zrobiłeś to. Po raz kolejny. Uratowałeś mnie. I cały świat.

Kylven nie odzywał się. Stał, patrząc na kobietę.

– Wiem, że to konieczne. Słyszałam, co mówili Strażnicy. Rozumiem. Tego właśnie chciałam. Wyzwolenia ludzkości. On nie może wygrać. Nie może wrócić. Żadne z nich nie może. Zrób to.

W oczach Jemiby znów pojawiły się łzy. Czarodziejka zamknęła oczy. Kirkhammer mógł jednym, bezbolesnym ciosem zakończyć odwieczną grę, którą jakaś nienaturalna siła prowadziła we wszechświecie. Mógł zakończyć konflikt potworów i ludzi. Mógł ostatecznie zniszczyć wszystkie elementy spaczony energii, które wydała Kolebka. Mógł dać początek nowej erze, erze wolnych, szczęśliwych ludzi. Miał jednak przed sobą jedyne człowieka, na którym naprawdę mu zależało, jedyny powód, dla którego warto było walczyć, żyć i umierać. Kylven uniósł mieniające się blaskiem rozpalonych run ostrza wysoko nad głowę i uderzył.

Pętające Jemibę macki rozpadły się i wyparowały. Kobieta otworzyła oczy, szerokie od zdziwienia i niedowierzania. Kirkhammer delikatnie wziął czarodziejkę na ręce i zaczął nieść w stronę schodów.

– Całe życie walczyłem. Walczyłem w imię niejasnych pobudek. Przelewałem krew za nic nieznaczące, banalne formułki, które są nam wpajane od urodzenia. Marzyłem przy tym o śmierci w bitwie, o której pamiętano by do końca świata, pisano legendy i pieśni. Marzyłem o chwalebnej śmierci. Godnej śmierci. Teraz jednak wiem, że nie ma nic honorowego w umieraniu. Śmierć nie ma żadnego sensu i nie ma takiej śmierci, która przysporzyć może chwały. Jednak... Jeśli muszę... Chcę umrzeć z miłości.

Kylven położył oniemiałą Jemibę przy schodach do katedry i dotknął jej policzka. Kobieta złapała jego dłoń, tak jak tonący chwytając drętwiejącą ręką deskę nadziei na szalejącym oceanie rozpacz. On jednak błysnął. Kirkhammer zamienił się w ogromną chmurę piroklastyczną, która przybrała kształt rozdziawionej czaszki. Czerep wzlatywał w górę, pod sam sufit jaskini, aż znalazł się nad Kolebką. Wtedy, czaszka zaczęła spadać, ziejąc płomieniami. Czarodziejce wydawało się, że spada wiekami, że ten niesamowity wojownik spadał przez całe życie, aby swoim upadkiem zadać kłam wszystkim, którzy wątpili w jego człowieczeństwo. W końcu, chmura zderzyła się z podłożem, zamknęła paszczę na Kolebce i zburzyła ją, stopiła kamienie i zrównała źródło życia z ziemią. Światło pod sufitem zgasło. Jemiba

długo czekała, siedząc na posadzce. Gdy zawiódł wzrok, oczami duszy wypatrywała swojego demonicznego obrońcy w mroku jaskini. On jednak nie wrócił. Nigdy nie wrócił. Kylven Kirkhammer umarł po raz ostatni.

# *Epilog*

Jemiba przeglądała raporty piętrzące się na jej biurku w gabinecie warowni Kirkhelm. Bez Kolaiusa obalenie Rady i podporządkowanie sobie żołnierzy Kościoła było wyjątkowo łatwe. Czarodziejka przekształciła organizację w armię doborowych łowców potworów, pod nazwą Bractwa. Opiekunowie zostali pokonani, jednak nie zginęli. Zaszyli się gdzieś, w swoich dziecięcych formach, regenerując siły, pielęgnowani przez własne potomstwo. Ich siła rosła z każdym dniem, a razem z nią, ich wściekłość. Jemiba gromadziła zastępy żołnierzy, którzy będą bronić ludzkości, gdy nadejdzie czas. Wyjrzała przez okno Wieży Głowy, z którego roztaczał się widok na otaczające pasma górskie oraz dalekie Kościelne Jeziora. Zastanawiała się czy zdąży. Zastanawiała się czy dadzą sobie radę bez Strażnika. Nie mieli innego wyboru. Musieli stanąć na wysokości zadania... Lub zginąć, próbując to uczynić. Czarodziejka tęskniła za Kylvenem. Pomimo jego głupoty, nie potrafiła go znienawidzić. Nie potrafiła nienawidzić go za miłość, dla której poświęcił swoje życie oraz życia niezliczonych ludzi, którzy zginą z rąk potworów. Czasami miała wrażenie, że czuje jego obecność, jednak nie pozwoliła sobie nigdy na nadzieję. Prawdziwe cierpienie potrzebuje nadziei. Ona nie miała czasu, żeby cierpieć. Nie miała też sił. Musiała zachować ich jak najwięcej. Dla żyjących.

Ostatni Strażnik stał na gzymsie, zaglądając przez okno do oświetlonej komnaty. Jego spalona skóra nie była widoczna w mroku nocy. Wojownik obserwował przez chwilę kobietę, dla której poświęcił ludzkość. Jego rozerwane serce krwawiło bardziej z każdą minutą, jednak nie potrafił odwrócić wzroku. Postać za szybą podniosła głowę znad pliku dokumentów i spojrzała w stronę okna. Jego już jednak tam nie było. Leciał w noc, na grzbiecie Patagona.

- Nie było innej możliwości.
- Równowaga musi zostać zachowana.
- Bez zła, nie ma dobra.

– Bez zagrożenia z zewnątrz, ludzie zamordują się nawzajem, niszcząc planetę.

– Wyniszczą się, wykrwawią w bratobójczych walkach.

– Równowaga to jedyne, co utrzymuje ten wąły płomień życia.

Kylven wiedział, że Strażnicy mają rację. Wiedział, że musiał porzucić swoje człowieczeństwo, aby uratować ludzkość przed nią samą. Musiał uratować Jemibę. Musiał zniszczyć Kolebkę, aby była bezpieczna. Angharm nie mógł już zdobyć potęgi reszty Opiekunów. Opiekunowie nie mogli już zostać zabici. Świat został skazany na wieczny konflikt, którego ognie utrzymują cykl życia. Jednak... Czy to jedyne rozwiązanie?

– Jedyne.

– Szukaliśmy.

– Przez wieki szukaliśmy.

– Nie ma rozwiązania.

– Jest tylko ta klątwa życia w cierpieniu.

– Może jednak jest sposób – powiedział do siebie Ostatni Strażnik.

– Może.

– Wątpliwe.

– Zgubna nadzieja.

– Możesz szukać.

– To nieodzowne.

– Będziesz szukał.

– Aż zrozumiesz.

– Będziesz szukał.

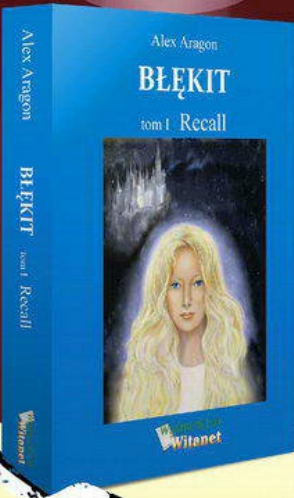
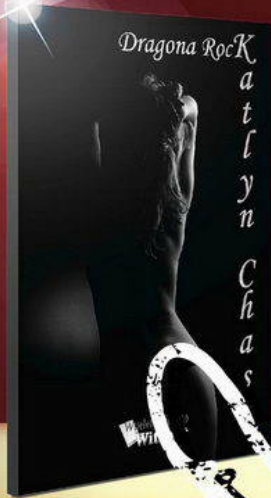
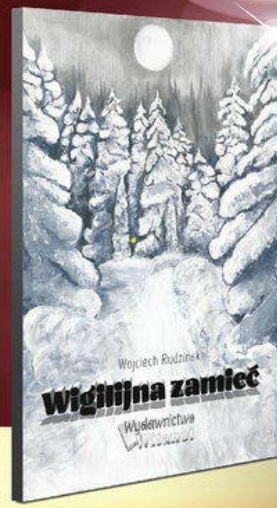
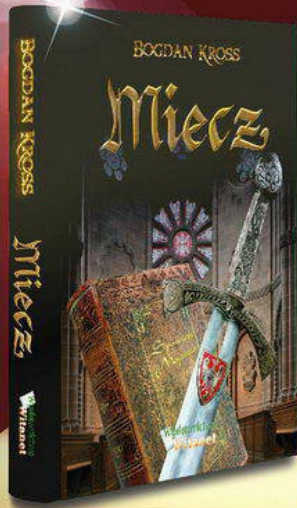
– Aż pogodzisz się z losem.

– Będziesz szukał.

– Masz na to całą wieczność.

– Nie – odparł Ostatni Strażnik. Znał losy ludzi. Wiedział, którzy muszą zginąć, aby inni mogli żyć. Wiedział, kiedy muszą umrzeć i kiedy umrą. Z jego ręki, lub innej. Obejrzał się w stronę jasnego okna wieży, w którym został powód, dla którego wybrał klątwę wiecznego dźwigania brzemienia utrzymywania równowagi. – Nie – powtórzył. – Ona ma... Ja mam... Tylko dwadzieścia sześć lat.





Polecamy  
nowości

Wydawnictwo  
**Witanet**



Książka opowiada historię tytułowego bohatera – Kylvena Kirkhammera, elitarnego wojownika Kościoła – organizacji, która specjalizuje się w zabijaniu potworów na skalę globalną. Obdarzony nadludzką siłą mężczyzna, ogarnięty wątpliwościami w słuszność swojej misji, targany wspomnieniami nieszczęśliwej miłości oraz borykający się z poczuciem wyobcowania z powodu swojej mocy, szuka ukojenia w kieliszku oraz zaspokajaniu swoich sadystycznych skłonności. Kiedy w niewyjaśnionych okolicznościach ginie kompan Kylvena, wojownik postanawia rozwikłać zagadkę jego śmierci. Kirkhammer znajdzie się w samym środku ogromnej intrygi i przyjdzie mu zmierzyć się z siłami przerastającymi najśmielsze wyobrażenia mędrców oraz, przede wszystkim, ze swoją rozchwianą, niemal dwoistą naturą.

**Wojciech Karolak** – student Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, przyszły lekarz. Znajomi mówią o nim „chodząca sprzeczność”, co wyraża się także w jego twórczości. Autor zaczął swoją karierę pisarską od przygody z poezją, która zaowocowała tomikiem wierszy pt.: „*Myśli nocą*”. Prawdziwe spełnienie i wyraz osobowości pisarza przyniósł jego romans z prozą, którego efekt trzymają Państwo w dłoni. Czego pisarz podejmie się jutro? Tego nie wie nikt, a zwłaszcza on sam.

Patronat medialny:

 Aleksandrowe  
myśli

 BookParadise  
[www.bookparadise.pl](http://www.bookparadise.pl)

 olinka  
Książkowa



<https://www.facebook.com/Wydawnictwo-Witanet>

 Wydawnictwo  
Witanet

[wydawnictwo@witanet.net](mailto:wydawnictwo@witanet.net)  
[www.witanet.net](http://www.witanet.net)